

CZY MORAWIECKI
JEST ŚLĄZAKIEM

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI
JAK ZAGOSPODAROWAĆ PRADZIADKÓW

POLSKIE PODZIEMIE ABORCYJNE

ROK 1989 W LITERATURZE

BŁĘDY RYDZA-ŚMIGŁEGO

Nieznane dokumenty

WRZESIEŃ
1939





unicef



dla każdego dziecka

**Trwa wojna w Jemenie
Maleńka Doa potrzebuje
Twojej pomocy**

wejdź na unicef.pl/jemen i przekaż darowiznę

oprasa.pl 93e5ac7108

CYTATY

ROGER WEBER,

były burmistrz Schengen

Schengen to najsłynniejsze miasto na świecie. Zaraz po Betlejem.

„Forum”

JERZY URBAN,

redaktor naczelny

Władzę sprawuje się zawsze pod moralnym znieczuleniem. Jego dawki mogą być słabsze, silniejsze albo pisowskie.

„Nie”

PAWEŁ PISKORSKI,

przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego

Temat powrotu Tuska jest zamknięty

„Polska The Times”

DANIEL OLBRYCHSKI,

aktor

Wszystko, co osiągnęliśmy, może być przekreślone decyzją każdego z ministrów tej kretynskiej, szkodliwej partii.

„Viva!”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Polityczny pic obietnic

Jaki tekst jest najczęściej powtarzany przez polityków PiS i PO? Nasza partia stosuje szczególnie wysokie standardy, a wy... I tu słyszymy litanie ciężkich grzechów popełnionych przez przeciwnika politycznego. Grzechy są na tyle ciężkie, że w wielu krajach każdy z osobna wyrzuciłby ich sprawców z polityki. Ale nie u nas. Bo w Polsce wystarczy trochę odczekać. I wrócić do gry w nowych barwach partyjnych.

Od 14 lat rządzi PiS na zmianę z PO. Jaki jest bilans tych rządów?

Wystarczy zrobić porządną spis zarzutów, jakie PO i PiS zgłaszają wobec siebie, i wniosek będzie oczywisty. Te partyjne pojazdy są jak kilkunastoletnie wraki ścigane do Polski z Unii. Nie mają paliwa, a ich kierowcy są niedouczeni albo zajęci dorabianiem na boku. Szefowie tej zdezelowanej kawalkady nie wiedzą, dokąd jadą. A nawet po co.

Beznadzieję pasażerów, czyli wyborców pogłębia brak sensownej alternatywy. Ta, która jest, może wystarczyć na etap przejściowy po PO PiS. Ale żeby Polacy, zwłaszcza młodszy, uwierzyli politykom, trzeba nowej jakości. I odwagi, by wreszcie przerwać ten polityczny pic obietnic. Żyjących tylko do czasu, gdy macherzy od piaru nie wymyślą nowych. Niestety, tylko na papierze i w mediach.

Bo w realnym życiu mamy zamiatanie problemów pod dywan. Czy któreś ze strategicznych wyzwań, jakie stoją przed Polską, jest rzetelnie przemyślane i realizowane? Czy o któreś z nich toczy się spór między PiS a PO?

Co te partie mają do zaproponowania w sprawie kompleksowej edukacji, aż do uczelni wyższych? A przecież to jest nasz najważniejszy i największy problem. Bez radykalnego zerwania z nauczycielską i akademicką biedą płacową nigdy nie zbudujemy racjonalnego systemu edukowania i wychowywania kolejnych pokoleń. Chaotyczne programy nauczania, które są klonem starych i zużytych pomysłów, krytykują wszyscy. Ale ciągle nie ma woli, by choć spróbować pójść drogą np. państw skandynawskich. Jeśli nie daje się tego zrobić w całym państwie, bo w edukacji władza jest na krótkiej smyczy Kościoła, to spróbujmy tam, gdzie rodzice popierają takie działania.

Zaczyna się rok szkolny. Z wielkim bagażem starych problemów. Z upokorzonymi i sponiewieranymi przez PiS nauczycielami. Warto im dać 1 września znak, że są dla nas ważni. Teraz potrzebują tego szczególnie.



Książki PRZEGLĄDU już do kupienia na Legimi

Pobierz z Google Play | Pobierz na App Store | Pobierz z witryny Microsoft

Pobierz aplikację i czytaj wygodnie

BAKOWSKI



HISTORIA

- 8 Nieuctwo i naiwność Rydza-Śmigłego**
Nieznane dokumenty

KRAJ

- 14 Trudna walka z pedofilią**
– rozmowa z mec. Januszem Mazurem
- 18 U nas aborcji nie ma**
Kobieto, radź sobie sama
- 22 Zabójcza siła pieniądza**
Wirtualna waluta
w rzeczywistym świecie
- 26 Święta wojna godnościowa**
Deklaracje PiS a rzeczywistość
- 30 Turbokapitalizm i spory o pamięć**
– rozmowa
z dr. hab. Marcinem Napiórkowskim
- 38 Jak zagospodarować pradziadków**
– rozmowa z dr. hab. Piotrem Szukalskim
- 41 Grzmot to sygnał do ucieczki**
Tragedia na Giewoncie

PUBLICYSTYKA

- 25 Robert Walenciak**
Czy Morawiecki jest Ślązakiem?

ZAGRANICA

- 34 Beata Mazurek kontra Szwecja**
Szwedzi wolą mieszkać u siebie
- 36 Australia mówi stop**
Uchodźcy niemiłe widziani
- 54 Melilla – miasto klatka**
Marokańskie tragarki ratują gospodarkę

KULTURA

- 42 Dyskretny urok transformacji**
Epoka przemian w literaturze
- 46 Kulturalia**
- 66 Salon letni**

EKOLOGIA

- 48 Szpiedzy w lesie**
– rozmowa z Łukaszem Długowskim

OBSERWACJE

- 58 Żeby zabolalo**
Historia przemocy wobec dzieci

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Polityczny pic obietnic
- 17 Jan Widacki**
Mało zdolni uczniowie generała Kiszczaka
- 29 Roman Kurkiewicz**
Polska jako gra planszowa
- 33 Tomasz Jastrun**
Najazd nie tylko arabski
- 45 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Euforia
- 53 Edward Mikołajczyk**
Dobrać spośród wilków



GRZMOT TO SYGNAŁ DO UCIECZKI

Tragedia na Giewoncie

48

EKOLOGIA

SZPIEDZY W LESIE

– rozmowa
z Łukaszem
Długowskim



54

REPORTAŻ

MELILLA
– MIASTO KLATKA
Marokańskie tragarki
ratują gospodarkę



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

ŚWIATOWID NR 36/3/09/1939
FOT. ARCHIWUM

Holandia – kraj pustych kościołów

Prof. Krzysztof E. Haman, geofizyk
Prawdziwy szwindel z klimatem**Xawery Żuławski, reżyser**

Stary się dziś cieszy

20 najlepszych spektakli sezonu
– ranking Tomasa Miłkowskiego**✉ Jak nas kochają**

Historycy amerykańscy przemilczają sprawę listu Roosevelta do Stalina, w którym prezydent napisał: „Mam nadzieję, że nie muszę zapewniać Pana, iż Stany Zjednoczone nigdy nie poprą żadnego tymczasowego rządu w Polsce, sprzecznego z Pana interesami”. Ponadto Roosevelt nie uznał nigdy Katynia za zbrodnię radziecką. A megalomania naszych polityków, która w konsekwencji doprowadziła do wywołania powstania warszawskiego, spowodowała wielką tragedię. Uczestnik powstania, późniejszy profesor Jan Ciechanowski w „Zakłamaniej historii powstania” pisze: „Takiej katastrofy nie przeżyła żadna europejska stolica od najazdu Hunów na Rzym. Został rozbity ośrodek życia narodowego, politycznego i kulturalnego”.

*Anna Janicka, Warszawa***f Ile razy polityk może zmieniać poglądy?**

Człowiek (wbrew osobom zachwyconym stałością w poglądach Janusza Korwin-Mikkego) nie jest maszyną zdolną poznać świat w 10 lat. Przypominamy diament, który tym lepszy, im dłużej szlifowany. To przecież



dlatego najlepszy fachowiec ma lat 50+ i więcej. Stolarz wbił sobie niejedną drzazgę, malarz nawąchał się farb, szewc wałnął młotkiem w palec, a polityk... się sparzył. Im więcej razy, tym lepiej. To dlatego Janusz Korwin-Mikke obraca się po prostu w stereotypach i przy dość dobrych argumentach strony przeciwnej milknie. Są oczywiście politycy zmieniający rzekomo poglądy ze względu na kasę, ale nie o takich rozmawiamy, bo nie warto

Grzegorz Stachowiak

Niekwestionowanym „autorytetem” na tym polu może być Ryszard Czarnecki, który swoim sprostytuowanym życiorysem udowadnia od lat, że wiele razy można zmieniać poglądy i można to robić z gracją pijanego słonia.

Andrzej Gosek

Tyle razy, ile razy zmienia się fakty, okoliczności, a także priorytety wyborców lub partii politycznej... Trzeba tu pamiętać o starym, dobrym powiedzeniu: „Tylko krowa nie zmienia poglądów”!

Bogdan Migurski

To nie wina polityków tylko wyborców, że głosują na spadochroniarzy, skaczących z partii do partii, zmieniających poglądy jak kameleon!

*Jan Lubas***ZDJĘCIE TYGODNIA**

Australijski sędzia stanu Victoria odrzucił apelację skazanego za pedofilię kard. George'a Pella. 78-letni Pell skazany na sześć lat musi pozostać w więzieniu.



www.mleczo.pl

www.sklep.mleczo.pl

PYTANIE TYGODNIA

Co cennego polska kultura ma do pokazania światu?

GRZEGORZ GAUDEN,
*wieloletni dyrektor
Instytutu Książki*

Wielu wybitnych polskich twórców stało się ważną częścią kultury światowej. Wśród poetów i pisarzy będą to oczywiście Miłosz, Szymborska, Herbert czy Różewicz, w świecie filmu Wajda, w muzyce Szymanowski czy Lutosławski. Spośród żyjących nie można nie wspomnieć Pendereckiego, Tokarczuk, Myśliwskiego czy Pawlikowskiego. A sztuki wizualne, a teatr! Szczególnie mnie cieszy, że również nasi młodzi, bardzo utalentowani twórcy mają szanse zaistnieć w światowej kulturze. Uważam, że w krótkim czasie znajdą w niej ważne miejsce. Skarbów narodowej kultury mamy zatem wiele, problem jest z właściwym wsparciem państwa we wprowadzaniu ich do światowego obiegu. Obecnie zamiast lansować nasze talenty, realizujemy za granicą narodowo-martyrologiczny pomysł na polską kulturę, nieinteresujący dla odbiorców z innych krajów. Obawiam się zatem, że rodzima wielka polska kultura, niespełniająca prostackiego postrzegania sztuki przez obecnych decydentów, będzie musiała sobie

radzić za granicą bez wsparcia instytucji publicznych.

WIESŁAW UCHAŃSKI,
prezes Wydawnictwa Iskry

Krótką odpowiedź na to pytanie jest rzecz jasna niemożliwa, gdyż naprawdę mamy co pokazać w każdej dziedzinie sztuki: w literaturze, malarstwie, teatrze, filmie. Nawet gdy ograniczymy się do ostatnich 10 lat, dorobek najwybitniejszych polskich twórców jest niemały. Jeśli musiałbym wymienić jedno nazwisko, to w przypadku literatury twórczynią światowej klasy – i tak na świecie postrzeganą – jest Olga Tokarczuk. W dziedzinie sztuk pięknych takich nazwisk jest więcej, dlatego nie wymienię żadnego, ponieważ pominięcie któregośkolwiek byłoby okrucieństwem wobec pozostałych. Czy natomiast istnieją osobliwe źródła twórczości polskiej, które nie występują nigdzie indziej na świecie? Otóż obawiam się, że nie ma takiej dziedziny, w której bylibyśmy specjalistami, może z jednym wyjątkiem: na pewno mamy więcej niż inne nacje wybitnych poetów. Nasz poeta z drugiej setki byłby czołowym twórcą w niejednym kraju europejskim.

PAWEŁ POTOROCZYN,
menedżer kultury, dyplomata

Przez ostatnie 3 tys. lat kultura miała dwa wielkie toposy: miłość i śmierć. Odkąd zacząłem czytać, słuchać i oglądać, nie opuszcza mnie wrażenie, że kultura polska dołożyła do tego zbioru trzeci topos, a mianowicie wolność. Nie mam wątpliwości, że od XIX w. jest to nasz wielki wkład w kulturę świata. Co więcej, koniec XX w. w Polsce dołożył jeszcze jeden topos kultury, którym jest solidarność.

czytelnicy PRZEGLĄDU



JAN BIŃCZYCKI

Punk, jazz, kino i trochę literatury. A w tych wszystkich dziedzinach nie spotykam gdzie indziej frenetyczną żarliwość i słowiańską melancholię.

BOŻENA MIERNIK

Wszystkim trzeba pokazywać ministra Glińskiego, jako przykład, jak w imię służenia swojej partii można zniszczyć instytucje zajmujące się kulturą. Wszystko, co wartościowe, zożydzi, aby promować wzorce oparte na niskich instynktach i potrzebach swoich wyznawców.

Not. Michał Sobczyk

Paweł Dybicz

Nieuctwo i naiwność Rydza-Śmigłego

Kto odpowiada za klęskę wrześniową?
Dokumenty komisji badających działania rządów
sanacji w okresie przedwojennym i w czasie wojny

Kiedy w 1935 r. na zjeździe legionistów Edward Rydz-Śmigły, wówczas jeszcze generał, wypowiedział znamienne słowa „Nie oddamy ani guzika”, chyba nikt nie sądził, że niebawem staną się one sarkastycznym podsumowaniem rządów naczelnego wodza i sanacji.

„Pierwszy Obrońca Ojczyzny”, jak mówili o nim zausznicy, obok prezydenta Ignacego Mościckiego i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka jest jedną z osób, które w największym stopniu odpowiadają za klęskę wrześniową. Do tej listy trzeba jeszcze dodać premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego i jego rząd, który gen. Władysław Sikorski nazwał „rządem klęski narodowej”.

Dla niezorientowanych w prawdziwym układzie sił i potędze Niemiec, wzmocnionych potencjałem zagarniętego czeskiego przemysłu, klęska wrześniowa była katastrofą. Nie dziwi więc, że gdy po wybuchu wojny premierem rządu na uchodźstwie

Gen. Władysław Sikorski nazwał rząd Felicjana Sławoja Składkowskiego „rządem klęski narodowej”.

został gen. Sikorski, powołał on komisję do zbadania przyczyn klęski. Szukano ich też w kraju, gromadząc odpowiednią dokumentację. Już na przełomie 1939 i 1940 r. komórka historyczna późniejszej Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej zaczęła gromadzić materiały o polityce rządów po 1926 r. i wojnie 1939 r.

Poniżej prezentujemy notatkę „Błędy Naczelnego Wodza” napisaną w okupowanej Polsce przez płk. Jana Rzepeckiego (1899-1983), doktora nauk historycznych, uczestnika wojny 1920 r. Przed 1939 r. wykładał on taktykę w Wyższej Szkole Wojennej. W czasach II wojny światowej był szefem VI Oddziału – Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK (1940-1945) oraz Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (maj-sierpień 1945 r.). Był założycielem i pierwszym prezesem konspiracyjnego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (od września 1945 r.). W czasach stalinowskich dwukrotnie aresztowany i więziony.

24 grudnia 1954 r. został zwolniony z więzienia z powodu braku podstaw do wszczęcia postępowania przeciw niemu. Zrehabilitowany w listopadzie 1955 r., pracował w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. W grudniu 1956 r. został członkiem Zarządu Głównego ZBOWiD, a także Klubu Krzywego Koła.

Pisana w formie krótkich tez notatka Rzepeckiego jest zrozumiała nawet dla osób, które nie zetknęły się z wojskową terminologią. Choć płk Rzepecki przedstawia niezwykle krytycznie koncepcje wojenne jedynie

Błędy Naczelnego Wodza

A. Do kwietnia 1939 r. zupełny brak planu wojny z Niemcami.

1) Naczelny Wódz przejawiał zupełny brak zrozumienia, że przygotowanie planu wymaga długotrwałej i planowej pracy.

2) W aktach Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych najświeższe opraco-



naczelnego wodza oraz jego działania we wrześniu 1939 r., punktuąc kardynalne błędy, notatka jest w zasadzie oskarżeniem całej ekipy rządzącej w latach 30. oraz wojskowych.

Poniżej drukujemy także notatkę sporządzoną w Londynie na potrzeby Komisji powołanej przez gen. Sikorskiego, ukazującą konflikt Rydza-Śmigłego z ministrem Józefem Beckiem (a także ich współpracowników i zaufanych), który musiał wpłynąć na osłabienie polskiej armii w dniach „klęski narodowej”.

Bez planu obrony

Notatka płk. Jana Rzepeckiego nt. błędów Naczelnego Wodza, które wpłynęły na oblicze wojny 1939 r., 15 maja [1940?]

Neuman[?], Przesyłam Ci moją notatkę na opracowywany przez Ciebie temat – może Ci się przyda

Prezes [konspiracyjny pseudonim Jana Rzepeckiego – przyp. red.]
15/V [1940?]

wania operacyjne przeciwniemieckie pochodziły z r. 1932 (?) i miały charakter jakby „wojny kolonialnej” (w Niemczech tylko 100.000 Reichswehra).

3) Ewidentne tłumaczenie [Rydz-Śmigłego], że wojna z Niemcami miała być rozegrana zaczepnie, przy ubezpieczeniu od wschodu – trzeba odrzucić, gdyż:

– nie było żadnych przygotowań zaczepnych,
– nawet zaczepne wystąpienie wymaga przygotowań o charakterze obronnym,

4) tak samo odrzucić trzeba ew. tłumaczenie, że mieliśmy występować na wschodzie, zabezpieczeni od zachodu paktem o nieagresji:

- a) wiara w taką wartość paktów jest naiwnością polityczno-strategiczną,
- b) taka wojna na wschodzie wymaga solidnego zabezpieczenia na zachodzie.

B. Zacofanie organizacyjne i uzbrojenie wojska.

- 1) Nawet przy zachowaniu postawy czysto obronnej konieczne były:
 - a) znacznie silniejsze lotnictwo (przede wszystkim rozpoznawcze i myśliwskie),
 - b) znacznie liczniejsze jednostki i sprzęt przeciwlotniczy,
 - c) znacznie liczniejsze lotniska,
 - d) znacznie liczniejsza broń przeciwpancerna i przeciwpancerne związki obronne (studia i meldunki w Wyższej Szkole Wojskowej od dawna wskazywały na ich konieczność),
 - e) znacznie liczniejsi saperzy zaporowi,
 - f) lepszy sprzęt łączności (głównie radio),

- l) znacznie obfitsze zaopatrzenie w amunicję.

2) Gdyby zaś planowało się zaczepne rozegranie wojny, to ponadto było niezbędne stworzenie:

- a) wielokrotnie silniejszej artylerii ciężkiej z odpowiednią ilością amunicji,
- b) wielokrotnie silniejszego lotnictwa bombowego,
- c) oddziałów spadochronowych,
- d) silniejszych związków pancerno-motorowych,
- e) pomnożenie saperów i obfite wyposażenie wojsk w środki przeprawowe do budowy komunikacji,
- f) saperskich jednostek szturmowych.

Nic nie wskazuje na to, by Naczelnny Wódz i jego szef sztabu rozumieli tę konieczność.

C. Fałszywa ocena wartości zawieranych sojuszków i umów z Francją i Anglią.

Sudetów i Zaolzia Naczelnny Wódz i szef sztabu zarządzili takie pociągnięcia organizacyjne, mobilizacyjne i dyslokacyjne, z których wynikało, że według nich wydarzenia czeskie są bez wpływu na bezpieczeństwo Polski, że bardziej nawet wzrosło ono. Nie zarządzono wówczas nic dla zwiększenia gotowości obronnej państwa. E. Plan 1939 r. (ustalony w końcu marca 1939)

1) Plan uwzględnia kompromitującą naiwną hipotezę wojny ograniczonej ([Wacław?] Lipiński) i zawiera kompromitującą nierealne pomysły zaczepne, co w konsekwencji osłabiło i tak już słabe możliwości obrony.

2) Błędna ogólna koncepcja obrony i błędne początkowe ugrupowania ogólne: – kordon o stosunkowo silnym i wysuniętym daleko naprzód środku, – skrzydła słabe i oskrzydłone już przed wybuchem wojny.

Musiała to prowadzić do dwustronnego wyjścia na tyły już w pierw-



- g) daleko posunięta motoryzacja (choćby tylko odwodów operacyjnych),
- h) liczniejsze związki pancerne (choćby tylko jako odwody obrony przeciwpancernej – a nie nasze śmieszne „brygady pancerno-motorowe”,
- i) wcześniejsze stworzenie sztabów operacyjnych, które były słabo przygotowane do zadań,
- j) gruntowniejsze wykształcenie wyższych dowódców, którzy w olbrzymiej większości byli zupełnie nieprzygotowani do swych funkcji,
- k) radykalne zredukowanie licznej, a kosztownej kawalerii,

Naczelnny Wódz powinien był znać prawdziwie zdolności sojuszników do udzielania pomocy lądowej i powietrznej. Ewidentne błędy oceny

szczych dniach działań i groziło wielkimi „Kannami”.

3) Poważne błędy organizacyjno-mobilizacyjne:

Do kwietnia 1939 r. nie było żadnego planu wojny z Niemcami.

sojuszników przez naszych attachés nie uwalniają go od winy. Jeśli błędna ocena spowodowała nieszczerość i nieufność sojuszników do nas – to trzeba stwierdzić, że wynikała ona z nieszczerej i niezrozumiałej dla zachodu naszej gry politycznej.

D. Brak wyciągnięcia konsekwencji z niemieckiej ofensywy politycznej na Czechy w r. 1938. Jeszcze po rozegraniu sprawy

a. Opóźniano mobilizację sztabów armii, które już miały zawiązki, nie mobilizowano sztabów grup operacyjnych, które miały powstać (nie rozumiano potrzeby ich), choć można to było zrobić bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela i protestów sprzymierzeńców,

b. Uporczywie opóźniano mobilizowanie organów tyłowych (etapy,

- komunikacja, magazyny) – także z powodu braku zrozumienia ich znaczenia,
- c. Natomiast puszczono się na beznaziejną i fatalną w skutkach improvizację przez gwałtowne forsowanie rozbudowy Obrony Narodowej.
- 4) Ślamazarne tempo fortyfikowania frontu obronnego i tłumienie słusznej inicjatywy podwładnych, prących do przyspieszenia prac. Rozkazy hamujące prace znajdowały uzasadnienia wprost niepoważne (np. oszczędzanie zbiorów).
- 5) Ślamazarne tempo dozbrajania wojska (niewyzyskanie zdolności produkcyjnej fabryk) i sprzedawanie za granicą sprzętu potrzebnego w kraju jeszcze w ostatnich miesiącach przed wojną.
- 6) Operowanie przy rozdziale sił nieistniejącymi wielkościami, np. dywizjami, które powstać miały w 12. dniu normalnej mobilizacji, tj. na pewno po pewnych rozstrzygających bitwach. To w dużym stopniu przyczyniało się do osłabienia obrony.
- 7) Stawianie nierealnych zadań, których cechą była także niedopuszczalna w operacjach sztywność: np. ograniczenie zadań armii, która ma walczyć przeciw przewadze na 230 km frontu (ok. 30 km na W[oj-skową]J[ednostkę]), do sztywnej kordonowej obrony tuż przy granicy, bez prawa myśli o odwrocie.
- 8) Zatwierdzenie obłądnych z gruntu ugrupowań armii i wzięcie przez to na siebie odpowiedzialności za te błędy. Już w początkowym ugrupowaniu niektóre W[oj-skowe] J[ednostki] były skazane na śmierć bez pożytku dla całości (np. izolowane 7. i 20. Dywizje Piechoty). Temu niedostrzeganiu błędów operacyjnych towarzyszyło skandaliczne wtrącanie się w szczegóły taktyczne.

Najświeższe opracowania operacyjne przeciwniemieckie pochodziły z 1932 r.

- 9) Potraktowanie dowodów armii jak kaprali i trzymanie ich w zupełnej nieświadomości co do myśli przewodniej i planu Naczelnego Wodza, użycia jego odwodów, a nawet co do ugrupowań i zadań sąsiadów.
- W ogóle analiza planu 1939 r. pozwala postawić Naczelnemu Wodzowi i jego szefowi sztabu zarzut nieuctwa operacyjnego.



Pod Ciepeliowem Wehrmacht rozstrzelał 300 polskich jeńców wojennych.

F. Dowodzenie w toku operacji.

- 1) Wtrącanie się w szczegóły ugrupowania armii, krępowanie ich w dowodzeniu i wywalanie poprzednio zatwierdzonego planu – wynik błędów Naczelnego Wodza w jeszcze przedwojennej ocenie możliwości nieprzyjaciela (przykład: zatrzymanie

nianie czasu potrzebnego na przekazanie rozkazów dowódcy armii do oddziałów) powoduje opóźnienie się z decyzją, żądanie rzeczy niemożliwych i w skutku – wykonywanie przez oddziały w dzień tego, co powinno być wykonane w nocy. Wynik: nadmierne straty przy wycofywaniu się z trudnego położenia (przykład: wycofanie się ze Śląska).

- 6. Dywizji Piechoty pod Krakowem, mimo że miała wyznaczony odcinek obrony pod Pszczyną – wynik przełamania pozycji pszczyńskiej w drugim dniu walki).
- 2) Zbyt późny rozkaz wycofania armii poznańskiej i pomorskiej, co pogorszyło ich położenie w bitwie pod Kutnem (?).
- 3) Brak zrozumienia dla warunków dowodzenia operacyjnego (niedoce-

- 4) Chwiejność, niezdecydowanie przy pobieraniu decyzji zasadniczych (znany incydent ze zwrotem zaczepnym armii poznańskiej na południe).
- 5) Improvizowanie w toku odwrotu fantastycznych planów, niemających cienia szans realizacji pod każdym względem (brak zrozumienia dla możliwości rozkazodawczych i mechaniki operacyjnej).

Gra ministra Becka

Informacja Władysława [Guzka?] o relacjach min. Becka z marsz. Rydzem-Śmigłym z 9 listopada 1940 r., która znajduje się wśród dokumentów komisji rządu Sikorskiego

I.

W czerwcu 1936 r. – wezwany do Warszawy na rozkaz gen. Śmigłego-Rydza – stwierdziłem, że minister spraw zagranicznych Józef Beck stara się – wszelkimi sposobami – odwieść generała Śmigłego-Rydza od zamiaru wyjazdu do Francji. – I tak, najpierw płk dypl. Leon STRZELECKI, a później rtm. Edward MANKOWSKI starają się przeze mnie wpłynąć na generała, aby nie wyjeżdżał do Paryża – uważając, że będzie o wiele lepiej, kiedy przyjedzie do Warszawy marszałek PETAIN ... celem udekorowania generała Śmigłego-Rydza Wielką Wstęgą Legii Honorowej.

Grę przejrzałem i stwierdziłem, że obaj wymienieni byli inspirowani przez płk. Janusza ALBRECHTA, zaufanego na terenie Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych ministra BECKA, i płk. ŚCIEŻYŃSKIEGO, jednak zamełdowałem o tym fakcie generałowi Śmigłemu-Rydzowi, którego bardzo oburzyła gra ministra Becka.

Po powrocie do Paryża z Warszawy stwierdziłem jeszcze w pierwszej połowie lipca 1936 r., że Ambasada R.P. w Paryżu – w tym wypadku ambasador ŁUKASIEWICZ i sekretarz LIBRACH oraz attaché wojskowy płk Wojciech Fyda – posiadają polecenie od ministra BECKA uniemożliwienia wyjazdu generała GAMELIN do Warszawy. Stwierdziłem również, że zupełnie tendencyjnie twierdzono w kołach inspirowanych przez ministra Becka i jego przyjaciół, że Francja nie ma zamiaru udzielenia pożyczki Polsce oraz kredytów wojskowych.

A kiedy po powrocie gen. Gamelin z Warszawy sprawa udzielenia Polsce pożyczki i kredytów została pozytywnie załatwiona przez Rząd Francji, wówczas ambasador Łukasiewicz na terenie Quai d'Orsay i radca finansowy Ambasady Wacław MOHL postanowili pożyczkę i kredyty storpedować, żądając w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Ministerstwie Finansów – podwyższenia pożyczki o 700.000.000 franków francuskich. Działo się to na trzy dni przed przyjazdem gen. Śmigłego-Rydza do Paryża. I jedynie dzięki stanowisku

gen. Gamelin i p. Gaboriaud akcja ministra Becka nie została uwieczniona powodzeniem, co pozwoliło generałowi Śmigłemu-Rydzowi na podpisanie pożyczki i kredytów w dniu 6 września 1936 r.

Po wyjeździe gen. Śmigłego-Rydza z Francji, celem załatwienia strony technicznej pożyczki i kredytów, pozostał w Paryżu dyrektor Departamentu Obrót Pieniężny M[inisterstwa] Skarbu – BACZYŃSKI – który z jednej strony starał się przewlekać załatwienie spraw, z drugiej oddzielił sprawę pożyczki

Rzepecki wskazywał konieczność posiadania znacznie silniejszego lotnictwa, broni przeciwlotniczej i broni pancernej.

od kredytów – co znów pozwalało na gmatwanie spraw, a z trzeciej dążył do zniechęcenia Francuzów – przez niewypłacanie obiecannej prowizji – by tym sposobem utracić zaufanie Francuzów do gen. Śmigłego-Rydza, tym samym, by zanulować wyniki podróży gen. Gamelin do Warszawy i gen. Śmigłego-Rydza do Paryża.

Kiedy mimo wszystko strona techniczna pożyczki została pozytywnie załatwiona 7 grudnia 1936 r., to sprawa kredytów wojskowych poczęła wchodzić

na tory realne ... dopiero w pierwszej połowie kwietnia 1938 r. – I faktem jest, że płk LOJKO-RADZIEJEWSKI skarżył się wielokrotnie u mnie na wysoce szkodliwą działalność płk. FYDY na odcinku załatwiania kredytów wojskowych.

II.

W wyniku zaistniałej sytuacji międzynarodowej, zdając sobie sprawę z nieprzewidującej polityki ministra Becka i z tendencji Hitlera względem Polski, w czasie mojego pobytu w Warszawie w lutym 1937 r. inspirowałem marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi konieczność nawią-

zania ścisłej współpracy z Anglią na terenie politycznym, wojskowym i ekonomicznym – właśnie przez marszałka Śmigłego-Rydza.

Marszałek polecił mi wybadać teren i odpowiednio przygotować w ramach moich możliwości, nie wyjawiając przeprowadzanej roboty.

Przy pomocy moich przyjaciół francuskich, a specjalnie przy pomocy p. Alberta DURIEZA, przemysłowca i finansisty, nawiązuje potrzebne kontakty. I już w sierpniu 1937 r. zaistniała ▶

Ta kobieta
zginęła na
obrzeżach
Warszawy
we wrześniu
1939 r.



Egzekucja dokonana przez Einsatzkommando
w Lesznie, październik 1939 r.



Niech trybunały osądzą wodzów

Protokół z przesłuchania Karola Iwanickiego [emisariusza z Polski], 17-23 listopada 1941 r. przed komisją rządu Sikorskiego (fragment)

Nastrój w Kraju do byłego rządu i byłego wodza naczelnego jest krytyczny. Istnieje pewna mniejszość, rekrutująca się przeważnie z części urzędników i niektórych wojskowych, która chciałaby usprawiedliwić ich zachowanie się. Dość często spotyka się zdanie, że w Kraju nie ma się w tej chwili wszystkich elementów, że nie zna się kulis sprawy, szczególnie jeśli chodzi o ucieczkę Rydza-Śmigłego, i dlatego należy powstrzymać się z sądem w tej sprawie. Wszyscy jednak stoją na stanowisku, że w przyszłości powstaną trybunały, które zajmą się tymi sprawami. Nie jest to tuszowanie sprawy, lecz jej odłożenie na później. (...)

Stosunek społeczeństwa w Kraju do b. prezydenta Ignacego Mościckiego jest zdecydowanie ujemny. Kraj uważa, że był prezydent, wyposażony w dyktatorskie niemal uprawnienia, nie przygotował wojny. Bardzo złe wrażenie zrobiło w Kraju to, że prezydent wyjechał do Szwajcarii jako obywatel szwajcarski. Rewelacje w „NOWYM KURIERZE WAR-

SZAWSKIM”, które Niemcy poczęli ogłaszać, przyczyniły się wybitnie do tego ujemnego ustosunkowania się do prezydenta Mościckiego. W serii artykułów, trwającej przez dwa miesiące (w pierwszej połowie 1940 r.), wytknięto byłemu prezydentowi przegraną w karty jego syna w Tokio, za którą musiał zapłacić MSZ, miała to być duża suma. Następnie opisano sprzedaż przez byłego prezydenta państwu swego wynalazku. Wreszcie czyniono aluzje do osobistych i prywatnych spraw jego żony, łącząc to z adiutantami. Jeżeli, jak już powiedziałem, najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Kraju jest były minister wojny Kasprzycki, to byłego prezydenta w tej skali należałoby umieścić na drugim miejscu.

Jeśli chodzi jeszcze o byłego ministra Kasprzyckiego, to stopień rozgoryczenia społeczeństwa w stosunku do niego jest tak wielki, że gdyby zjawił się w Kraju, to chyba go zlinczowano. Fakt ucieczki z Kraju naczelnego wodza, ministra wojny i szefa sztabu jest przedmiotem ciągłego oburzenia. Oburzenie to szczególnie kieruje się przeciwko Kasprzyckiemu. Może dzieje się to dlatego, że defilady 3 maja 1939 r. i 15 sierpnia 1939 r. odbierał Kasprzycki i przez to pozostał w pamięci świeżej społeczeństwa.

► możliwość uzyskania dla POLSKI pożyczki na terenie banków angielskich. Ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych Anglii w pierwszych dniach października 1937 r. kategorycznie sprzeciwiło się udzieleniu Polsce pożyczki... ze względu na niejasność polityki zagranicznej ministra Becka. Przed wyjazdem do Rumunii i po przyjeździe z Bukaresztu melduję o tej sprawie marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi w czasie mojego pobytu w Warszawie, podkreślając, że marszałek sam musi wystąpić na terenie Anglii oraz musi w krótkim czasie odsunąć ministra Becka. Niestety, spotkałem się z silną kontrakcją zakulisową prowadzoną przez płk. Adama KOCA i płk. Bogusława MIEDZIŃSKIEGO, będących doradcami marszałka i przyjaciółmi ministra BECKA.

Stanowisko Polski w momencie anektowania Austrii przez Hitlera, stanowisko Polski względem Litwy i później Czechosłowacji wytwarza coraz

generalnego w Londynie – Karola Poznańskiego. Minister Beck posiada opinię jednego z najsprytniejszych polskich ministrów, ale Anglia nie posiada do niego zaufania.

Anektowanie Czechosłowacji stwarza sytuację bardziej przychylną dla Polski, następuje deklaracja premiera angielskiego i wyjazd ministra Becka do Londynu. W czasie swojego pobytu w Anglii minister Beck poprawia swoją opinię, jednak Anglicy chcieliby widzieć marszałka Śmigłego-Rydzę u siebie. I już w czasie dalszego sondowania uzyskuję zapewnienia, że Anglia – w czasie pobytu marszałka Śmigłego-Rydzę w Londynie – będzie gotową mówić o wielkiej pożyczce dla Polski, wielkich kredytach, budowie dwóch fabryk samochodów w Polsce, zawarciu bardzo korzystnego dla Polski traktatu handlowego.

Melduję o całości marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi – listownie – a w kilka dni później ukazuje się w prasie

Rzepecki uważał za konieczne radykalne zredukowanie licznej, a kosztownej kawalerii.

bardziej nieprzychylną sytuację dla Polski na terenie Francji i Anglii. Mimo wszystko w styczniu 1939 r. wchodzę w ścisły kontakt z ludźmi posiadającymi wpływy i znaczenie na terenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wojskowych w Anglii, w wyniku czego już 13 marca 1939 r. mam konferencję w Hotelu „Deux Monds” w Paryżu przy avenue de l’Opera z dwoma Anglikami półoficjalnymi, którzy oświadczają, że Anglia jest gotową udzielić Polsce pożyczkę w wysokości 27.500.000 funtów, z czego 17.500.000 na budowę kanału łączącego Bałtyk z Morzem Czarnym. Nadto organizuje się towarzystwo w Londynie „Maurice Augsbourg & Comp. London”, mające zakupić w Polsce broń za kwotę 6.000.000 funtów celem umożliwienia Polsce podniesienia produkcji w P.W.U. o jakieś 200%. – Anglia prosi o: 1/ jasność polskiej polityki zagranicznej, 2/ poprawienie stosunków z Francją, 3/ przysyłanie do Londynu dla prowadzenia pertraktacji Polaków rdzennego pochodzenia polskiego. Rząd angielski z chęcią wielką i radością przyjąłby marszałka Śmigłego-Rydzę w Londynie, a przyjazdowi jego nadałby odpowiedni rozgłos. Prosi o odsunięcie od pertraktacji ambasadora Raczyńskiego (dobrze ułożony i dobrze wychowany, ale...) i konsula

międzynarodowej wiadomości, „że marszałek Śmigły-Rydz – razem z marszałkiem WOROSZYŁOWEM – ma być zaproszony przez Rząd Anglii na manewry jesienne”. W kilka dni później następuje sprostowanie i wyjazd marszałka Śmigłego-Rydzę do Anglii zostaje storpedowany. Jak stwierdziłem, wiadomość tę – drogą okrężną – puściło Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, tj. minister BECK, celem storpedowania ewentualnego wyjazdu marszałka Śmigłego-Rydzę do Londynu.

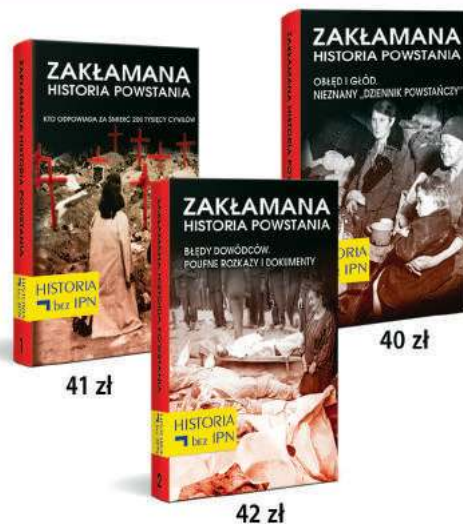
W czerwcu 1939 r. do Londynu wyjeżdża w towarzystwie falangi kombinatorów żydowskich – Adam KOC – pożyczki Polska nie uzyskuje, w Polsce – celem uspokojenia opinii publicznej – puszcza się fałszywe wieści, polityka ministra Józefa BECKA i jego przyjaciół jeszcze raz „święci tryumfy”, a w wyniku czego POLSKA w przededniu wojny z Hitlerem jest prawie nieprzygotowana.

Londyn, dnia 9 listopada 1940 r.

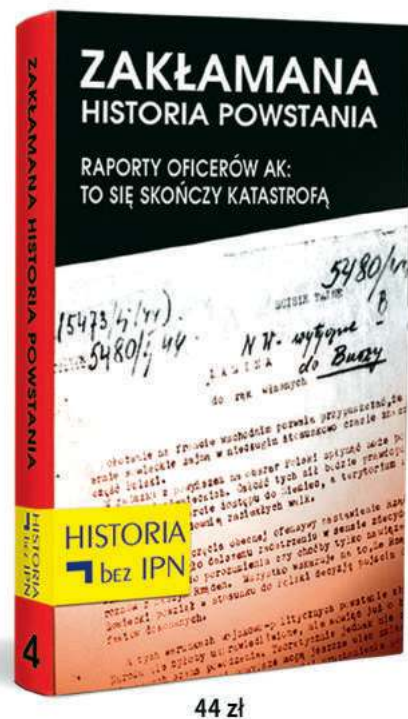
Przytoczone dokumenty, w których jedynie rozwinięto skróty, pochodzą z książki „Kto odpowiada za klęskę wrześniową”, którą będzie można kupić w sklepie PRZEGLĄDU już wkrótce.

Paweł Dybicz

4 TOMY W PAKIECIE
TANIEJ – 130 ZŁ



**Oryginalne dokumenty!
Cynizm i głupota
dowódców!**



Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na
www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki
nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej
priorytetowej +5,00 zł lub dostawy
kurierem InPost +14,90 zł.

Rozmawia
Małgorzata Szczepańska-Piszc

Trudna walka z pedofilią

Bogaty Kościół działa na granicy prawa, a nawet to prawo łamie

Czy dzisiaj w Polsce adwokat musi się wykazać dużą odwagą, żeby bronić ofiarę kościelnego pedofila?

– Nie, bo adwokat, żeby mógł dobrze wykonywać swój zawód, w ogóle musi być odważny. To oczywiste, że każdy ma prawo do obrony. W tym ofiary księży pedofilów czy zakonników pedofilów. Takie sprawy nie wymagają szczególnej odwagi, raczej wyjątkowego zaangażowania. Są bowiem bardzo, bardzo trudne.

Dlaczego?

– Ponieważ pedofilię przez lata ukrywano, a raczej wiedza o tym zjawisku nie była powszechna. Zresztą nie tylko w Kościele inaczej ją traktowano. Sam dawno temu prowadziłem jako obrońca sprawę pedofila – tłumacza, który nie tylko wykorzystywał małoletnich, ale jeszcze kontaktował ich z pedofilami z Zachodu. I traktowano to jako drugorzędnego rodzaju występki. Ale od tamtego czasu zmieniła się moralność. Jesteśmy bardziej wrażliwi na krzywdę człowieka, a dziecka w szczególności.

Ale chyba i kiedyś, i teraz dużo łatwiej walczyć z pedofilią w szkole niż w Kościele.

– Kościół otoczył się szczelnymi murami: murem konkordatu i murem kodeksu kanonicznego. Te mury wspierane są dodatkowo przez instytucje państwa polskiego. Państwa, które niby jest świeckie, ale tak naprawdę coraz bardziej kościelne. Prokurator z całą bezwzględnością będzie ścigał nauczyciela pedofila. Ale już wobec księdza wykorzystującego dzieci zacznie postępować według innych standardów.

Homoseksualizm i pedofilia są w tym środowisku rozpowszechnione. Bardziej, niż to mówią statystyki.

Co jest ważniejsze: polski Kodeks karny czy Kodeks prawa kanonicznego?

– Duchownych, tak jak innych polskich obywateli, obowiązuje przede wszystkim polski Kodeks karny, wszystkie ustawy i polska konstytucja. Kodeks kanoniczny jest wobec nich podrzędny, nie jest w Polsce obowiązującym prawem.



MEC. JANUSZ MAZUR

– adwokat ofiary księdza pedofila działającego wiele lat na terenie archidiecezji wrocławskiej i diecezji bydgoskiej

To dlaczego księża i biskupi mogą się nim zastępować?

– Ponieważ jest na to przyzwolenie. W sprawie, którą obecnie prowadzę, bydgoskiego gimnazjalisty, molestowanego w latach 2006-2009 przez ks. Pawła Kanię, obrońca księdza również powołuje się na kodeks kanoniczny.

Proszę przypomnieć tę sprawę.

– Przed Sądem Okręgowym w Bydgoszczy domagam się

zestawienie obecnie przez biskupów Józefa Kupnego i Jana Tyrawę. To biskupi, przełożeni ks. Kani (biskupem Wrocławia, odpowiedzialnym za międzydiecezjalne „transfery” ks. Kani, był wówczas Marian Gołębiewski), umożliwili mu molestowanie seksualne nieletnich – bo mój klient nie jest jedyną ofiarą Pawła Kani. Przenosząc go z parafii do parafii, z diecezji do diecezji, zacierali ślady jego pedofilskiej działalności. I umożliwiali kontynuowanie pedofilskich praktyk. **Powtórzę pytanie: jak to możliwe, że mogą się zastępować kodeksem kanonicznym w sądzie świeckim, gdzie obowiązuje prawo świeckie?**

– Próbuja, mataczą, czasami to jest skuteczne, niestety. Właśnie sprawa ks. Kani jest tego dobrym przykładem. W czasie pierwszego procesu przed Sądem Rejonowym we Wrocławiu słusznie uznano go za winnego posiadania pornografii dziecięcej. A w postępowaniu apelacyjnym uniewinniono go od tego zarzutu. Na szczęście sąd szybko się zorientował,

zadośćuczynienia od Kościoła. Nie od księdza, który molestował i został skazany za to prawomocnym wyrokiem (odbywa obecnie karę pozbawienia wolności), tylko od jego przełożonych. W ramach tzw. czynu niedozwolonego na gruncie prawa cywilnego skarżę archidiecezję wrocławską i diecezję bydgoską, które według prawa polskiego są repre-

że popełnił błąd, który został skorygowany w postępowaniu kasacyjnym. Ale do dzisiaj biskupi – a właściwie ich pełnomocnicy – powołują się na ten wyrok. I sieją zamęt.

Kościół często też odmawia wglądu do akt księdza oskarżanego o pedofilię.

– Tak, nie można się dostać do akt osobowych księdza, bo „trwa postępowanie kanoniczne i wyłączona jest jawność postępowania”. A to bzdura. Prokurator ma prawo dostępu do wszystkich dokumentów.

Dlaczego więc tego prawa nie egzekwuje?

– Pozwalają mu na to przełożeni i władza: szef prokuratury rejonowej, prokurator generalny i sądy. To jest właśnie to przyzwolenie.

W prawie kanonicznym, gdy dobrze poszukać, są i zakaz molestowania, i kary za przestępstwa seksualne, i odpowiedzialność przełożonego za podlegającego mu księdza.

Na szczęście na ogół zastanawianie się kodeksem kanonicznym w sądzie nie działa. Ale co najciekawsze – właśnie w prawie kanonicznym, gdy dobrze w nim poszukać, są i zakaz molestowania, i liczne kary kanoniczne za przestępstwa seksualne, i odpowiedzialność przełożonego za podlegającego mu księdza, i konieczność absolutnego posłuszeństwa księdza wobec biskupa. Tylko że trzeba chcieć to znaleźć, a przede wszystkim egzekwować. Homoseksualizm i pedofilia są w tym środowisku bardzo rozpowszechnione. Moim zdaniem bardziej, niż to mówią statystyki, które szacują, że ok. 10% duchownych jest homoseksualnych. Czy ktoś uwierzy, że przełożony mający skłonności pedofilskie będzie karał podwładnego za molestowanie dzieci?! Nie można być sędzią we własnej sprawie. Dlatego w Kościele nigdy nie będzie sprawiedliwości, jeśli tę sprawiedliwość zostawić tylko w jego rękach.

Wyjątkowa pozycja Kościoła katolickiego w Polsce, przyzwolenie społeczne i instytucjonalne – co jeszcze powoduje, że sprawy o pedofilię duchownych rzadko kiedy trafiają do sądu?

– Również pieniądze. Kościół katolicki to bardzo bogata instytucja. Stać go na wynajmowanie skutecznych adwokatów, którzy jeżdżą po całej Polsce do ofiar i poza sądem zała-

twiają ugody. Nie prowadzą spraw, tylko je załatwiają. Często na granicy prawa albo to prawo łamiąc. W sprawie ks. Kani też jeździł adwokat, który reprezentuje wszystkich i wszystko załatwia po cichu, kłamiąc i matacząc.

Jak to reprezentuje wszystkich?

– W sprawie, którą obecnie prowadzę, występował jednocześnie jako pełnomocnik ks. Kani, archidiecezji wrocławskiej i mojego klienta. Kłamał, że chłopak nie ma żadnych szans w sądzie. I podsuwał mu do podpisania ugody, która na pewno nie leżała w interesie ofiary, oferowała niewielkie pieniądze i zamykała drogę do dalszych roszczeń.

Można być równocześnie pełnomocnikiem stron, które mają sprzeczne interesy?

– Nie, oczywiście, że nie można. I dlatego ten adwokat ma postępowanie dyscyplinarne przed sądem dyscyplinarnym Okręgowej Rady Adwokackiej we Wrocławiu.

Dlaczego jeszcze te sprawy o pedofilię są tak trudne?

– Ponieważ brakuje dowodów. Do niedawna uważano, że proboszcz wiedział o pedofilii wikarego tylko wtedy, gdy stał nad łóżkiem, w którym ksiądz molestował dziecko. A przecież jest tyle zachowań i sytuacji, które powinny zrodzić podejrzenie i wywołać reakcję przełożonego. Jeśli płyną sygnały z zewnątrz od dyrektora szkoły, rodziców, dzieci, że ksiądz zachowuje się dziwnie, dotyka miejsc intymnych, całuje, śpi w jednym pokoju z wychowankiem, włącza dzieciom filmy nasycone seksem, podaje alkohol, prowokuje rozmowy o seksie itp., i jeśli takie sygnały są ignorowane, możemy z całą pewnością mówić o współwinie, o współodpowiedzialności. Niestety, orzecznictwo, czyli praktyka, jest żadne. Komentatorzy też specjalnie tym się nie zajmują. I dopiero kolejne sprawy przed sądami w całej Polsce powoli zmuszają sędziów, żeby głębiej zinterpretowali przepisy i uznali winę także przełożonych księdza.

Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, twierdzi, że w Polsce brakuje standardów odpowiedzialności instytucjonalnej.

– Zgadzam się z nim w stu procentach. Brakuje orzecznictwa tworzącego te standardy. Dlatego czerpiemy z pracy Trybunału Europejskiego, to na niego się powołujemy. Ale i u nas mamy już pierwsze orzeczenia. Oczywiście sprawa poznańska – gdzie zakon musiał zapłacić ofierze milionowe odszkodowanie. Sprawa wychowanka specjalnego ośrodka wychowawczego prowadzonego przez boromeuszki w Zabrzu. Ale także wiele prowadzonych przez mec. Nowaka, który też wystąpił w filmie braci Sekielskich. I jeszcze inne, toczące się przed sądami gdzieś w Polsce, w tym moja, bydgoska. Torujemy drogę następnym. W tej bydgoskiej sprawie od razu skarżę instytucję, a w praktyce – przełożonych ks. Kani,

bo ich вина dla mnie jest bezsporna. **Jednak Kościół polski do winy się nie poczuwa. Abp Michalik powiedział: „Do zobowiązań finansowych Kościół nie może się poczuwać, odsyłamy do winowajcy. Co innego moralne zadośćuczynienie i pomoc ofiarom”.**

– Duchowny Kościoła katolickiego jest w pełni zależny od swojego przełożonego. Pracuje tam, gdzie biskup go pošle. Musi prosić o zgodę, żeby pójść na urlop czy na studia. Kościół to instytucja silnie zhierarchizowana. Jak wojsko. Przysłoby komuś do głowy, że dowódca nie odpowiada za swojego żołnierza?

Prof. Mirosław Nesterowicz wskazuje w pracach, że w przypadku kościelnej pedofilii można mówić o czterech winach Kościoła: winie własnej sprawcy (art. 415 kc), winie organu, bo osoba prawna jest zobowiązana do naprawienia szkody wyrządzonej z winy jego organu (art. 416 kc), winie w wyborze, bo Kościół wybiera, kształtuje i posyła konkretnych księży w konkretne miejsca (art. 429 kc) i winie w nadzorze (art. 430 kc). Czyli są w Polsce kodeksowe narzędzia do walki z kościelną pedofilią.

– Mimo to biskupi często w praktyce okazują się nietykalni. Chociaż przeczucali księdza pedofila z parafii do parafii czy nawet z diecezji do diecezji, doskonale znając jego skłon-

► ności. Wracamy tu do przyzwolenia społecznego. Ludzie bardziej wierzą hierarchom niż ofiarom. Ale to – na szczęście – się zmienia. Coś powoli się przetamuje. Mapa pedofilii czy filmy Smarzowskiego i braci Sekielskich na pewno miały w tym udział. **Wystąpił pan w filmie braci Sekielskich. Nie obawiał się pan negatywnych konsekwencji?**

– Nie miałem żadnych wątpliwości, czy wziąć udział, czy nie. Potraktowałem to nawet jako

dzielące mnie od potencjalnych klientów, ale pomogłem, bo pokierowałem, poinstruowałem, co mają dalej robić.

Czego jeszcze brakuje w Polsce, żeby ofiary kleru w końcu mogły otrzymać godziwe odszkodowania, tak jak na zachodzie Europy czy w Ameryce?

– Nie ma powszechnej znajomości prawa. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że coś ich naprawdę chroni i tylko muszą po to sięgnąć.

W Kościele nigdy nie będzie sprawiedliwości, jeśli tę sprawiedliwość zostawić tylko w jego rękach.

rodzaj adwokackiej powinności. I nie spotkałem się z negatywnymi konsekwencjami. Wręcz przeciwnie. Ludzie gratulowali mi odwagi, choć, jak mówiłem, ja tego tak nie traktuję; otwarcie wyrażali poparcie dla tego filmu – odebrałem wiele telefonów, spoza Polski, nawet z Australii, w tej sprawie. Dzwoniły również ofiary duchownych pedofilów. Żadnej sprawy nie przyjąłem z uwagi na odległości

Czyli brakuje edukacji prawnej?

– Tak jak edukacja seksualna, podobnie ta prawna jest potrzebna, i to już w szkole podstawowej. Kiedyś sędziowie, adwokaci i prokuratorzy chodzili do szkół i popularyzowali pewne zagadnienia prawne. Sam na takie spotkania byłem zapraszany. Teraz nie chodzą i powiedzmy to wprost: popularyzacja prawa dzisiaj w Polsce może być bardzo trudna.

Przecież żyjemy w czasach, gdy sędziemu, który wkłada koszulkę z napisem „Konstytucja”, zarzuca się, że naruszył etykę zawodową. To jest oczywiście skandal. Ale to w końcu minie. Nawet jeśli przed nami czas Mordoru. On też minie.

Tym łatwiej zrozumieć adwokatów z małych środowisk, którzy nie chcą brać spraw dotyczących pedofilii w Kościele.

– Oczywiście, ja w prawie 400-tysięcznej Bydgoszczy jestem w innej sytuacji niż adwokat w małym mieście, który ma wystąpić przeciwko wpływowemu księdzu proboszczowi czy biskupowi w sądzie rejonowym w Czulchowie, Chojnicach i Bytowie. To małe społeczności, bardzo ze sobą powiązane. Taki adwokat musi pewnie się liczyć z ostracyzmem towarzyskim czy nawet z utratą części klientów. I woli nie ryzykować. Ale jeśli chce, i tam może zachować się przyzwoicie, kontaktując ofiarę kościelnej pedofilii z adwokatem spoza małomiasteczkowego układu.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

MOTOAS INTERII

**WYBIERZ NAJLEPSZE
MODELE SAMOCHODÓW**

WYGRAJ NIESAMOWITE NAGRODY

**NAGRODA GŁÓWNA
YAMAHA
NMAX 125**

interia

MOTOAS.INTERIA.PL

Z Galicji



Jan Widacki

Mało zdolni uczniowie generała Kiszcza

Do najpodlejszych metod działania UB, a później SB, należały działania „dezinformacyjne” i „dezintegracyjne”. Ścisłe rozgraniczenie jednych i drugich było dość trudne, skoro celem „dezinformacji” była właśnie „dezintegracja”. Ta ostatnia polegała na skłócaniu i rozbijaniu różnych niewygodnych władzy środowisk, na kompromitowaniu liderów i osób wydających się potencjalnymi liderami. Na podrywaniu autorytetu, a czasem wręcz kompromitowaniu osób wpływowych w różnych środowiskach, cieszących się w nich autorytetem. Najczęstszą metodą realizacji takich działań było pisywanie anonimów, rozsiewanie za pośrednictwem tajnych współpracowników plotek, na manipulowaniu opinią publiczną za pomocą środków masowego przekazu. Przedmiotem plotek rozsiewanych za pomocą anonimów i przy udziale konfidentów były z reguły sprawy obyczajowe. Czasem prawdziwe, ale podkolorowane, czasem wyssane z palca. Sztuka polegała na tym, by w plotkach przemieszane były fakty z nieprawdą. Fakty musiały być łatwe do weryfikacji, co dodawało wiarygodności całej plotce. Pomówienia o posiadanie kochanek, nieślubnych dzieci, o dewiacje seksualne. Dobrego materiału do działań dezintegracyjnych dostarczały sprawy rozwodowe i wywlekane tam informacje. Także dane z podsłuchów, kontroli korespondencji, doniesień konfidentów. Dobrze, choć trochę gorzej, sprawdzały się też plotki o rzekomych nadużyciach gospodarczych, nielegalnie gromadzonym, czy już zgromadzonym majątku. Czasem sięgano do pochodzenia osoby, wobec której przedsięwzięto takie czynności. Dobrze sprzedawało się wynalezienie (lub wymyślenie, co to za problem?) jakiegoś przodka volks-

deutscha albo Żyda. Zdarzało się, że jednego i drugiego równocześnie. Jaki to problem? Przecież „ciemny lud i tak to kupi”, mawiali esbecy spece od dezintegracji. „Ciemny lud to kupi” powtarza i dziś szef partyjnej propagandy Jacek Kurski. Takie działania dezintegracyjne podejmowano przeciwko działaczom opozycji, przeciwko autorytetom środowisk opozycyjnych, wobec wpływowych duchownych.

Na podstawie materiałów zgromadzonych przez bezpiekę redagowano anonimy. Ich projekty zatwierdzał szef pisaćcego, potem robiono przeciek do zaufanych dziennikarzy, czasem wysyłano anonimy na kilka, a nawet kilkadziesiąt starannie wybranych adresów. Później metodami

resie rządzącej partii łamano ludziom kariery, rozbijano życie rodzinne, wywlekano na widok publiczny sprawy najbardziej prywatne, czasem ubarwione lub zmyślane od początku do końca. Robiono to na skalę, na jaką pozwalały ówczesne technologie. Esbecy nie mieli internetu. Ich naśladowcy z IV RP mieli do dyspozycji to doskonalsze i groźniejsze narzędzie. Bez skrupułów z niego korzystali.

Esbecy, którzy takie praktyki stosowali, byli przekonani, że dobrze służą PRL, jej przewodniej sile, jaką była wtedy PZPR. Byli przekonani, że „bronią socjalizmu jak niepodległości”, a socjalizm jest polską racją stanu. Byli przekonani, że walczą z wicherzycielami, warchołami, agentami imperializmu, którzy tej racji

Ludzie o moralności i mentalności podrzędnych ubeków kierowali Ministerstwem Sprawiedliwości i „naprawiali” sądownictwo.

operacyjnymi (podsłuch, doniesienia konfidentów) sprawdzano skuteczność akcji. Wszystkie te działania dezintegracyjne były tajne, ich dokumentacja miała klauzulę „tajne spec. znaczenia”.

Takie zabiegi realizowały znamiona działań przestępczych: pomówień, zniesławień. Ponieważ te zniesławienia, pomówienia i naruszenia dóbr osobistych dokonywane były nie przez osoby prywatne, ale przez funkcjonariuszy państwa, mieliśmy tu do czynienia z przestępstwem przekroczenia przez nich uprawnień. Żaden przepis prawa, nawet w PRL, nie upoważniał organów państwowych ani ich funkcjonariuszy do pomawiania, zniesławiania obywateli czy do naruszania ich dóbr osobistych. Było to nie tylko przestępstwo, ale przede wszystkim podłość. W imię bliżej nieokreślonego „interesu operacyjnego”, w wątpliwym inte-

stanu szkodzą. Byli przekonani, że cel uświęca środki, ale byli pewni, że są po „dobrej stronie mocy”. Nie byli. Społeczeństwo oceniło ich jednoznacznie. Może nawet czasem nazbyt surowo. A cel nigdy nie uświęca środków! Wydawało się, że takie praktyki, oczywiście niedopuszczalne w żadnym państwie prawa, skończyły się wraz z rozwiązaniem w sierpniu 1990 r. Służby Bezpieczeństwa.

Ostatnie dni pokazały, że się nie skończyły. Co więcej, działania dezintegracyjne wedle esbeckich wzorów (ale jednak nieudolnie!) realizowała banda (tak, banda!), której hersztem był urzędujący wiceminister sprawiedliwości, z zawodu sędzia! W tej bandzie byli też inni sędziowie! Podli i infantylni. Komunistyczne służby specjalne, których działalność – obrzydliwą i często przestępczą – nieudolnie naśladowali, bo przecież w końcu wpadli, tak dalece im ▶

► imponowały, że nawet nazywali się „oficerami prowadzącymi” agentki Emilii. Ujawniony język, jakim się posługiwali, daje świadectwo poziomu ich kultury i umiarkowanych zdolności wystawiania się.

Przed kilku laty cała Polska była oburzona językiem polityków Platformy Obywatelskiej zajądających ośmiorniczki u Sowcy i Przyjaciół. Dziś taki język zademonstrowała sędziowsko-pisowska elita. I to nie przy jedzeniu ośmiorniczek, ale przy realizacji najpaskudniejszych działań wymierzonych w przeciwników politycznych.

No to dowiedzieliśmy się. Ludzie o moralności i mentalności podrzędnych ubeków kierowali Ministerstwem Sprawiedliwości i „naprawiali” sądownictwo. Do niedawna wiceminister sprawiedliwości, prawa ręka Zbigniewa Ziobry, współtwórca deformy sądownictwa, trafnie przez członków swojej bandy zwany hersztem Łukasz Piebiak i jego współpracownik sędzia Jakub Iwaniec (mam nadzieję, że niebawem dowiemy się o innych jeszcze członkach bandy) ujawnili właśnie swoją moralność i mentalność na poziomie podrzędnego ubeka. Byli jednak od takiego podrzędnego ubeka głępsi i mniej profesjonalni. Oficjalnie brzydili się ubekami. Poobniżali im emerytury, zohydzi ich jako „wrogów narodu”, a jednak ich naśladowali. Tak jak po-trafil, to znaczy nieudolnie.

Mam nadzieję, że tej sprawy nie da się zamieść pod dywan i nie skończy się na dymisji Piebiaka oraz na odwołaniu delegacji Iwańca. Czy ci ludzie spełniają wymogi „nieskazitelnego charakteru”, którego oczekuje się od sędziów? Czy wrócą do sądów? Mam nadzieję, że nie.

Niektórzy podejrzewają, że ujawnienie afery zawdzięczamy rozgrywkom w obozie władzy, że służby wierne premierowi ujawniły tę dezintegracyjną działalność koordynowaną na wysokim szczeblu Ministerstwa Sprawiedliwości, aby osłabić jego politycznego konkurenta Ziobrę. Może tak było, a może nie. To w gruncie rzeczy obojętne. Tak czy owak, naród dowiedział się, że nie może mieć żadnego zaufania do swojego państwa i jego funkcjonariuszy. Dowiedział się, czym może być państwo i jego urzędy. Czy zrozumiał? To się okaże w październiku.

Jan Widacki

U nas aborcji nie ma

Południowy wschód Polski stał się regionem zakłamania i braku poszanowania dla prawa.

W imię walki o życie poczęte

Ewa Smolińska-Borecka

Hanna mieszka w Rzeszowie. W stolicy województwa chełpiącego się tym, że jest strefą wolną nie tylko od LGBT, ale i aborcji. Dwa miesiące temu poszła na domówkę. W gronie znajomych z uczelni czuła się bezpiecznie. To był wspaniały wieczór. Roztańczony. Janusz, którego znała z widzenia, cały czas ją adorował. Była zaskoczona, ale i zachwycona jego zainteresowaniem. Zwykle nie pije, jednak namówił ją na drinka. Wypiła tylko jednego. Nie wie, jak to się stało, że film jej się urwał. Rano obudziła się u boku Janusza. Zapewniał, że między nimi do niczego nie

W Podkarpackiem liczba aborcji wynosiła zero. Województwo chlubi się tym wynikiem.

doszło. A ona mu uwierzyła. Koleżanka powiedziała, że urwany film po jednym drinku to nie jest normalne. Że słyszała o takich facetach, którzy w klubach czy na domówkach dodają kumpelkom do drinków pigułkę gwałtu. Ale Hanna tylko się roześmiała.

Janusz nie zadzwonił, choć obiecał. Spóźnienie miesięczki nie od razu ją zaniepokoiło. Tak się zdarzało wcześniej. Ale spóźnienie się przedłużało. Hanna kupiła test ciążowy. Jednak nie było prawdą, że tej nocy z Januszem nic się nie wydarzyło. Test wskazywał, że jest w ciąży. Poszła do ginekologa. Potwierdził. To był siódmy tydzień. Lekarz uświadomił jej, że musi urodzić dziecko. Musi. Takie jest w Polsce prawo. No chyba że zgłosi na policję, że doszło do gwałtu. W takim przypadku ustawa przewiduje możliwość wykonania legalnej aborcji. Ale pewnie będzie musiała tłumaczyć, dlaczego wcześniej nie poinformowała o tym incydencie.

Hanna słyszała nieraz o turystyce aborcyjnej, ale jakoś nie przyszło jej do głowy, że kiedyś sama skorzysta z oferty zagranicznej kliniki. Namiary znalazła w internecie. Wybrała Słowację. Z kilku powodów. Po pierwsze, tam było najtaniej – 390 euro. Po drugie, o nic nie pytali, nie trzeba było mieć żadnych badań. A po trzecie, bo najbliższej Rzeszowa. I na dodatek można było się dogadać po polsku. Zadzwoniła, umówiła się. Pojechała pociągiem do Krakowa, stamtąd zabrał ją opłacony samochód z kliniki – 550 zł plus 20 euro. Przeszła zabieg. Tego samego dnia wróciła do kraju. A kiedy zobaczyła statystyki Ministerstwa Zdrowia dotyczące legalnych aborcji przeprowadzonych w zeszłym roku, uśmiechnęła się. Liczba

legalnych aborcji w województwie podkarpackim wynosiła zero. I Hanna pomyślała, że zapewne w tegorocznych statystykach jej województwo też będzie miało wynik zero. A jej historia jakby nigdy się nie zdarzyła. Jednego jest pewna – już nie zaufa żadnemu kumpłowi. Kupiła bransoletkę LimeBand, dzięki której może wykryć pigułkę gwałtu w napoju.

Cicho sza

W sierpniu Ministerstwo Zdrowia podało dane dotyczące liczby legalnych aborcji w 2018 r. Przeprowadzono ich w kraju 1076. Większość, bo aż 1500, były to aborcje z powodów eugenicznych, czyli poważnych wad płodu. Zaledwie 25 spowodowanych było zagrożeniem życia lub zdrowia kobiety, a tylko jedna z powodu czynu zabronionego, czyli gwałtu lub kazirodztwa. Po raz drugi z rzędu w województwie podkarpackim liczba aborcji wynosiła zero. Województwo chlubi się tym wynikiem. Chociaż



Warszawa, 3 października 2017 r. Czarny Wtorek – protest w obronie praw kobiet.

lekarze w innych województwach dobrze wiedzą, że w podkarpackich szpitalach odmawia się wykonania zabiegów kobietom, które mają do tego prawo w świetle obowiązującej ustawy. Podobnie jest w województwie lubelskim, gdzie było 11 aborcji. Południowy wschód Polski stał się regionem zakłamania i braku poszanowania dla prawa. W imię walki o życie poczęte.

Kobiety, którym odmówiono wykonania legalnej aborcji w Polsce,

1993 r. To wtedy legalne aborcje zostały ograniczone do trzech przypadków: kiedy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, kiedy jest duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu oraz kiedy jest uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego. We wszystkich innych przypadkach w Polsce nie można wykonać aborcji legalnie. Lekarzowi,

w wyjeździe do zagranicznej kliniki potem zaczęła ją szantażować, że ujawni, w jakim celu tamta pojechała. Tymczasem zapomniała, że to ona może ponieść konsekwencje jako osoba, która pomagała w dokonaniu aborcji, a nie ciężarna kobieta. Poddawanie się aborcji za granicą jest bowiem zgodne z prawem, a pomaganie w wyjeździe już nie.

Lekarze nigdy nie mówili chętnie o problematyce aborcji. A teraz, w dobie hejtu, kiedy na dodatek okazało się, że działalność tzw. trolli może być organizowana przez ministerstwo, jeszcze trudniej namówić kogoś do rozmowy. Jeden z radnych sejmiku województwa podkarpackiego powiedział wprost „Naszemu Dziennikowi”, że gdyby któryś z dyrektorów szpitali w tamtym województwie zgodził się, by w jego placówce wykonano aborcję, miałby pikietę pod lecznicą. Skąd jednak organizatorzy pikiet mieliby o tym się dowiedzieć, nie wyjawili. Przecież obowiązuje RODO, a w placówkach ochrony zdrowia zamiast nazwisk pacjentów stosuje się pseudonimy. Tak więc lekarze i dyrektorzy poważnych placówek wykręcają się brakiem

Według Ministerstwa Zdrowia w województwie lubelskim w 2018 r. przeprowadzono 11 aborcji.

mogą się zgłosić na ten zabieg w innych krajach Unii Europejskiej. Dyrektywa transgraniczna, która to określa, weszła w życie w 2011 r. Pacjentka otrzymuje zwrot kosztów terminacji. Jedynym dokumentem potrzebnym w takim wypadku jest skierowanie na zabieg, na mocy którego powinna mieć wykonaną aborcję w Polsce. Liczby tych zabiegów statystyki Ministerstwa Zdrowia nie obejmują.

Ustawa antyaborcyjna weszła w życie 26 lat temu, w styczniu

który podejmuje się mimo wszystko takiego zabiegu w sytuacjach innych niż określone w ustawie, grozi do 10 lat więzienia, a osobie, która służy pomocą – do trzech lat więzienia.

Aborcja zawsze była tematem tabu, ale nowa ustawa sprawiła, że nawet rozmowy na ten temat stały się niebezpieczne. Słyszysz się, że lekarz podaje zamiar na ginekologa na kartce, którą – po pokazaniu pacjentce – natychmiast niszczy. Albo, że kobieta towarzysząca przyjaciółce

► czasu, a jeśli decydują się mówić, proszą o zachowanie anonimowości. Jeden z anonimowych lekarzy z tytułem profesora mówi, że podawane przez Ministerstwo Zdrowia dane są zafałszowane. Że turystyka aborcyjna kwitnie, a rząd z tym nic nie robi. I pan profesor długo się zastanawia, kto w kraju zechciałby się wypowiadać pod swoim nazwiskiem. Bo on nie. Przestrzega, że na pewno nie będzie żadnego odważnego lekarza w województwach podkarpackim i lubelskim.

Inny lekarz, z tytułem doktora, uważa, że powinniśmy iść w kierunku, który obrała Islandia. Tam jeśli badanie kariotypu wykazuje nieprawidłowości, wówczas kobieta decyduje się na terminację ciąży. Jest to wynik wieloletniej akcji uświadamiającej „Nie musisz urodzić” prowadzonej przez państwo. W rezultacie rocznie rodzi się tam jedno lub dwoje dzieci z wadami genetycznymi. Uszkodzony płód to udręka dla rodziny na wiele lat i koszty dla społeczeństwa, uważa lekarz. W 2000 r. w Islandii wprowadzono badania prenatalne pod kątem wykrycia wad płodu i decyduje się na nie 80% kobiet. Bada się również kariotyp z krwi matki. Od 1 września w Islandii wejdą w życie nowe przepisy. Zgodnie z nimi aborcja będzie legalna do 22. tygodnia ciąży, a nieletnie dziewczyny nie będą musiały mieć zgody rodziców na aborcję.

Badasz, pomóż

Kolejny anonimowy lekarz. Twierdzi, że albo będziemy korzystać ze zdobyczy, jaką są badania

prenatalne, albo będziemy dźwigać garb w postaci dzieci z wadami. Dzięki tym badaniom matka już w szóstym tygodniu wie, że płód jest nieodwracalnie upośledzony. Co z tego, kiedy w wielu takich przypadkach kobieta nie może się doczekać aborcji. Bywa, że lekarz zastania się klauzulą sumienia, która jednak nie może obejmować całego szpitala, bo dotyczy konkretnej osoby, a nie placówki. Ale jednak zdarza się, że obejmuje. A kobieta szuka pomocy

Kobiety, którym odmówiono wykonania legalnej aborcji w Polsce, mogą się zgłosić na ten zabieg w innych krajach UE.

w innych szpitalach lub innych województwach. Bywa, że trafia do podziemia aborcyjnego i dostaje się w ręce osoby, która nie jest ginekologiem, lub kupuje na czarnym rynku pigułkę aborcyjną, która okazuje się sfałszowana.

– Nie wiem, jaka jest skala podziemia aborcyjnego – mówi prof. Krzysztof Czajkowski, krajowy konsultant w zakresie położnictwa i ginekologii, kierownik II Katedry i Kliniki Położnictwa i Ginekologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – W naszym szpitalu nie spotykamy się z takimi sytuacjami, że zgłasza się kobieta z krwotokiem, który powstał w wyniku nielegalnie przeprowadzonej aborcji.

Prof. Czajkowski wyjaśnia, że zgodnie z obowiązującymi zasadami ginekolodzy położnicy mają obowiązek powiedzenia pacjentkom, że istnieją badania prenatalne. Ich celem jest, po pierwsze, wykrycie trisomii 13., 18. lub 21. pary chromosomów,

to znaczy takiej sytuacji, kiedy zamiast dwóch chromosomów są trzy. Jeśli trisomia jest w parze 13., powoduje to powstanie zespołu Patau, jeśli w parze 18. – zespołu Edwardsa, jeśli w 21. – zespołu Downa. Dwa pierwsze zespoły powodują, że płód ginie w czasie ciąży albo dziecko umiera wkrótce po urodzeniu. Jeśli badanie przesiewowe (test PAPPA) wykaze, że istnieje duże ryzyko obecności jednego z tych zespołów, wówczas zalecane jest wykonanie

amniopunkcji lub testu genetycznego z krwi matki. Test z krwi nie jest jednak refundowany, a kosztuje ok. 2,5 tys. zł.

Badania prenatalne robi się także w celu wykrycia wad morfologicznych płodu, które czasem mogą być ciężkim zaburzeniem rozwojowym i powodują śmierć płodu lub nowo narodzonego dziecka. Takimi wadami są m.in. wady mózgu, takie jak bezczaszki, bezmózgowie, brak serca u jednego z bliźniąt lub ciężka ektopia serca, czyli położenie serca poza obrębem klatki sercowej. Nie wszystkie wady morfologiczne udaje się zdiagnozować w okresie płodowym.

– Po tych badaniach, o ile wykażą one wady płodu, kobieta może zdecydować, czy będzie kontynuować ciążę – mówi prof. Czajkowski. – Pacjentki, które po takiej diagnozie czują się przerażone i zagubione, zgłaszają się do grup wsparcia, gdzie mogą znaleźć odpowiedź na wiele szczegółowych pytań. Jeśli jednak nie decydują się na kontynuowanie ciąży, to czasem ośrodek, który zdiagnozował wadę płodu, nie chce wykonać aborcji. Są w Polsce regiony, w których oficjalnie nie indukuje się poronienia. Znam też konsultantów w wojewódzkich, którzy – kiedy zgłasza się do nich taka kobieta – mówią: „Ja nic nie wiem”. W środowisku medycznym znakomita większość lekarzy najchętniej w ogóle nie wykonywałaby aborcji, ale nie odsyłają kobiet, nie zostawiają ich bez pomocy. Tymczasem są szpitale, w których robi się badania prenatalne, a potem mówi pacjentce: „Ma pani kłopot”. To pewien rodzaj dewocji. Uważam,

E-prenumerata na leniucha!

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Kup raz i czytaj nowy numer już w każdą sobotę!

MIESIĘCZNA	KWARTALNA	PÓŁROCZNA	ROCZNA
12,90 zł	39,90 zł	69,90 zł	119,90 zł

Przegląd

że jeżeli ośrodek chce brać od NFZ pieniądze za przeprowadzanie badań prenatalnych, powinien mieć obowiązek udzielania pomocy kobiecie zgodnie z jej decyzją.

W ubiegłym roku w Polsce badaniom prenatalnym poddano 106 360 pacjentek, a koszt tych badań wyniósł 70,02 mln zł. Tymczasem – jak podaje Ministerstwo Zdrowia – z powodów eugenicznych wykonano jedynie 1050 aborcji. Tak więc tylko mniej niż 1% badań prenatalnych było powodem do podjęcia przez kobiety decyzji o terminacji ciąży. Nawet w tak katolickim społeczeństwie jak nasze jest to wynik, który musi budzić wątpliwości. To niewiarygodne, by był to tak mały odsetek. W Podkarpackim Oddziale Wojewódzkim NFZ badania prenatalne przeprowadzono 4424 pacjentkom, a kosztowały one 2,6 mln zł. Badania te wykonały trzy placówki. Ale w żadnej z nich nie wykonano ani jednej aborcji. Co więc się stało z kobietami, które nie zdecydowały się kontynuować ciąży? Turystyka aborcyjna? Podziemie? A może autoaborcja?

Trzeba mieć na piśmie

Syndrom trolla (trollkini?) o imieniu Emilia chyba cieniem strachu padł na organizacje kobiece. Nawet te, które do tej pory brały udział w manifach, teraz nie chcą specjalnie się afiszować ze swoimi poglądami dotyczącymi aborcji. Jedne organizacje nie odpowiadają na mejle. Drugie owszem, ale żeby powiedzieć, że nie interesują się kwestiami praw reprodukcyjnych, lecz wyłącznie przemocą. Ale przemoc to także gwałt, a konsekwencją gwałtu może być ciąża.

Joanna Religa, koordynatorka ds. komunikacji i promocji Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, podobnie jak lekarze uważa, że dane dotyczące legalnych aborcji podane przez Ministerstwo Zdrowia są zaniżone, bo nie uwzględniają tych kobiet, które zgodnie z ustawą mogły się poddać zabiegowi, ale im odmówiono. To dlatego, że szpital nie chciał się narażać środowiskom walczącym o zaostreżenie ustawy antyaborcyjnej.

– Dostęp do legalnych zabiegów jest utrudniony – mówi Religa.

– Codziennie dzwoni do naszej federacji kilka kobiet z badaniami prenatalnymi i skierowaniem na zabieg i skarżą się, że w szpitalu nie wykonano aborcji. Na dodatek odmowy dostają ustnie i nie są one nigdzie odnotowywane, a powinny być. Uświadamiamy tym kobietom, że powinny wymagać odmowy na piśmie, żeby potem mogły się zgłosić do innego szpitala. Wiele pacjentek, dobrze sytuowanych, żeby nie przeżywać stresu i upokorzeń, wybiera terminację za granicą. Wielokrotnie jest to ciąża wyczekiwana przez lata, ale ze względu na wady płodu kobieta nie decyduje się jej kontynuować.

Turystyka aborcyjna kwitnie, a rząd z tym nic nie robi.

Federacja nie monitoruje faktycznej liczby zabiegów, którym poddają się polskie kobiety, bo nie ma takich możliwości. Na podstawie danych historycznych oraz trendów – jak mówi Religa – w federacji oceniają, że Polki poddają się rocznie od 80 tys. do 150 tys. zabiegów. Badania wykonane w 2013 r. przez CBOS wykazały, że 30% kobiet polskich co najmniej raz przerwało ciążę.

Okiem pani komisar

W marcu br. gościła w Polsce Dunja Mijatović, komisarka praw człowieka Rady Europy. Zapoznała się z przestrzeganiem praw człowieka w Polsce, m.in. także z problemami dotyczącymi aborcji. W konsekwencji wizyty powstał raport, który otrzymał polski rząd. Mijatović stwierdza w nim, że jest zaniepokojona faktem, że tak wiele Polek, których liczba według niektórych szacunków może sięgać kilkudziesięciu tysięcy rocznie, ucieka się do potajemnej aborcji lub jeździ w tym celu za granicę. Jest też zaniepokojona, że w niektórych rejonach Polski zabiegi terminacji są bardzo ograniczone lub niedostępne z powodu powoływania się lekarzy na klauzulę sumienia. Uważa, że korzystanie lekarzy z wolności sumienia nie może zagrażać terminowemu wykonaniu aborcji. Kobiety i dziewczęta, którym przysługuje dostęp do aborcji, nie powinny napotykać żadnych przeszkód w dostępie do tych świadczeń

we własnym kraju. Komisarka wzywa też polski rząd, żeby stworzył jasne i skuteczne procedury, które pozwolą pacjentkom zorientować się, jakie kroki powinny podejmować, jeśli lekarz odmówi wykonania aborcji, powołując się na klauzulę sumienia.

Mijatović wzywa też parlament, by nie wprowadzał zaostreżeń ustawy antyaborcyjnej i powołuje się na badania, z których wynika, że rośnie poparcie społeczeństwa dla prawa kobiet do przerywania ciąży do 12. tygodnia życia. Apeluje również do Polski, by rozważyła wprowadzenie legalnej aborcji na życzenie we wczesnym okresie ciąży

i zagwarantowanie, aby kobieta nie była traktowana w sposób niehumanitarny i poniżający. Komisarka stwierdza, że wprowadzony wymóg posiadania recepty, by mieć dostęp do antykoncepcji awaryjnej, powinien być zniesiony, a lekarze wypisujący recepty i farmaceuci nie powinni powoływać się na klauzulę sumienia. Proponuje też rozważenie, by nieletnie dziewczyny mogły iść na wizytę do ginekologa bez wymaganej obecnie zgody opiekuna prawnego.

Sama

W 2006 r. powstał serwis Women on Web, a w Polsce jego odpowiednik – forum Kobiety w Sieci. W internecie kobiety rozmawiają o aborcji, m.in. o aborcji farmakologicznej, którą nazywa się „zrób to sama”. Twórczynie forum twierdzą, że ani rozmowy o terminacji ciąży prowadzone na forum, ani rozmowy telefoniczne nie są w Polsce zabronione. – Rozmawianie o aborcji jest legalne – mówi jedna z założycielek forum. – Podobnie jak samo jej przeprowadzanie w domu za pomocą środków poronnych. Prawo farmaceutyczne zezwala natomiast na przywóz z zagranicy leków na własny użytek lub zamówienie leków do domu pocztą.

Kobiety w sieci nie zajmują się sprowadzaniem leków; można je zamówić w internecie. Nie wiedzą też, ile kobiet skorzystało z metody farmakologicznej.

Ewa Smolińska-Borecka

Zabójcza siła pieniądza

Pieniądz zabija. Także wirtualny.

Potwierdzeniem tego jest samobójstwo

Tobiasza Niemiry z Olsztyna, związanego z firmą zajmującą się kryptowalutą

Marek Książek

Za pieniądze ludzie gotowi są zabijać, o czym świadczą zwłaszcza historie gangsterów, którzy bez skrupułów strzelają do konkurenta, jeśli próbuje przejąć mafijny rynek. Takie przypadki zdarzały się też w Olsztynie na przełomie wieków, kiedy doszło do prawdziwej wojny gangów. Jej skutkiem było kilka ofiar śmiertelnych. Dopóki ta krwawa rywalizacja rozgrywała się wewnątrz przestępczego świata, opinia publiczna obserwowała ją niczym amerykańskie filmy kryminalne. Dopiero gdy gangi zaczęły porwać ludzi, zapaliła się czerwona lampka, głównie w kręgach biznesu, bo kidnaping dotyczy przede wszystkim tej sfery.

Wojownik na pierwszej linii

Wtedy powstało Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie na rzecz Bezpieczeństwa, na czele którego stanął młody, wówczas ledwie 26-letni Tobiasz Niemiro, pasierb znanego restauratora, który powierzył mu prowadzenie popularnego lokalu w centrum Olsztyna. Za główny cel stowarzyszenie postawiło sobie powstrzymanie porwań. Dotknęły one nie tylko dorosłych – w tym właściciela hurtowni z obuwiem, diler samochodowego i przedsiębiorcę budowlanego – ale także kilkunastoletniego syna innego biznesmena, o czym pisaliśmy na łamach PRZEGŁADU. Niemiro i jego koledzy zmobilizowali policję, która na poważnie wzięła się do kidnapów, prokuratura doprowadziła do postawienia ich przed sądem, a ten wydał surowe wyroki, w tym dla czterech bandziorów po 25 lat pozbawienia wolności.

– Tych czterech jeszcze nie opuściło więziennych murów, choć od ich skazania minęło po 17-18 lat – mówi Jerzy Samociuk, dyrektor biura

stowarzyszenia, były komendant powiatowy policji w Olsztynie.

Tutaj trafiła również sprawa Krzysztofa Olewnika, nieskutecznie prowadzona – zdaniem rodziny zaginionego – przez mazowiecką policję. W rezultacie przeniesiono śledztwo do Olsztyna, gdzie organy ścigania doprowadziły do odnalezienia zwłok młodego biznesmena, co pozwoliło skazać oskarżonych na wysokie kary więzienia, choć do tej pory ta sprawa wzbudza kontrowersje. Potem organizacja pod zarządem Tobiasza Niemiry pomagała innym, nie tylko przedsiębiorcom, w dochodzeniu swoich praw, zyskując wysoką ocenę w regionie i kraju. Prezes stowarzyszenia uchodził za wojownika walczącego o sprawiedliwość.

Samobójstwo nad jeziorem

Na pierwszy rzut oka Niemiro nie przypominał poważnego biznesmena, raczej sprawiał wrażenie młodego człowieka, któremu ta walka daje satysfakcję. Wydawało się, że nie czuł lęku nawet przed porywaczami, którzy zaczęli już



Tobiasz Niemiro skutecznie walczył z porywaczami.

wychodzić z kryminału. W tekście „Powrót gangsterów” (PRZEGŁAD, 13 maja 2012) cytowaliśmy jego wypowiedź: „Podobno moje dni są policzone. Słyszę codziennie: »Po co się wychylasz, nigdy ci tego nie darują, to groźni bandyci i zawsze będziesz musiał się oglądać za siebie«”. Znajomi prezesa wiedzieli, że za paskiem nosił pistolet Glock, ukryty pod potą koszulą wykładanej na spodnie. Miał też pozwolenie na broń myśliwską, choć w jego domu nad jeziorem Żbik nikt nie widział poroża jelenia czy innych trofeów. Ale to nie z broni myśliwskiej się zabił, jak sugerowały niektóre gazety. Został znaleziony po południu 25 lipca w pobliżu swojego domu, z raną postrzałową głowy. Nie było wątpliwości, że z pistoletu.

– Jeszcze dzień wcześniej był w biurze, rozmawialiśmy na spokojnie – pamięta Jerzy Samociuk. – Nie było widać, że jest załamany, chociaż miał ku temu powody. Kserował dokumenty związane ze sprawą

bitcoinów, żeby porozysłać je do różnych osób i redakcji, a nazajutrz również mieliśmy się spotkać. Na drugi dzień jednak się nie odezwał. Rodzina też nie wiedziała, co się z nim dzieje, dlatego zawiadomiono policję. Nawet pojechałem na ulicę Żbiczą, gdzie Tobiasz mieszkał, na wypadek gdyby trzeba było z nim pogadać, bo przecież nosił broń przy sobie. Niestety, został znaleziony za późno.

Według lekarza śmierć nastąpiła kilka godzin wcześniej, najpewniej

Tobiasz Niemirowicz uchodził za wojownika walczącego o sprawiedliwość.

nad ranem. Prokuratura wykluczyła udział osób trzecich. Niemirowicz na jeziorem Żbik mieszkał sam. Dawno temu rozwiódł się z żoną, córką znanego w kraju producenta znaków drogowych, z którego to małżeństwa miał 16-letniego syna. Aktualnie miał partnerkę, nawet powierzył jej funkcję w jednej ze swoich spółek, ale mieszkała w Warszawie.

Po ujawnieniu informacji o śmierci biznesmena przez miasto przetoczyła się fala spekulacji i teorii spiskowych. Wiązano ten przypadek z gangsterem „Trollem”, odsiadującym wyrok 25 lat więzienia, który chciał wyjść na przepustkę, żeby na wolności poddać się operacji kręgosłupa. Zaprotestowało przeciw temu Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie na rzecz Bezpieczeństwa, uznając, że taki zabieg może się odbyć w warunkach więziennych. Tym samym Niemirowicz stał się głównym wrogiem „Trolla”, jak i innych skazanych kilkanaście lat temu gangsterów. Ale co bardziej zorientowani odrzucali taką wersję, bo jeśli można mówić o motywacji, to jej podłożem były wspomniane bitcoiny.

Tajemnicza kryptowaluta

Bitcoiny to najstarsza kryptowaluta, czyli wirtualny pieniądz wprowadzony do obiegu w 2009 r. Czarna magia dla przeciętnego Kowalskiego, wybierającego kasę z bankomatu. Znają się na tym specjaliści, którzy na jednym z fachowych portali tak o tym piszą: „Kryptowaluta, inaczej mówiąc waluta kryptograficzna, to

innowacyjny, rozproszony system księgowy, przechowujący informacje o stanie posiadania w umownych jednostkach. Tłumacząc to na bardziej zrozumiały język, jedną z głównych cech kryptowaluty jest to, że działa jak wirtualna waluta. Posiadacz takiej kryptowaluty przechowuje ją na swoim komputerze czy w smartfonowej aplikacji w tzw. portfelu, do którego dostęp ma tylko on. Jeżeli ma życzenie dokonać transakcji, odbywa się ona elektronicznie, bezpośrednio pomiędzy nim a kontrahentem. Każda jednostka kryptowaluty ma unikalny kod, w którym zawarte są informacje zapobiegające jej kopiowaniu czy ponownemu wydatkowaniu”.

Nie jest to więc biznes dla przeciętnego zjadacza chleba, ale co bystrzejsi inwestorzy zarobili na nim fortuny. Bo jeśli wartość bitcoina kilka lat temu wynosiła 800 zł, a teraz 40 tys. zł, to przebicie jest fantastyczne. Tą wirtualną walutą można grać na giełdzie kryptowalut i z taką

Został znaleziony po południu 25 lipca w pobliżu domu, z raną postrzałową głowy.

właśnie giełdą o nazwie BitMarket w 2014 r. związał się Tobiasz Niemirowicz, inwestując w nią – jak twierdził – ponad 600 tys. realnych złotych. Sprzedał w tym czasie dom handlowy w centrum miasta i miał fundusze na wykupienie 45% udziałów. Jego przyjaciel Marcin A. z Olsztyna objął tylko 10%, ale miał kierować firmą, przy wspomaganie ze strony

Niemirowicza. Pozostałe 45% udziałów objął biznesmen z Warszawy i to podobno on, razem z innym warszawiakiem, faktycznie organizacyjnie zarządzał giełdą – tak przynajmniej tłumaczył się niedługo przed samobójstwem Tobiasz Niemirowicz w rozmowie z Adamem Sochą z olsztyńskiego portalu Debata. Dodał przy tym, że gdy kupowali giełdę, miała ona 600 bitcoinów deficytu. Również portalowi Money.pl Niemirowicz wyjaśniał, że generalnie nie rozeznawał się w tych zawiłościach, dlatego dwa lata temu zrezygnował z funkcji organizacyjnych i odsprzedał swoje udziały olsztyńskiemu partnerowi.

W tym miejscu dodajmy, że kryptowaluty nie są oficjalnym środkiem płatniczym w Polsce, dlatego krajowe instytucje finansowe nie mają nad nimi kontroli. Spółki związane z BitMarketem były rejestrowane na Seszelach, w Wielkiej Brytanii i na Łotwie, a za rozliczenie odpowiadała firma w Londynie. Gdy więc w pierwszej połowie lipca tego roku media

ujawniły, że ta giełda zbankrutowała, na Facebooku utworzono grupę „BitMarket poszkodowani”, do której zapisało się kilka tysięcy osób. Wtedy w obiegu pojawiło się nazwisko Tobiasza Niemirowicza, choć wyjaśniał, że on już z tą firmą nie ma nic wspólnego, sam stracił na tym 1,2 mln zł, a to jego przyjaciel Marcin związał się z „szemranym towarzystwem” ▶

Odeszła

Anna Tatarkiewicz

Wybitna humanistka, tłumaczka literatury francuskiej, autorka błyskotliwych recenzji teatralnych i filmowych. Gościła także na łamach „Przeglądu”.

Żegnamy ważną dla naszego środowiska publicystkę i komentatorkę.

Bliskim serdecznie współczujemy.

*Jerzy Domański
i zespół „Przeglądu”*

► z Warszawy i to ono doprowadziło do nieszczęścia. Sprawą zajęła się prokuratura.

– Do Tobiasza nikt nie dzwonił ani z policji, ani z prokuratury. Co więcej, wbrew pogłoskom żaden z inwestorów giełdy nie żądał od niego zwrotu pieniędzy. Przynajmniej ja o tym nie słyszałem, a przecież byliśmy

rozmowie z dziennikarzem Debaty ujawnił, że od pewnego czasu zmaga się z depresją, ale ukrywał ją przed otoczeniem. Czy depresja mogła spowodować takie załamanie, że przystawił sobie pistolet do skroni? Możliwe, że to ułatwiła. Próby odpowiedzi na takie pytania utrudnia fakt, że jego rodzina poprosiła wszystkich współ-

zwłaszcza ze strony mediów. Teraz zarządzający jego firmami mają duży kłopot, bo śmierć właściciela tylko zagmatwała sytuację.

Czy upadnie również Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie na rzecz Bezpieczeństwa? – Właściwie nasz cel został osiągnięty i moglibyśmy się rozwiać, ale przestępczość będzie zawsze, dlatego nasza obecność wydaje się potrzebna. Zdecyduje o tym walne zebranie – stwierdza Samociuk.

Wirtualną walutą można grać na giełdzie kryptowalut i z taką giełdą w 2014 r. związał się Niemiro, inwestując w nią ponad 600 tys. zł.

ze sobą blisko. Martwił się tylko, że odium tej afery spadnie na stowarzyszenie i na mnie, co zaszkodzi mojej opinii jako byłemu szefowi policji – mówi dyrektor Samociuk.

Krótki strzał w głowę

Dlaczego więc targnął się na życie? Niektórzy twierdzą, że gdyby za aferę z bitcoinami trafił do więzienia, kryminaliści od porwań mieliby okazję do zemsty. To jednak daleko idąca spekulacja, bo Niemirze skazanie raczej nie groziło. We wspomnianej

pracowników o niewypowiadanie się w tej sprawie. Wiadomo jednak, że jakieś pięć lat temu ojczym odsunął go od kierowania restauracją w centrum miasta, bo sobie nie radził, a powierzył to zadanie swojemu naturalnemu synowi. Niektórzy mówią wręcz o wydziedziczeniu Tobiasza, co miało wzbudzić w nim chęć udowodnienia, że jednak jest skutecznym przedsiębiorcą. Stąd tworzenie spółek w różnych branżach, np. nieruchomości i wspomnianych kryptowalut. Jako człowiek wrażliwy, który pomagał potrzebującym, nie wytrzymał presji,

Ale nawet tak szlachetne w założeniu stowarzyszenie nie powstrzyma drastycznych decyzji osobistych ludzi biznesu. Pięć lat temu, w swoim pałacu, strzelił sobie w głowę właściciel firmy Czumuda produkującej znaki drogowe, prywatnie były teść Tobiasza Niemiry. A w kwietniu tego roku inny restaurator, były olsztyński radny i szef powiatowej struktury Platformy Obywatelskiej Jan Tandyrak, który – jak twierdzą jego znajomi – również popadł w tarapaty finansowe. Można rzec, że w tej sferze życie ucina się jednym strzałem.

Marek Książek



PROBLEMY DOROSŁYCH TO CIĘŻAR DLA DZIECI.

Razem możemy to zmienić.

SOS Wioski Dziecięce to **opieka zastępcza** oraz **działania profilaktyczne** w ramach Programu SOS Rodzinnie.

Dowiedz się więcej na:
www.wioskisos.org



**SOS WIOSKI
DZIECIĘCE**

Partner kampanii:



Patronat medialny:



Czy Morawiecki jest Ślązakiem?

Robert Walenciak

Gdzie jest Mateusz Morawiecki? Na to pytanie jest prosta odpowiedź – Mateusz Morawiecki jest na Śląsku. Dostał pierwsze miejsce na liście PiS w Katowicach, więc prowadzi tam kampanię wyborczą. Choć z Katowicami nic go nie łączy.

Tę kampanię obserwuję z pewną zawodową fascynacją. W historii III RP nie było chyba podobnej bezczelności – że premier *de facto* przeprowadza się do okręgu, z którego kandyduje, i objeżdża go regularnie, sprawy państwa odkładając na bok.

Zwróćmy też uwagę, jak prowadzi kampanię. Co ludziom opowiada.

„Zachowaliśmy górnictwo, perłę polskiego przemysłu”, to jedno z jego zaklęć. „Bronimy polskiej rodziny”, to kolejne. Albo takie: „dla nas europejskość to są europejskie płace, a nie jakieś obyczajowe eksperymenty”.

W sumie nic nie mówi. Górnictwo, które miało za czasów PiS rozkwitać, powoli zamiera. Za to kwitnie import węgla z Rosji i osiągnął już pułap 20 mln ton rocznie. To – jak podpowiadają fachowcy – równowartość czterech, pięciu kopalń, dających 20 tys. miejsc pracy.

Europejskie płace – to też obietnica. Pusta. Bo jeżeli z ust szefa rządu pada stwierdzenie: „Powinniście zarabiać więcej”, to aż się prosi odpowiedzieć: „To chłopie, daj!”.

Tak więc w rzeczywistości kampania Morawieckiego na Śląsku to wizytowanie, uśmiechanie się, ładne słowa. I obrazki w telewizji. I jest już kwestią niedługiego czasu rozpoczynanie przez Morawieckiego rozmów *ślonsko godko* i paradowanie w górniczych piórach.

W tę kampanię włączone zostało też wojsko. Jego święto, rocznica Bitwy Warszawskiej, zostało przeniesione do Katowic. Czyżby historycy odkryli, że zwycięskie uderzenie na armię bolszewicką nastąpiło znad Brynicy, a nie znad Wieprza? Nic z tych rzeczy...

Spin doktorzy uznali, że defilada wzmocni wizerunek PiS na Śląsku, więc wymyślono, że święto będzie

hołdem złożonym I powstaniu śląskiemu, choć wojsko polskie udziału w nim nie brało.

Czy to wszystko przyniesie zamierzony skutek? Czy Morawiecki i PiS uwiodą Górny Śląsk? Czy pomogą defilady, wizyty, przymilanie się?

Jestem tego bardzo ciekaw. Zwłaszcza że PiS ma z Górnym Śląskiem na pieńku.

Przez lata całe i Jarosław Kaczyński, i pisowscy politycy budowali swoją pozycję na atakowaniu wszystkiego, co śląskie. Kaczyński śląskość nazywał „ukrytą opcją niemiecką”. Mówił też, że to region szczególnie nasycony patologią. W Katowicach PiS reprezentowało więc to, co najgorsze – spojrzenie z Warszawy, kolonizatora, a nie gospodarza.

Klasycznym przykładem był bój o plac Wilhelma Szewczyka, obok dworca PKP w Katowicach. Pisowski wojewoda Jarosław Wiecezorek, korzystając z ustawy dekomunizacyjnej, zmienił jego nazwę na plac Marii i Lecha Kaczyńskich. Wskrzeszając tym samym klimat z czasów, gdy ulice nazywano imieniem Marchlewskiego, Lenina i innych kochanych przez partię rządzącą bohaterów.

Morawiecki tej linii nie odstępował ani o krok. Wymienia co prawda nazwisko Wojciecha Korfatego, ale to trochę za mało. Bo panteon ludzi ważnych dla regionu jest dłuższy. To i Wilhelm Szewczyk, ale i Kazimierz Kutz, którego PiS szczególnie nienawidzi. No i Jerzy Ziętek, wielki wojewoda, wielki gospodarz! A Edward Gierk, który uczynił z Górnego Śląska najlepiej funkcjonujące województwo? A potem przeciągał Polskę na Zachód?

A inni wybitni gospodarze, jak chociażby Ryszard Dziopak, twórca i wieloletni dyrektor FSM w Bielsku-Białej? Ja wiem, że Bielsko-Biała to już nie Śląsk, ale też wiem, ile miasto mu zawdzięcza...

PiS tych wszystkich wybitnych ludzi chciałoby skazać na zapomnienie. Bo nie są z prawicy, bo „kojarzą się z komunizmem”, bo „budowali komunizm”.

To jest bzdurny argument. To argument wbrew historii, służy tylko polityce historycznej rządzącej partii.

To argument kolonialny. Rozum i przyzwoitość nakazują go odrzucić. W Warszawie, w samym centrum, mamy plac Starynkiewicza, na cześć carskiego prezydenta miasta, Rosjanina. Dlaczego? Bo był wybitnym włodarzem, bo Warszawa wiele mu zawdzięcza. Dlaczego więc carski namiestnik może mieć swój plac w Warszawie, a swoich ulic, placów i pomników nie mogą mieć Ziętek, Gierk czy Wilhelm Szewczyk?

Dlaczego mieszkańcy Śląska nie mogą ich honorować? Przecież pracowali dla swojego regionu, dla Polski, oddali tej pracy najlepsze zdolności. Bo ta Polska była Ludowa? Przepraszam, tata Jarosława Kaczyńskiego też pracował dla Polski Ludowej, nie spiskował bynajmniej, uczył na politechnice, wyjeżdżał na kontrakty do Libii. Mama Jarosława też pracowała dla Polski Ludowej, badała twórczość socjalistycznych pisarzy. Też nie walczyła z ustrojem. Podobnie możemy pisać o rodzicach i dziadach niemal wszystkich polityków rządzącej prawicy.

Najwyższa więc pora otrząsnąć się z szantażu.

Śląsk ma prawo do swojego etosu. I nie jest rolą różnych politruków, by mówili, kto może mieć pomnik, a kto nie. I to tylko z pozoru jest błaha sprawa, bo chodzi w niej o rzeczy podstawowe – czy Śląsk może mieć swoich bohaterów, czy też musi mieć tych, których przywiezł im w teczkę?

To też jest problem stosunku Morawieckiego do Śląska i Ślązaków – czy potrafi uszanować tamtejszych bohaterów? Czy odda im hołd?

Dlatego z taką ciekawością przyglądam się kampanii prowadzonej przez premiera. Wiem, że jest to region kluczowy dla wyników wyborów, bo najbardziej zaludniony, dający najwięcej mandatów, bo kto tam wygrywa, ten wygrywa w całej Polsce. Ale uważam, że są rzeczy jeszcze ważniejsze – dotyczące ludzi zamieszkujących województwo – czy można ich kupić defiladą, wizytą premiera i różnymi błyskotkami, czy też mają poczucie własnego ja? A to poczucie można mieć tylko wtedy, gdy ma się własnych bohaterów. I gdy się ich szanuje. ■

Święta wojna godnościowa

Katarzyna Wierzbicka

– Tak jak polskiej godności bronił rząd Beaty Szydło i sama pani premier, tak broni jej dzisiaj, w szczególnie trudnej sytuacji, rząd Mateusza Morawieckiego. I to jest obrona godności, prawa do obrony tej godności, ale także jest to sprawa obrony naszych elementarnych interesów, naszej przyszłości (...). I nie zejdziemy z tej drogi! (...) Warto walczyć! – grzmi Jarosław Kaczyński na internetowym nagraniu jednego z szesznastu przemówień.

– Przywrócenie godności Polaków jest naszym wielkim celem – deklarował z kolei przed wyborami do Parlamentu Europejskiego prezes PiS na konwencji regionalnej swojej partii pod Rzeszowem. – Nasi przeciwnicy tego celu nie rozumieją.

W Chęłmie na przedwyborczym pikniku rodzinnym pod hasłem „Dobry czas dla Polski” pod koniec lipca: – Będąc u władzy, staraliśmy się przez cały czas zabiegać o materialne warunki życia, ale także – co bardzo ważne – o godność Polaków, o to, by żyło się godnie, byśmy się czuli równi.

Sledząc wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego i przedstawicieli rządu, można odnieść wrażenie, że od czterech lat słucha się tego samego przemówienia. Jednym z jego kluczowych słów jest godność: przywracana, broniona, narodowa, nasza...

Od czterech lat słucha się tego samego przemówienia. Jednym z jego kluczowych słów jest godność: przywracana, broniona, narodowa, nasza.

– Godność używana jest jako narracyjne spoiwo, mające łączyć działania rządu – komentuje prof. Ewa Marciniak z Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistka w dziedzinie aspektów psychologicznych komunikacji społecznej. – Działają na trzech poziomach, które się uzupełniają. Pierwszy jest ekonomiczny – rząd mówi np. o przywracaniu godności polskim rodzinom przez program 500+. Drugi zaś symboliczny – ci, którzy wcześniej czuli się słabsi, mo-

Politycy PiS ciągle mówią o godności. Czy ich deklaracje mają cokolwiek wspólnego z rzeczywistością?

gą teraz poczuć się nie tyle równi, ile wręcz ważniejsi niż reszta. Na przykład polska rodzina w retoryce rządu zajmuje szczególne miejsce. Trzeci poziom jest ideologiczny – mówiąc o godności, rząd wybiera tych, którym będzie ją przywracał. Jeśli rodzina, to polska, spełniająca określone kryteria. Jeśli Polacy, to katolicy.

Godność jest główną obietnicą wyborczą Prawa i Sprawiedliwości – tym skuteczniejszą, im większe są kompleksy karmionego nią elektoratu. Jednak w rządowej retoryce godność jest także bardzo zręcznym narzędziem podziału – na tych, którym się ona należy, i tych, którzy na jej przywrócenie nie mają co liczyć.

Świat pisowskiej wyobraźni

– Polaków wpędza się w kompleksy (...). Obraża się naszą historię (...). Musimy bronić naszej historii, naszej narodowej historii! Bo jest atakowana w naszym kraju. Ale musimy jej bronić także na zewnątrz, bo akcja obrażania Polaków ma dzisiaj ogromną – można powiedzieć globalną – skalę. I nie ma, w gruncie

rzeczy, żadnego przeciwdziałania ze strony naszego państwa i ze strony tzw. elit. Musimy bronić naszej tożsamości, naszej godności tu, w Polsce – w programach nauczania, w polityce kulturalnej. Ale musimy jej bronić także na zewnątrz – i to jest możliwe! – to fragment przemówienia Jarosława Kaczyńskiego sprzed zwycięskich dla PiS wyborów w 2015 r. Jest tu wszystko: atak na Polskę, konieczność obrony narodowej tożsamości, elity, wróg wewnętrzny i zewnętrzny. W rządowej mitologii wszystko, co

„polskie”, jest w stanie permanentnego zagrożenia. Świat snutej przez PiS opowieści jest światem ciągłej walki: dobro przeciw złu, cywilizacja życia przeciw cywilizacji śmierci, światłość przeciw ciemności. Po jednej stronie barykady stoją obrońcy narodowej tożsamości, po drugiej – zdrajcy, targowiczanie czy – jak określił Jarosław Kaczyński na wiecu w Stoczni Gdańskiej w 2006 r. – ZOMO. Stawką w tej wojnie jest, rzecz jasna, godność, która, wcześniej utracona, ma być teraz zwrócona Polakom – o ile tylko PiS wygra wybory.

Znamienne, że paranoidalna opowieść Jarosława Kaczyńskiego jest wciąż zaskakująco skuteczna. Jak pokazywał sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej”, poparcie PiS niewiele zaszkodziło nawet loty marszałka Kuchcińskiego – partia Jarosława Kaczyńskiego mogła w nim liczyć na 41,2% poparcia, co przekłada się na 243 mandaty i samodzielną większość w Sejmie.

Zdaniem dr. Tomasza Markiewicza z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, filozofa, językoznawcy i specjalisty w dziedzinie teorii interpretacji, skuteczność uprawianej przez PiS retoryki wynika m.in. z tego, że koresponduje z dobrze znanymi symbolami. – Motyw walki jest głęboko zakorzeniony zarówno w naszej historii, jak i edukacji: od najmłodszych lat uczy się nas tego, że „narodowa tożsamość” jest przedmiotem walki i obrony. Zresztą każdy z narodowych bohaterów zastępował właśnie w walce z jakimś wrogiem, przed którym

trzeba się bronić. Komuś, kto od dzieciństwa jest karmiony podobnymi opowieściami, trudno się nagle przestawić z trybu wojennego na tryb pokojowy – wyjaśnia badacz.

Jest tu jednak jeszcze coś: choć PiS „broni polskiej godności” przed „pedagogiką wstydu” i „wmawianymi Polakom kompleksami”, w rzeczywistości owe kompleksy i poczucie poniżenia są motorem, bez którego godnościowa retoryka nie mogłaby działać. Gdyby elektoratowi PiS odebrać poczucie wykluczenia, opo-

wieść Jarosława Kaczyńskiego straciłaby swoją moc.

Prof. Ewa Marciniak: – Retoryka godnościowa najbardziej trafia do tych, którzy wcześniej czuli się poniżeni lub marginalizowani. Przy tym nazywanie własnych działań przywracaniem godności utrwała w ludziach przekonanie o poniżeniu i o tym, że było ono niesprawiedliwe. Bardzo dobrze to współgra z elitami – których przedstawiciele, według rządu, są lub byli uprzywilejowani.

PiS, sprzedając swoim wyborcom obietnicę zwrócenia godności, bardzo sprawnie odczytuje ich potrzeby. O ile jednak wydaje się, że ponad 40% Polaków potrzebuje godności,

ją, daje poczucie moralnej wyższości. W zbiorowej wyobraźni atakowany jest zawsze tym dobrym, z tego powodu tak ważne jest ustawienie się w roli atakowanego – zauważa dr Tomasz Markiewka.

Wygląda na to, że politycy partii rządzącej dobrze zdają sobie z tego sprawę. Walka o godność jest bowiem w ich narracji udziałem jedynie tych, którzy zgadzają się z ich metodami i wizją świata. Przykładem mogą być strajkujący rezydenci – ci według pisowskiej logiki pozostają elitami. „Narzekają na zarobki, jedzą kanapki z kawiolem”, „Rezydenci: 5 tys. zł pensji to za mało” – to niektóre z tytułów mediów publicznych w odniesieniu do

sen”. Ostatecznie walczący o większe wsparcie państwa opiekunowie osób niepełnosprawnych zostali zastąpieni kotarą.

Rażącym kontrastem wobec przytoczonych komentarzy jest wypowiedź Beaty Szydło na temat wypłaconych członkom jej rządu wielotysięcznych premii: „Te pieniądze nam się po prostu należały!”. Jednak w opowieści Jarosława Kaczyńskiego i jego współpracowników elity chcące przywrócić należną Polakom godność wciąż są poza Sejmem.

– Polityk „przywracający godność” stawia się w roli sprawiedliwego, który zabiera bogatym, żeby oddać biednym, przywraca właściwy porządek



„Walka o godność” na marszu środowisk narodowych, zorganizowanym z okazji rocznicy rzezi wołyńskiej.

o tyle PiS, żeby mieć władzę, potrzebuje ich poczucia poniżenia.

Godność dla wybranych

Pisowska mitologia obrońców godności zawiera jednak jeszcze jeden ważny element: cierpienie. – Według sondaży większość Polaków uważa, że Polska wycierpiała więcej niż inne narody. Politycy sprawnie wykorzystują te głęboko wdrutowane w nasze umysły wzorce, odwołując się do motywu walki o narodową godność, który towarzyszy nam od dzieciństwa. Odwoływanie się do wojenno-ofiarniczej symboliki jest skuteczne nie tylko dlatego, że idealnie wpasowuje się w najbardziej wszystkim znany kod, ale również dlatego, że tym, którzy się nim posługu-

strajku rezydentów z 2017 r. Podobnie strajkujący nauczyciele przedstawiani byli w mediach publicznych jako nie liczący się z dobrem dzieci roszczeniowcy albo wręcz terroryści. „Interes nauczycieli ważniejszy od uczniów?” – to pytanie z jednego z pasków w dole ekranu, wyświetlonego przy okazji emisji „Wiadomości” TVP. „Premier Morawiecki uwalnia uczniów zakładników” – głosi inny napis w TVP Info tuż po zawieszeniu strajku. Najgorzej jednak było z broniением godności strajkujących w Sejmie opiekunów osób niepełnosprawnych. Posłanka PiS Bernadeta Krynicka stwierdziła, że „znalazłaby paragraf na tych rodziców, którzy przetrzymują swoje dzieci w Sejmie”. Poseł Marek Suski z kolei uznał, że „panie chcą żywej gotówki, bo chcą iść do kina, do teatru, na ba-

świata. W rzeczywistości kryje się za tym przekaz, komu ta godność się należy, a komu nie. I tak politycy mogą dowartościowywać wybrane przez siebie grupy, mówiąc o przywracaniu godności, i dewaluować inne, mówiąc o roszczeniowości i nazywając je elitą, jak było np. z nauczycielami – podsumowuje prof. Marciniak.

Wszystkie chwytły dozwolone

W pisowskiej opowieści walka toczona przez Jarosława Kaczyńskiego jest święta – nie jest wyścigiem po władzę, ale obroną godności. Oznacza to jednak także uświęcenie używanych w niej środków. Ta gra Jarosława Kaczyńskiego jest w istocie groźna – pozwala bowiem tym, którzy uczestniczą w jego walce, wierzyć, że

► – jakiegokolwiek stosują metody – czynią to w imię świętej sprawy. W tym świecie każda przemoc jest obroną. A „obrona polskiej godności” daje przecież większe prawa niż walka o własne interesy, np. wyższe zarobki albo równe prawa. Jak zwraca uwagę prof. Marciniak, człowiek, który

nych wartości, czuje wyższość moralną, nie widzi słabości drugiej strony, a więc i tego, że może wyrządzać komuś krzywdę. Pokazały to chociażby wydarzenia w Białymstoku – wyjaśnia badaczka. – Ten mechanizm przyczynia się do mylenia patriotyzmu z nacjonalizmem. Widząc zagrożenie

którzy ją dzielą, poczucie moralnej wyższości i tego, że sami uczestniczą w czymś wzniosłym. To działa na ego. Jednak cierpienie także usprawiedliwia: stawiając się w roli ofiary, łatwo nie zauważyć krzywdy, jaką samemu się czyni. obrońca wyższych wartości może więcej, bo walczy o coś większego.

Rzecz w tym, że skoro polska godność i narodowe wartości zagrożone są z tak wielu stron, nigdy nie wiadomo, przed kim trzeba ich będzie za chwilę bronić. Choć zmieniają się aktorzy, opowieść pozostaje jednak ta sama.

– Bóg, honor i ojczyzna! Zakaz pedałowania! Wypier...! – krzyczeli przeciwnicy I Marszu Równości w Białymstoku pod koniec lipca, rzucając w maszerujących kamieniami i petardami.

Na swoim koncie na Twitterze radny PiS napisał po białostockim marszu równości: „Obroniliśmy Katedrę pw. Wniebowzięcia NMP. Wielkie podziękowania wszystkim białostoczanom przywiązanym do tradycyjnych wartości!”.

Katarzyna Wierzbicka

Toczona przez Jarosława Kaczyńskiego walka jest święta – jest nie wyścigiem po władzę, ale „obroną godności”.

czuje się zagrożony, jest także bardziej agresywny i mniej empatyczny niż ten, który czuje się równy.

– Sugerowanie ludziom pozycji ofiary budzi w nich postawę defensywną. Dlatego tam, gdzie mowa o przywróceniu godności czy wstawaniu z kolan, zwykle jest także mowa o bronienu – np. rodziny czy chrześcijańskich wartości. Rzecz w tym, że obrona zawsze implikuje obecność jakiegoś wroga. Przekonanie o tym, że trzeba się bronić, radykalizuje postawy i może budzić w ludziach większą agresję, zagłuszając w nich empatię. Człowiek przekonany o tym, że broni nadrzęd-

polских wartości, niektórzy nie uważają, jak to, co polskie, wywyższone jest nad wszystko, co polskie nie jest. Wreszcie obrona wartości jest w powszechnym przekonaniu postawą moralną. Patriotyzm natomiast to postawa społeczna. Ta różnica jednak coraz bardziej się zaciera – patriotyzm równoważony jest z broniem polskich wartości. Przy czym kryteria polskości rozumiane są tu bardzo wąsko.

Dr Tomasz Markiewka: – W zbiorowym rozumieniu cierpienie daje monopol na moralną słuszość – ofiara zawsze ma rację. Retoryka Prawa i Sprawiedliwości daje tym,



do usłyszenia w nowym sezonie!

Andrzej Boreyko
Dyrektor Artystyczny

2019 / 2020

Filharmonia
Narodowa



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Polska jako gra planszowa

Reczywistość polityczna, w której sędziowie sprawujący urząd wiceministra sprawiedliwości czy podobne zlecają, moderują, zasilają poufnymi dokumentami internetowe nękanie politycznych adwersarzy, również sędziów, a wszystko to i za pieniądze, i za awanse – wymyka się już spokojnym ocenom. W całej aferze wiceministra (byłego już – poniósł straszną karę, pozwolono mu podać się do dymisji) uderza, do jakich rozmiarów (a co za tym idzie skuteczności) rozrosło się równoległe państwo dezinformacyjne PiS, w którym płynnie przechodzi się od najwyższych urzędników państwowych, poprzez usługowych, choć opłacanych trolli internetowych, do zatrudnionych w mediach publicznych funkcjonariuszy medialnych. Wszystkie te działania – już nie na obrzeżach i granicy prawa, lecz jawnie prawo łamiące – całkowicie wymykają się zainteresowaniom służb państwa, które

wyrzucenia. I pomarańczowy lud sobie rzuca i żyje: „Idź do roboty”, „Nie zadawaj pytań”, „Nie gromadź się”, „Nie zrzeszaj się”, „Nie protestuj, a zwłaszcza – spontanicznie”, „Nie krytykuj”, „Cicho bądź – przegrałeś, zanim zacząłeś”, „Szanuj biskupa swego”, „Nienawidź uchodźców, Ukraińców, Żydów i środowiska LGBT” (cokolwiek to znaczy).

A w świecie niebieskiej kostki jest inaczej: „Zostałeś członkiem rady nadzorczej spółki państwowej” – premia 10 oczek do przodu. „Byłeś na Wawelu 18. dnia kolejnego miesiąca” – 25 w przód. „Zatweetowałeś po Emilce” – 15, dawaj, ruszasz. „Coś się wydało, zwałaj na Breżnę”, „Odchodzisz, ale dostajesz trzyletnią odprawę”, „Dzwoni prokurator i pyta, czy w twojej archidiecezji są jakieś dokumenty na temat pedofilii księży – mówisz, że nie, i on się rozłącza” – jedziesz dalej śmiało. „Udokumentowałeś rzucanie staropolsko-katolickim »Wypierdalaj« do

Losowanie kostek 13 października, kto nie weźmie udziału, niech się nie dziwi, że na planszy nie ma dla niego miejsca. Tak wygląda ta gra we władzę.

winni się nimi zajmować, bo okazuje się, że to sprawcy i kierujący procederem oczerniania sędziów sami są najwyższą władzą w resorcie sprawiedliwości. Poczucie bezgranicznej bezkarności sprawia równocześnie, że kiedy afery wychodzi na jaw, bo ujawnia ją jedna „skruszona” trollerka, widzimy niemal całkowity brak prób zatarcia za sobą śladów, fuszerkę i kompletny brak wiedzy o mechanizmach działania w sieci. Po ujawnieniu afery Piebiaka, natychmiast przerobionej przez prorządowe media na aferę posta opozycji (!), z całą mocą wraca metafora polskiego państwa z tektury. Dodałbym, że jest to tektura w formie gry planszowej dla małych chłopców, w którą rząd, partia i jej akolici grają nieprzytomnie i bez opamiętania. Grają, bo mogą. Grają, bo tak są ułożone zasady, że wydaje się im, że przegrać nie można. I coś jest na rzeczy. Spróbowałem sobie wyobrazić tę grę w Polskę.

Grają rządzący i rządzeni. To znaczy ci z rządzonych, którzy są przekonani, że choćby była planszowa, tekturowa, wedle dziwnych reguł funkcjonująca (częściowo tylko jawnych), to jednak jest to Polska.

W tradycyjnych, prostych planszówkach podstawą jest korzystanie z tej samej kostki i posuwanie się do przodu o wyznaczoną liczbę oczek (standardowo do sześciu). Ale nie w tej grze. Tu są oddzielne kostki i oddzielne korytarze. Władza ma, przyjmijmy, kostkę niebieską i dotyczące tylko jej niebieskie zasady. Rządzeni mają kostkę, nie wiem, pomarańczową, a na niej tylko jedno oczko do

manifestujących na Marszu Równości” – premia, jeszcze jeden rzut kostką. „Wydało się, że lecisz rządowym odrzutowcem miliardarów na podwieczorek do domu – mówisz, że to spotkanie z wyborcami” – masz kolejny lot do przodu. „Nie przyznajesz się, że sam podpisałeś swoją rekomendację do nowej KRS i zostałeś dzięki temu sędzią” – w drogę! „Zatrzymała cię drogówka, bo jechałeś o 100 km/godz. za dużo w terenie zabudowanym – mówisz, że na spotkanie partii” – płacisz stówkę z funduszu biura poselskiego i cofasz się o jedno pole, żeby zaraz ruszyć z kopyta, bo „Zostałeś członkiem rady nadzorczej kolejnej spółki państwowej” – 10 do przodu.

I tak zabawa trwa. Niewzruszenie, bez konsekwencji, śmiało do przodu, bo za „dobro nie wsadzamy”, jak zapewnił minister Piebiak, niedoceniony sędzia o nieocenionych aspiracjach. Partię wygrywają niebiescy. Za chwilę nowe losowanie kostek do gry. Ale kto by tam grał w taką grę. W nowej grze będzie jednak dużo ostrzej dla pomarańczowych, czerwonych czy jakichkolwiek innych. A dla niebieskich – już bez żadnych ograniczeń.

Losowanie kostek 13 października, kto nie weźmie udziału, niech się nie dziwi, że na planszy nie ma dla niego, dla niej, dla nich miejsca. Tak wygląda ta gra we władzę. Ta zabawa w Polskę chłopców w krótkich spodniach, obrażonych i pozbawionych skrupułów. Będą kłamać do ostatniego dnia i każdego następnego. Bo kto im powie, że nie tak ma to wyglądać? Zagrajcie.

Turbopatrioci i spory o pamięć

Dzięki mitowi oblężonej twierdzy można udowadniać że Polska wciąż jest pod okupacją, a II wojna światowa nigdy się nie skończyła

Rozmawia Jakub Dymek

Właśnie ukazuje się książka „Turbopatriotyzm”, w której piszesz, że to prawica wygrała walkę o pamięć, politykę historyczną i symbole narodowe. Skutki tego obserwujemy w dzisiejszej Polsce?

– Więcej nawet, wygrała ją wal-kowerem. Gdy w 1989 r. dokonywał się podział przestrzeni publicznej, liberałowie wzięli gospodarkę, lewica kwestie społeczne, a prawica nieśmiało się zastanawiała: „A może by tak politykę historyczną?”. Dwaj więksi bracia – lewica i liberałowie – tylko się zaśmiali. Jak w bajce o kocie w butach: jeden wziął młyn, drugi konia, a trzeci kota. Głupi – myśleli o nim. Tylko że ten kot był zaczarowany, miał niesamowitą moc.

Dziś wiemy, że kto ma władzę nad pamięcią, ten decyduje o tym, jak interpretowana jest teraźniejszość: gospodarka i sprawy społeczne. To klucz do wyobraźni. Rzeczywiste działania są skuteczne lub nie, ale politycy nie są rozliczani z rzeczywistości, tylko z wyobrażeń, z tego, jak ludzie interpretują to, co się dzieje wokół nich.

Twierdzisz, że po 1989 r. przeszłość nie istniała, że ją porzucono, nie interesowano się nią w głównym nurcie, stawiając wszystko na przyszłość i na to, co nadejdzie.

– Jeśli spojrzysz na okrągłą, 50. rocznicę powstania warszawskiego w 1994 r., zobaczysz pustkę. To w ogóle nie była ważna sprawa. Umysły Polek i Polaków zajmowały inne rzeczy: jak gonić Zachód, budować biznes, walczyć ze wzrostem bezrobocia, jak pokonać inflację, jak kręcić filmy na poziomie Ameryki. Już 10 lat później te same tematy – bezrobocie, inflacja itd. – tracą monopol na organizowanie zbiorowej wyobraźni. Padają zupełnie inne pytania: dlaczego nie oddajemy hołdu przeszłości, co z naszą tradycją, jaka jest polska tożsamość, kim są



**DR HAB. MARCIN
NAPIÓRKOWSKI**

– semiotyk kultury, badacz współczesnych mitów. Wykłada w Instytucie Kultury Polskiej UW

nasi bohaterowie? Jeżeli marzymy o hollywoodzkich produkcjach, to głównie po to, żeby opowiedzieć naszą wersję historii.

Rok 2004 to ważna cezura?

– W 2004 r., gdy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński, zostało otwarte Muzeum Powstania Warszawskiego. Kolejna dekada stała już pod znakiem triumfu pamięci, zwycięzonego sukcesem marszu po dominację i rząd dusz. Warto podkreślić, że wtedy, 15 lat temu,

A jednak to wtedy powstały i zakorzeniły się obrazy, które dziś organizują wyobraźnię, np. Unia Europejska jako „odwrócona Jalta” czy pokuta za powstanie warszawskie. 60 lat wcześniej Zachód odwrócił oczy, nie pomógł nam, był obojętny. Teraz tylko spłaca dług. Takie myślenie pozwala zinterpretować polskie wejście do UE nie jako sukces idei europejskiej i prozachodniego myślenia w naszym kraju, ale jako coś, „co nam się należy”,

Kto ma władzę nad pamięcią, ten decyduje, jak interpretowana jest teraźniejszość: gospodarka i sprawy społeczne.

obserwatorom wcale się nie wydawało, że to obiecujący plan. Że – mówiąc obrazowo – budując swoją politykę na historii i pamięci, Lech Kaczyński i PiS postavili na dobrego konia. Przecież chwilę wcześniej odbyło się referendum akcesyjne, wchodziliśmy do UE, Polacy myśleli o przyszłości. Pamięć wyglądała raczej na „zajeżdżoną kobyłę historii” niż na zwycięskiego rumaka.

co jest tylko spóźnioną i niepełną formą uznania naszego miejsca na Zachodzie. Przywrócenia czy odzyskania pozycji równorzędnego partnera tych, którzy nas wtedy zdradzili. Może zatem fundusze europejskie to za mało? Może one mają tylko odwrócić naszą uwagę od reparacji, które nam się należą? Pamięć staje się kluczem do rozumienia teraźniejszości, a nawet przyszłości, budując

poręczne mity wyjaśniające naszą rzeczywistość.

Który z tych mitów jest najważniejszy?

– Polska jest najważniejsza! Ale Polska znaczy: niepodległość. Niepodległość jest osią porządkującą nasze narodowe mity – różne fronty walki o świadomość i wojny kulturowe. W turbopatriotycznej mitologii niepodległość jest nieustannie zagrożona. To pozwala na dużo silniejszą mobilizację i nieustanne odwoływanie się do niepodległości. Także obecnie nie mamy do czynienia z prawdziwą niepodległością, tylko z jakąś iluzją, fałszem. Dlatego we współczesnej prawicowej narracji historycznej zamazuje się przełomy i symboliczne daty. W 1989 r. nie odzyskałszy niepodległości. To był spisek w Magdalence, uwłaszczenie nomenklatury, zmowa służb czy UBekistan.

Drugim przełomem, który się wymazuje, jest rok 1945 i koniec II wojny światowej. Im bardziej zaciera się 1989 r., tym bardziej trzeba też się pozbyć roku 1945. Pokazuje się, że wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną było „zamianną jednej okupacji na drugą”.

W czasach transformacji nie brakowało przegranych i upokorzonych, a prawica tym zagrała.

Przejęciem Polski spod władzy jednego reżimu pod władzę drugiego. A kiedy już potężny PRL w jedno z okresem okupacji hitlerowskiej i wygumkujemy rok 1989, to co się okazuje? Że II wojna światowa wciąż trwa!

I stąd się biorą coraz to nowe mity, jak ogłaszane przez władzę „powstanie antykomunistyczne” po 1945 r. i kult Brygady Świętokrzyskiej?

– Najpopularniejszym mitem tego nurtu pozostają „żołnierze wyklęci”. Pod tym szyldem łączy się dziś bardzo różnych ludzi i różne biografie. Ten termin wyparł z obiegu takie formy jak „powojenne podziemie niepodległościowe”. W przypadku „wyklętych” także chodzi o podkreślenie, że rok 1945 nie był początkiem normalizacji. To, co się stało potem, nie było nawet wojną domową, tylko kontynuacją walki o niepodległość...

...i częścią wojny globalnej?

– Tak. Choć trzeba zaznaczyć, że to nie jest zupełnie bezpodstawne, bo ludzie, którzy nie złożyli broni, często sami tak myśleli (niebezpiecznie, dodajmy): wojna trwa, grozi nam niebezpieczeństwo, jesteśmy ostatnimi na placu boju o niepodległość. To nie zostało wymyślone na potrzeby mitu po 1989 r. Choć inne jego części składowe – jak np. samo pojęcie „wyklętych” – tak.

„Polska martyrologia” – sama ta zbitka w niektórych środowiskach liberalnych i lewicowych funkcjonowała jako co najwyżej propagandowy slogan, a nie ważna część tożsamości narodowej. To przyniosło problemy?

– Może ten lekceważący stosunek niektórych komentatorów jest właśnie jednym ze źródeł sukcesu prawicy? Po 1989 r., w czasach transformacji, mieliśmy wiele sposobów odmiany słowa sukces. Ale w kapitalizmie nie wszystkim się udaje. Zresztą na poziomie osobistym, jeśli ktoś odniesie sukces, nie potrzebuje tworzyć mitów – każdy uważa, że sukces jest wyłącznie jego zasługą. Z porażką jest odwrotnie. Klęska wymaga tworzenia mitów – psychologicznie

klęty krąg wokół nas, a na zewnątrz mnóstwo zła, które nas atakuje. I wokół tego schematu można tworzyć nowe opowieści, zmieniając tylko postać „wroga”. Prawicowy spin doktor albo publicysta wstaje rano, odpala internet albo włącza



telewizor i myśli: „A kto dzisiaj będzie potworem czyhającym na naszą niepodległość?”. Bo zauważmy, że ten wróg i zagrożenie mogą być dowolne: straszny gender, brudni uchodźcy, zboczone LGBT, aroganczy Niemcy itd.

Ukraińców jeszcze nie było.

– Jeszcze nie, ale widzę wielką gotowość, aby po to sięgnąć. Polska jest tu zresztą tylko przykładem ogólniejszego zjawiska. Duże porównawcze badania przeprowadzone przez Frederica Solta pokazują związek między wzrostem nierówności społecznych i ekonomicznych a rozwojem autorytaryzmu w kilkudziesięciu krajach świata. Te badania dają do myślenia i pokazują, że w skali globalnej to prawica, zwłaszcza skrajna prawica, jest siłą zdolną zagospodarować gniew wynikający z nierówności.

Historycznie było odwrotnie i to lewica miała odpowiadać na gniew społeczny.

– A co więcej, współczesna prawica unika mówienia wprost o likwidowaniu tych nierówności, ▶

jesteśmy zmuszeni do tworzenia opowieści, które pozwolą nam zrozumieć, wyjaśnić i jakoś znieść porażkę i upokorzenie. Szukanie winnego to jeden z tych mechanizmów.

W Polsce czasów transformacji nie brakowało przegranych i upokorzonych, a prawica tym zagrała. Wyciągnęła rękę do tych wszystkich, którym się nie udało. Mało jest tak wspólnych, łączących doświadczeń jak doświadczenie znoju i porażki.

To żyzny grunt dla teorii spiskowych. Jeżeli wierzyć w światową zmoję, twoje porażki przestają być porażkami, a stają się wynikiem globalnego spisku. Nadaje im to sens i znaczenie. A nam poczucie ważności, bo potężne siły się na nas uwzięły!

Jak to działa?

– Podstawowy schemat oddaje taki obrazek: oblężona twierdza, w środku Okopy Świętej Trójcy i reduta wszystkiego, co dobre, za-

► które przyczyniły się do jej sukcesów. Przeciwnie, zakrywa je np. mitem wspólnoty krwi: „Jesteś Polakiem, a wszyscy Polacy, bogaci i biedni, to jedna rodzina”. U nas w kraju, i nie tylko u nas, mimo to właśnie prawica dała prostą i zrozumiałą odpowiedź na pytanie, skąd się biorą nierówności.

Z zewnątrz?

– Ktoś kradnie, ktoś drenuje nasze zasoby, ktoś nas oszukuje i nie mamy tego, na co zasługujemy. Różnorodne ruchy prawicowe – od Wielkiej Lechii poczynając, na PiS skończywszy – opierają się dziś na takim fundamencie, który każe mówić, że ktoś nas oszukał i coś nam zabrano. Zwolennicy Lechii wierzą, że na tych terenach istniało prastare imperium, a nasza pamięć została zafałszowana przez spisek Kościoła katolickiego i niemieckich historyków. PiS pokazuje, że PO, mafia VAT-owska i Niemcy odarli nas z naszej wielkości i ograbili z miliardów. Za każdym razem my – podpowiada mit – musimy tylko odzyskać to, co nasze, wstać z kolan i już. Zawsze byliśmy wielcy, trochę jak w Trumpowskim haśle wyborczym, tylko chwilowo nas poniżono. I to jest mit skuteczny.

A co z jego przeciwnikami?

– Lewica w ostatniej dekadzie poszła w retorykę 1%. My jesteśmy tymi 99% zwykłych ludzi, których (jak pokazał kryzys finansowy), notorycznie oszukuje 1% światowych multimiliarderów, strasznych wyzyskiwaczy. Co to ma oznaczać? Że bezrobotny mieszkaniowiec postprzemysłowej miejscowości amerykańskiej w górniczych Appalachach albo Polka z popegeerowskiej wsi bez autobusu mają ten sam problem i są tak samo oszukiwani jak warszawski hipster pracujący w kawiarni na komputerze Apple, tylko że na umowie śmieciowej. I ci hipsterzy powtarzają jeszcze mieszkańcom peryferii: „Wiem, jak jest ci ciężko, mnie też jest ciężko – mam stary komputer, jeżdżę metrem i chodzę na tylko jedną imprezę w tygodniu”. Przecież takie zestawienie jest jak kpina dla osób borykających się z problemami trwałego bezrobocia, niedożywienia, ubóstwa energetycznego czy braku dostępu do transportu czy edukacji. „My i wy jedziemy na tym samym wózku. Jesteśmy w dokładnie tej samej sytuacji!”. Czyżby?

Ludziom zmarginalizowanym w procesie transformacji czy globalizacji rynku wciąż bardziej wiarygodni wydają się miliarderzy przebrani za przyjaciół ludu niż wielkomiejska lewica. Miliarder przynajmniej może służyć za ikonę sukcesu („Taki byłbym, gdyby lewactwo nie zabierało moich pieniędzy”), często też deklaruje, że podziela tradycyjne wartości. A wielkomiejska lewica? Ludzie, którzy mieli wskazać rozwiązania problemu wykluczenia, sami stali się częścią tego problemu. Cała ta retoryka, język i postawa skrajnie oddaliły i osierociły ludzi, którzy mogliby być trzonem elektoratu lewicowego.

Lewica zamknęła się wyłącznie w naszej krajowej bańce, odmawiając wyrzżenia poza Polskę czy Europę.

Co gorsza, polska lewica w przytłaczającej większości także zamknęła się wyłącznie w naszej krajowej bańce, odmawiając wyrzżenia poza Polskę czy Europę i uznania, że wszyscy jesteśmy mieszkańcami relatywnie zamożnego kraju w najzamożniejszym regionie świata. A przecież, jeżeli poważnie traktujemy hasła o równości i sprawiedliwości, mamy obowiązki i powinności sięgające także poza granice Polski i Europy. Katastrofa klimatyczna, nierówności w skali globalnej, migracje. Z tego punktu widzenia skandalem jest mówienie, że Polska jest biedna, a już najbiedniejsi są warszawscy hipsterzy, bo z powodu siły nabywczej płac nie mogą sobie odkupić iPhone’a, który wpadł im do szklanki z sojowym latte. To dopiero jest śmieszne cierpiętnictwo, a nie polska martyrologia, do której nawiązuje prawica. Oczywiście to trochę karykaturalny obraz, ale często tak to wygląda, jeżeli spojrzymy na siebie oczyma tych, którzy wybrali prawicę. Oni w nas widzą beneficjentów procesu wyzysku, a nie współcierpiące ofiary. I może mają sporo racji?

Osamotnieni zostali ci, którzy czuli jakiś rodzaj nostalgii czy tęsknoty za PRL. Być może od tych ludzi, którzy uwierzyli w obietnice dawnego systemu i którzy odnajdywali się w proponowanym przez PRL systemie społecznym, nowa lewica odwróciła się ze szczególną pogardą – jako od najbardziej ciemnych, niepostępowych i niegodnych uwagi. Traktując ich jako „wąsatych Januszy”

i „tlenione Grażyny”, którzy zresztą dziś dużo częściej głosują na PiS.

– Wystarczająco dużo czasu spędziłem w archiwach, m.in. IPN, czytając o torturach i inwigilacji, żeby nie czuć nostalgii czy ciepłych uczuć wobec PRL. Ale rozumiem i szanuję tych, którzy myślą inaczej. Prowadziłem badania w Wałbrzychu, gdzie przed 1989 r. górnikom nieustannie powtarzano, że choć pracują w trudnych warunkach i ryzykują życie, są bohaterami. Węgiel, który wydobywają, to czarna krew naszej gospodarki i siła Polski. Powtarzano, że górnikom i ich rodzinom należy się uznanie, szacunek i przyzwoite życie.

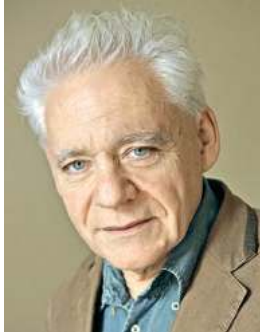
A potem przychodzi władza wywodząca się z Solidarności i zamyka te kopalnie. W dobrej wierze, bo chodziło m.in. o rosnące ryzyko katastrof. Ale górnicy i ich rodziny nagle słyszą: „Nigdy was nie potrzebowaliśmy, dość z dopłacaniem do tego waszego zasranego węgla, siedźcie cicho, bo jesteście awanturnikami”. Jakie są szanse, że ci ludzie kupią mitologię nowej III RP? Oni czują się oszukani. I mają prawo tak się czuć, bo zostali oszukani. A potem na domiar tego wszystkiego tworzy się tam specjalną strefę ekonomiczną, która ma wszelkie cechy kapitalistycznej eksploatacji ludzi do półniewolniczej pracy w kraju peryferyjnym. Pod pozorem pomocy ich się wyzyskuje. A jeśli mają odwagę upominać się o godne warunki pracy, słyszą, że są roszczeniowcami niewdzięcznikami.

Czyli nie trzeba być konserwatystą czy nacjonalistą, żeby koniec końców zapisać się w narodowej wizji wspólnoty.

– Oczywiście! Spójrzmy na to tak: są przy tej ulicy trzy sklepy. Pukam do pierwszego: „Nic dla pana nie mamy”. Pukam do drugiego: „Takich klientów nie obsługujemy, proszę zawiązać krawat”. Pukam do trzeciego: „Proszę bardzo, zapraszam, wszystko jest, a tu mamy takie broszurki o tym, jak Żydzi rozkradli pieniądze i zamknęli kopalnie. Światowa wojna wciąż trwa. Może chce pan się zapisać do naszej partyzanckiej organizacji?”.

Jakub Dymek

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Najazd nie tylko arabski

WZakopanem najazd Arabów, wszędzie ich pełno. Kobiety mniej lub bardziej pozakrywane, niektórym widać tylko oczy. Mimo zakonnego stroju wszystkie noszą sportowe buty. Nie zdziwiłbym się, gdyby pod spodem miały koronki. Trudno mi się pogodzić z tym, że kobiety w tej kulturze są tak traktowane, równie dobrze ich mężowie mogliby je prowadzić na smyczy. Co myślą, mijając na Krupówkach polskie dziewczyny, niemal gołe, na które z szeroko otwartymi oczami gapią się ich mężowie? Nie bardzo wiadomo, jaki jest powód tego arabskiego najazdu. Wiadomo tylko, że są loty z Emiratów Arabskich do Krakowa, potem przyjezdni pożyczają wielkie, eleganckie samochody i zajeżdżają nimi do najlepszych hoteli. Monstrualny tłok najwyraźniej jest im miły.

Po Zakopanem krążą o nich różne opowieści. W jednym z hoteli mieli zarznąć barana, rytualnie. Mówi się też, że u wlotu doliny jest miejsce, gdzie zarzynają owce. Mają poza tym dewastować wynajmowane pokoje. Jestem pewien, że to wszystko brednie, podobne do tych, że Żydzi potrzebują krwi dzieci na macę. Popularna u miejscowych jest taka formułka: „Ja nie mam uprzedzeń, ale jakoś z nimi nieswojo. Lepiej, żeby ich tu nie było”. Jednorodność etniczna Polski stała się chorobą.

W Zakopanem nocowałem na Antałówce, w hotelu tak na oko z lat 60., dawno bez remontu. Meble w pokojach też z tamtego czasu. Poczułem się więc nagle młodo. Ale widok z okna na Giewont, na Tatry, jak przed parą wiekami, oszałamiający. Dyrektor hotelu także zabytkowy. Dzwoni do mnie, że wszystkie pokoje zajęte, a przyjechał gość, który ma rezerwację, czy będę tak miły i przenocuję tego człowieka, jedną noc tylko? Zupełnie zgłupiałem. Kiedy mnie odetkało, pytam, jaki ma zawód ten człowiek. Kierownik zakłopotany mówi, że nie wie. „A czy nie pisowiec?”, pytam ostrożnie. Też nie wie. Mówię, że w takim razie bardzo mi przykro, ale nie ma mowy. Rozłączam się i nagle ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Biedny dyrektor, biedny gość bez pokoju. Ale zaraz myśl, że jestem idiota. Trzeba było mu powiedzieć, że skoro hotel jest moim domem przechodnim, a jestem gościem w Zakopanem, to w tej dramatycznej sytuacji on powinien nieszczęsnego przenocować u siebie w domu.

Festiwal literacki. Na Krupówkach niemożliwy tłum, a na spotkaniach autorskich pustki. Na placu Niepod-

ległości obmywanym przez wielką rzekę ludzi widziałem, jak autor i moderator mówili do pustych krzesel. Ja mam spotkanie w kinie Sokół. Pomyślałem, że jeżeli zjawi się 20 osób, to będę szczęśliwy. I byłem. Dwa spotkania z czasem. Piękna kobieta o góralskim profilu jest kierowniczką schroniska w Pięciu Stawach. Rozmawiam z nią serdecznie po spotkaniu, okazuje się, że to córka Andrzeja Krzeptowskiego i Magdy. Znałem ich dobrze. Musiałem więc ją widywać, gdy była małą dziewczynką. Andrzej i jego brat Józek kierowali kiedyś schroniskiem. Piłem tam z nimi, ja raczej niepijący. Te zimowe eskapady z nartami do Pięciu Stawów to jedno z mocniejszych

Jednorodność etniczna Polski stała się chorobą.

doświadczeń mego życia. Potem podchodzi do mnie kobieta, u której po stanie wojennym mieliśmy zebranie redakcji naszego podziemnego pisma „Wezwanie”. Nie pamiętam, ale wierzę. Całujemy się serdecznie jak starzy weterani.

Wyborcze pikniki rodzinne to taki pisowski teatrzyk obwoźny. W Stalowej Woli prezes nagał monstrualnych głupot, podłości też nie zabrakło. Powiedział, że Polska jest wyspą wolności, gdy „na Zachodzie wolność jest likwidowana”. Jest ogromnie wdzięczny abp. Markowi Jędraszewskiemu „za to, że w słowach zdecydowanych, jednoznacznych ujął ten problem. To dzisiaj naprawdę wielki problem dla Polski”. Jak widać, największy polski problem to seks. Rozumiem, że prezes ma tu problem, sam seksu, jak się zdaje, nigdy nie uprawiał i to mu krzywo urosło. Ale nad wszystkim góruje taktyka, front obrotu wiary potrzebny jest do wyborów. Jaką drogę przebył ten inteligent z warszawskiego Żoliborza, by znaleźć się na trybunie obok ks. Rydzka i kilku innych na czarno ubranych osobistości z różnych epok.

Wysłałem tekst do redakcji, gdy jest pierwszy wieczór afery Piebiakgate. Wiceminister podaje się do dymisji, bo jest odpowiedzialny. Ktoś celnie napisał: „Piebiak odszedł, bo jest odpowiedzialny, Kuchciński odszedł, bo był najlepszym marszałkiem w historii, Szydło odszła, bo była znakomitym premierem, Macierewicz odszedł, bo był świetnym ministrem i uzdrowił armię?”. Ciekawe, jak szeroko uda się otworzyć bramę tej afery. Na razie podniesiono jedną cegłę i w popłochu uciekają robaki.

Beata Mazurek kontra Szwecja

Podobno Szwedzi emigrują do Polski. Niby dlaczego mieliby to robić?

Mateusz Mazzini

Opanowane chaosem miasta, koibiet żyjące w ciągłym strachu przed seryjnymi gwałtami z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki, powybijane szyby, spalone samochody. Do tego nieistniejące w praktyce państwo oraz służby mundurowe niezdolne do zapewnienia porządku na ulicach. A wszystko to przez „multikulturowy ekstremizm”, który „otworzył drzwi dla imigrantów”, masowo wręcz przybywających właśnie do Szwecji. Gdyby poważnie traktować wyobrażenia polityków Prawa i Sprawiedliwości na temat życia codziennego w Szwecji, kraj ten okazałby się idealnym planem filmowym dla postapokaliptycznych produkcji o upadku cywilizacji.

Niedawny wpis na Twitterze świeżo wybranej europosłanki PiS Beaty Mazurek był modelową wręcz syntezą wszystkich prawicowych mitów dotyczących szwedzkiej polityki migracyjnej. Była rzeczniczka prasowa partii rządzącej dodatkowo wzbogaciła je jeszcze o wątek polski, stwierdzając, że Szwedzi przerażeni obrotem spraw w ojczyźnie „uciekają

ze swojego kraju, aby w Polsce znaleźć spokój i normalność”. Szybko odpowiedział jej szwedzki minister sprawiedliwości i migracji, socjaldemokrata Morgan Johansson. Udowodnił, że informacje cytowane przez Mazurek są nieprawdziwe – zostały zaczerpnięte z twitterowego konta dezinformacyjnego, a europosłanka nigdy ich nie zweryfikowała.

W dodatku, jak wykazał Johansson, saldo migracyjne pomiędzy oboma państwami wygląda odwrotnie. Tylko w latach 2017-2018 do Szwecji wyemigrowało bowiem ponad 8 tys. Polaków. Ta liczba trzykrotnie przewyższa szwedzką populację w Polsce. W dodatku według najnowszych danych Szwedzkiego Urzędu Statystycznego nasi rodacy są też najczęściej migrującą do Szwecji narodowością z całej Unii Europejskiej. Od początku 2019 r. na drugą stronę Morza Bałtyckiego przeniosło się aż 1591 Polaków. Stawia to nas na ósmym miejscu wśród wszystkich grup narodowych osiedlających się w tym kraju. Przybysze z Polski nie mają szczególnych problemów z przystosowaniem się do życia w szwedzkich realiach. Najwyraźniej bardzo im się tam podoba,

bo tylko w 2017 r. aż 2083 polskich imigrantów otrzymało szwedzkie obywatelstwo.

Prawdą jest, że do Szwecji migruje najwięcej osób z krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, czyli regionów dotkniętych konfliktami zbrojnymi i skutkami katastrofy klimatycznej. Ale nie przybywa ich już tak wiele jak dawniej. Jak wynika z danych Szwedzkiego Urzędu Statystycznego i tamtejszej służby podatkowej, w pierwszym półroczu tego roku zarejestrowano łącznie 55 222 nowych przybyszów z zagranicy – to najniższy wynik od rekordowego pod względem salda migracyjnego roku 2013. Wreszcie ciekawym podsumowaniem tych statystyk – zwłaszcza w kontekście słów Beaty Mazurek – jest fakt, że od kilku lat zdecydowanie najliczniejszą grupę spośród osiedlających się w Szwecji stanowią... sami Szwedzi. Chodzi tu o osoby urodzone w tym kraju, które wyjechały za granicę i postanowiły wrócić na stałe do ojczyzny. Nowych-starych Szwedów zarejestrowano od 1 stycznia 2019 r. już 5753, co stanowi ponad 10% wszystkich imigrantów w tym okresie. Trudno przypuszczać, że wszyscy ci ludzie chcą żyć w chaosie albo są ekstremistami nawróconymi na radykalny islam – bo tak ich decyzję o powrocie należałoby rozpatrywać w świetle wyobrażeń polskiej prawicy.

Wróćmy jednak do kwestii Polaków w Szwecji. Dokładnie opisuje je baza danych Szwedzkiego Urzędu Statystycznego. Według stanu na grudzień 2018 r. jest ich 92 759, nieco więcej kobiet (49 206) niż mężczyzn (43 553). Dominują osoby w wieku średnim i poprodukcyjnym, ale w zeszłym roku w Szwecji odnotowano też 37 polskich noworodków. Emigracja z Polski utrzymuje się na stałym poziomie – co roku szwedzka Polonia powiększa się o 3-6 tys. osób. Brakuje wprowadzić bardziej aktualnych danych na temat zatrudnienia i sytuacji na rynku pracy, jednak jeszcze w 2007 r. aż 92,2% rodaków pracowało w Szwecji na etacie, a 7,5% prowadziło własne przedsiębiorstwa.



PRZEGLĄD poleca!

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów?

Wpłać 47 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też
zamówić na www.sklep.tygodnikprzeklad.pl.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość
wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł
lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.



Jagna i Roger mieszkają w Szwecji od 2011 r. Jagna pracuje jako specjalistka ds. płac. Roger jest kierownikiem produkcji.

Zwłaszcza ta druga wartość jest interesująca, ponieważ odsetek Polaków biznesmenów jest w Szwecji wyższy niż w populacji rodowitych Szwedów (5,6%). Z kolei wysoki odsetek pracujących na etacie wynika z dominującego na szwedzkim rynku pracy modelu zatrudnienia.

Polacy w Szwecji pracują nie tylko we własnych lub cudzych przedsiębiorstwach, ale też w administracji publicznej – według danych z 2007 r. ponad 12%. Już samo to wskazuje, że są dobrze zasymilowani, praca urzędnicza wymaga bowiem przede wszystkim biegłości językowej. Nie jest to jednak dziwne, jeśli przyjrzymy się strukturze polskiej emigracji do Szwecji nie tylko w ostatnich 15 latach, czyli po wejściu Polski do Unii, ale przede wszystkim w perspektywie najnowszej historii obu krajów.

Dorota Lubińska, lingwistka i badaczka edukacji, pracująca na Uniwersytecie Sztokholmskim, wyróżnia aż sześć dużych fal migracji z Polski do Szwecji. Pierwsza była motywowana głównie czynnikami ekonomicznymi i trwała od końca XIX w. do wybuchu II wojny światowej. Późniejsze dwie fale były ściśle związane z deportacjami wojennymi i ucieczkami do Szwecji Polaków, którzy znaleźli się po wojnie na terenie ZSRR. Szczególne miejsce w tej historii zajmuje jednak migracja z lat 1968-1972, spowodowana wydarzeniami Marca 1968 r. W tym okresie do Szwecji trafiło ponad 2,7 tys. polskich obywateli

pochodzenia żydowskiego. Rząd w Sztokholmie przeszedł wówczas do historii jako obrońca prześladowanych mniejszości, w zasadzie przyjmując uciekinierów z Polski bez większych wymagań biurokratycznych.

Co ciekawe, polityka otwarcia się na polskich Żydów nie od razu była w Szwecji dominującą postawą. Jak zauważa historyk dr Łukasz Górniok, wykładowca Europejskiego Instytutu Studiów Judaistycznych, Sztokholm

Opowieści o Skandynawii sterroryzowanej przez uchodźców są jednym z ulubionych motywów na prawicy.

na początku konfliktu był Polakom niechętny. Dopiero z czasem, dzięki naciskom tamtejszych socjaldemokratów i liberałów, zdecydowano się bardziej wesprzeć wyrzuconych z Polski migrantów. Dla wielu z nich Szwecja była tylko przystankiem w dalszej drodze na Zachód lub do Izraela. Znaczna grupa osiedliła się jednak po północnej stronie Bałtyku na stałe. Ich potomkowie mieszkają w Szwecji do dzisiaj. Sama grupa emigrantów z tamtych czasów jest zresztą niemała. W ubiegłym roku polskich 80-latków mieszkało w Szwecji na stałe aż 240, a liczba naszych rodaków w każdym roczniku pomiędzy 50. i 69. rokiem życia przekraczała tysiąc osób. Oczywiście część z nich mogła do Szwecji trafić już po transformacji ustrojowej, jednak dane pokazują, że szwedzka Polonia zapuściła w tym kraju już długie korzenie.

Szwecja nie ma zbyt dużych problemów z Polakami. Wprawdzie raz na jakiś czas pojawiają się w mediach sensacyjne doniesienia o naszych rodakach awanturujących się na promach czy handlujących alkoholem z drugiej ręki, ale raczej należy je wpisać w imigracyjny folklor, niż doszukiwać się w nich statystycznie znaczących zjawisk. We wrześniu zeszłego roku niezwykle popularna w polskim internecie stała się historia o mobilnych sklepach monopolowych prowadzonych przez Polaków na Facebooku. W Szwecji bowiem dużo trudniej niż w Polsce kupić alkohol, zwłaszcza w godzinach nocnych – punktów jego sprzedaży jest nieporównywalnie mniej, a ceny sporo wyższe. Dlatego kursujący regularnie między Polską i Szwecją pracownicy sezonowi dorabiali, oferując nasz alkohol po konkurencyjnych cenach. Tego typu zjawiskom daleko jednak do miana przestępczości zorganizowanej, z którą Szwecja faktycznie zaczyna mieć problemy.

Prawicowy mit o „strefach szariatu” targanych „wojnami gangów, gwałtami i epidemiami egzotycznych chorób” wziął się z decyzji szwedzkiej policji o uznaniu 23 dzielnic miejskich w całym kraju za szczególnie problematyczne. Etykietkę tę otrzymały

jednak z różnych powodów – czasami chodziło o wysoką przestępczość, ale w niektórych przypadkach powodem wzmożonej obserwacji służb mogły być nawet słabe wyniki miejscowych szkół. Niewiele ma to jednak wspólnego z ostatnią falą migracyjną. Amir Rostami, badacz przestępczości zorganizowanej z Uniwersytetu Sztokholmskiego, zauważa bowiem, że do grup przestępczych najczęściej wchodzi migranci drugiej i trzeciej generacji, głównie z rodzin kurdyjskich i pochodzących z krajów bałkańskich.

Tak więc w sporze Mazurek-Johansson przesadziły obie strony. Polka z tezą o uciekających Szwedach, Szwed – z obwinianiem Polaków o rosnącą w tym kraju przestępczość zorganizowaną. Żeby to jednak zrozumieć, trzeba się pochylić nad danymi, a na to w polityce z reguły brakuje czasu. ■

Australia mówi stop

Australijczycy surowo traktują nielegalnych migrantów, zsyłając ich do obozów, które przypominają więzienia

Paweł Drąg

Kurd Behrouz Boochani wierzył, że Australia będzie jego domem i schronieniem przed problemami. To tam chciał zbudować nowe życie i w końcu czuć się bezpiecznie. W Iranie nie mógł na to liczyć. Był dziennikarzem, a to niosło wiele zagrożeń. Prędeż czy później mogły go czekać poważne konsekwencje za nieprzychylnie rządowi materiały prasowe. Czarę goryczy przelało aresztowanie 11 publicystów związanych z kurdyjskim pismem „Werya”. Behrouz postanowił uciekać, ale nowe miejsce pobytu wybrał nie najlepiej – próbował

za zwycięstwo w kategorii literatura faktu. Nie mógł jednak odebrać pieniędzy, bo nadal nie ma prawa przebywać na terytorium Australii.

– W pewnym sensie jestem bardzo szczęśliwy, ponieważ jesteśmy w stanie zwrócić uwagę na tę sytuację. Z drugiej strony czuję, że nie mam prawa do świętowania, bo wielu moich przyjaciół w tym miejscu cierpi. Najważniejsze dla nas jest wydostanie się z tej wyspy i rozpoczęcie nowego życia – powiedział Boochani w rozmowie z BBC. – Literatura ma moc, by dać nam wolność. Tak, to prawda. Jestem zamknięty w klatce od lat, ale przez cały ten czas mój umysł tworzył słowa, a one zabierały mnie

W niebycie

W 2016 r. Sąd Najwyższy Papui-Nowej Gwinei uznał za sprzeczne z konstytucją tego kraju przetrzymywanie na wyspie Manus osób ubiegających się o azyl w Australii. Tym samym podjęto decyzję o zamknięciu obozu i przeniesieniu uchodźców do obozów przejściowych, które znajdują się... na Manus, tyle że bliżej jej centrum. W trakcie tego procesu setki imigrantów zabarykadowały się w ośrodku w obawie o swoje bezpieczeństwo. Okoliczni mieszkańcy wielokrotnie płądowali obóz i notorycznie dopuszczali się aktów agresji wobec uchodźców. – Porozrzucali nam żywność, zniszczyli schronienie i zbiornik z wodą – informował jeden z internowanych w wiadomości nagranej telefonem. Dodawał, że wiele osób schowało się na dachach lub w toaletach. – Migranci zgłaszali przypadki nadużyć werbalnych, ataku fizycznego lub kradzieży ze strony lokalnej społeczności. Mimo skarg składanych lokalnej policji nikogo nie złapano. Ze względu na brak zaufania do stróżów prawa często nie zawiadamia się o takich incydentach – mówił François Crépeau, specjalny sprawozdawca ONZ ds. praw migrantów.

„Dajemy wam 159 dni na znalezienie dla nas bezpiecznego kraju i przesiedlenie z tego piekła. Inaczej nigdzie się stąd nie ruszymy. Nie będziemy walczyć i nie będziemy wszczynać burd. Macie armię i policję. Przyprawadźcie ich tu, ustawimy się w rzędzie, żebyście mogli nas rozstrzelać i zakończyć naszą niedolę, w którą nas wpędziliście”, napisali migranci w liście do rządu Australii.

– Tym ludziom wydaje się, że znaleźli sposób nacisku na rząd, by pozwolił im wjechać do Australii. Przeliczyli się, bo nie ulegniemy. O bezpieczeństwo naszych granic dba mój rząd i na pewno nie oddamy naszej polityki migracyjnej przemytnikom – argumentował australijski premier Malcolm Turnbull. Nie zgodził się na propozycję Nowej Zelandii, która

Okolo 80% osób ubiegających się o azyl i uchodźców na Nauru i Manus cierpi z powodu stresu pourazowego i depresji.

nielegalnie dostać się drogą morską do Australii. Bezskutecznie. Australijczycy stosują surową politykę wobec osób ubiegających się o azyl. Ostatecznie Behrouz wylądował na wyspie Manus, w obozie dla uchodźców. Mija już osiem lat, odkąd tam mieszka.

Książka na WhatsAppie

Kilka miesięcy temu świat usłyszał o nim. Mężczyzna napisał książkę „No Friend But the Mountains”, którą tworzył, zapisując kolejne rozdziały w aplikacji WhatsApp na telefonie. Niecodzienna metoda nie była wyborem, lecz koniecznością. Boochani obawiał się, że strażnicy zniszczą jego tekst, więc uznał, że to najlepsza opcja, by miał on szansę przetrwać. Krok po kroku, fragment po fragmencie jego wydawca gromadził przesyłane informacje. Paradoxem jest to, że książka została wyróżniona przez organizatorów prestiżowego konkursu Victorian Premier's Literary Awards, w którym mogą brać udział jedynie Australijczycy lub osoby na stałe przebywające w tym kraju. Jako zdobywca głównej nagrody Kurd otrzymał 100 tys. dol. i 25 tys. dol.

daleko ponad granice, za morze, do nieznanych krain. Głęboko wierzę, że słowa są potężniejsze niż mury tego miejsca, tego więzienia – dodał.

Niecały miesiąc temu premier Papui-Nowej Gwinei James Marape wezwał Australię do określenia ostatecznej daty relokacji uchodźców. – Mówimy tu o ludziach. Nie możemy pozwolić, by byli zawieszani w próżni, nie zajmując się poważnie ich przyszłością – podkreślił.

Ta sprawa ciągnie się już od sześciu lat. Właśnie wtedy Australijczycy zdecydowali się na radykalny krok, czyli odsyłanie uchodźców do obozów na wyspie Manus należącej do Papui-Nowej Gwinei, a także na republikańskiej wyspie Nauru. Kłopot w tym, że bardziej przypominają one rygorystyczne więzienia niż tymczasowe mieszkania. Australia została potępiona przez wiele organizacji zajmujących się prawami człowieka, w tym przez ONZ. Do dzisiaj problemu nie udało się rozwiązać. W obozie na Manus przebywa obecnie ok. 450 imigrantów, na Nauru zaś 350. Najwięcej jest obywateli Afganistanu, Sri Lanki, Syrii, Birmy, Pakistanu oraz Iranu.



Protest uchodźców w obozie na wyspie Manus w październiku 2017 r.

była gotowa przyjąć na stałe 150 osób z obozu. Według Turnbulla byłoby to „tylne wejście do Australii”. – Jeśli dopłyniesz do Australii łodzią, nawet jeśli myślimy, że jesteś najlepszą osobą na świecie, geniuszem z Nagrodą Nobla, nie wpuszczymy cię – w kontrowersyjny sposób miał też tłumaczyć politykę migracyjną kraju Donaldowi Trumpowi.

W 2018 r. życie odebrało sobie siedem osób z Manus, w tym 14-latkę, która dokonała samospalenia. Eskalacja prób samobójczych i samookaleczeń nastąpiła jednak w tym roku, po wyborach parlamentarnych w Australii, które niespodziewanie wygrała rządząca dotychczas konserwatywna koalicja pod kierownictwem Partii Liberalnej Australii. W ciągu dwóch tygodni od ogłoszenia wyni-

nie robią, ponieważ się boją. Teoretycznie mogą też iść do lekarza lub na targ, ale w praktyce jest to niewykonalne, ponieważ są pozbawieni prawa do legalnej pracy i nie mają żadnych dokumentów. To nie życie. To apatyczna egzystencja.

Sprowadzamy tylko najlepszych

Australijczycy restrykcyjnie podchodzą do wszelkich prób przedostania się do ich kraju. Marynarka wojenna regularnie zawraca wszystkie statki z nielegalnymi migrantami, a tych, którym udaje się dostać do Australii, kieruje do obozów. Tam również rozpatrywane są wnioski o status uchodźcy. W rzeczywistości niewiele to zmienia. Jeśli zostają one

740 osób. Opinia publiczna nie pozostaje na to głucha. W ubiegłym roku ulicami największych miast w Australii przeszły wielotysięczne manifestacje, sprzeciwiające się polityce władz wobec uchodźców. Manifestanci domagali się zamknięcia obu obozów i przyjęcia migrantów. Demonstracje nie przyniosły żadnego skutku. Ba! Od 1 lipca 2017 r. do 30 czerwca 2018 r. zaakceptowano 163 tys. wniosków o pobyt stały w Australii, a to spadek o 10% w stosunku do poprzednich 12 miesięcy oraz najniższy wskaźnik od 10 lat. – Wnioski, które do nas napływają, analizujemy dokładnie, by upewnić się, że sprowadzamy do naszego kraju jak najlepszych migrantów – pisał z dumy minister imigracji i ochrony granic Peter Dutton.

W 2018 r. życie odebrało sobie siedem osób z Manus, w tym 14-latkę, która dokonała samospalenia.

ków w obozie odnotowano 32 próby samobójcze. Desperacja i poczucie beznadziei urosły tam do niespotykanych rozmiarów. – Psychiatrzy kliniczni i specjaliści diagnozowali, że ok. 80% osób ubiegających się o azyl i uchodźców na Nauru i Manus cierpi z powodu stresu pourazowego i depresji – twierdzi Indrika Ratwatte z UNHCR.

Migranci niby mogą swobodnie przemieszczać się po wyspie, ale tego

uznane za zasadne, osoby te i tak nie mają prawa osiedlić się na terytorium australijskim. Ich wyborem może być jedynie Papua-Nowa Gwinea, Nauru lub Kambodża. Wszystkie te kraje otrzymują od Australii pieniądze za to, że godzą się przyjmować tych, których Australia kategorycznie nie chce. Australijski Senat w 2016 r. poinformował, że w ciągu jednego roku cofnięto 29 łodzi, przewożących ok.

•
– Chciałbym stąd wyjść i rozpocząć nowe, normalne życie. W ogóle nie chcę jechać do Australii, po prostu muszę jechać gdzie indziej. Chciałbym się stąd wydostać, żeby móc się leczyć, ponieważ nie otrzymałem tutaj pomocy medycznej. Wiem, że przybyliśmy do Australii nielegalnie, ale bycie uchodźcą nie jest zabronione. Rząd Australii zatrzymał nas tutaj jako więźniów i nie możemy stąd wyjechać, nawet na leczenie – podsumowuje gorzko Nasiri z obozu na Manus. ■

Jak zagospodarować pradziadków

Zadania dziadka i zobowiązania wobec niego wszyscy znamy, ale jaka ma być w rodzinie rola pradziadka?

Rozmawia Michał Sobczyk

Gdziekolwiek się obejrzeć – osoby w „trzecim” albo wręcz w „czwartym” wieku.

– W ciągu stu kilkudziesięciu lat udział osób powyżej 60. roku życia wzrósł z 3,5% do 25%, a jeśli nie uwzględniać 2 mln naszych rodaków mieszkających za granicą, jest zapewne jeszcze trochę wyższy. I cały czas rośnie – prognozuje się, że za 30 lat dojdzie do 36-37%. W dodatku co dziewiąty Polak będzie miał wówczas co najmniej 80 lat, podczas gdy obecnie takie osoby stanowią mniej więcej 4,5% populacji. O ile konsekwencje rosnącego udziału 60- i 70-latków można dość łatwo przewidzieć, o tyle jako społeczeństwo nie bardzo jesteśmy w stanie sobie wyobrazić skutki drastycznego wzrostu liczby 85-, 90- i 95-latków. Już teraz nie zawsze prawidłowo rozpoznajemy potrzeby seniorów, gdyż pod wieloma względami nasze postrzeganie starości odzwierciedla sytuację sprzed kilku dekad. Przykładowo każdy 75-latek otrzymuje dodatek pielęgnacyjny, tymczasem duża ich grupa to ludzie w pełni sprawni. Dzisiejsi 80-latkowie nierzadko wyglądają i funkcjonują jak typowi 70-latkowie 40 lat temu.

Czy przeciętny stan zdrowia osób „w czwartym wieku” rzeczywiście się poprawił? Często słyszy się przeciwną opinię. Dawni starszyszkowie mieli być krzepcy, a ci współcześni – schorowani z powodu mniejszej aktywności fizycznej, zanieczyszczenia środowiska, niezdrowej żywności itd.

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale oba poglądy są prawdziwe. Zapominamy bowiem, że oprócz konwencjonalnych kategorii opisujących stan zdrowia – w pełni zdrowy, trochę chory, bardzo chory oraz bardzo, bardzo chory – jest jeszcze jedna: trup. Kilkadziesiąt lat temu późnej starości dożywały wyłącznie osoby



**DR HAB.
PIOTR
SZUKALSKI**

– specjalista w zakresie demografii, gerontologii społecznej i polityki społecznej. Profesor w Katedrze Socjologii Stosowanej i Pracy Socjalnej Uniwersytetu Łódzkiego, członek Narodowej Rady Rozwoju.

cieszące się dobrym zdrowiem, a te, które dziś byłyby w nie najlepszym stanie, po prostu umierały. Mimo wszystko lepiej być bardzo chorym niż trupem, nieprawdaż?

Życie z niepełnosprawnością bywa męką.

– Jeżeli porównamy dane z, powiedzmy, ostatnich 40 lat, okaże się, że zmniejsza się odsetek 80-latków, którzy ją deklarują. Nie zapominajmy też, że stale rozwijają się tzw. protezy cywilizacyjne, czyli wszelkiego rodzaju rozwiązania technologiczne oraz instytucjonalne, które służą zastępowaniu utraconej sprawności. Ktoś, kto ma problemy z pokonywaniem schodów, w starej kamienicy byłby więźniem, ale z bloku z windą sobie wyjdzie, choćby mieszkał na 10. piętrze. Ktoś, kto ma w domu kaloryfer, może mieszkać samodzielnie, nawet gdy nie będzie już w stanie dźwigać węgla itd. Takich rozwiązań są setki; niektórzy noszą je na nosach, inni w uszach, jeszcze inni wykorzystują je do poruszania się, ale w zasadzie

każda osoba starsza na pewnym etapie życia zaczyna ich używać.

Czy w związku z rosnącą długością życia dalsze podwyższanie wieku emerytalnego jest nieuniknione?

– Będziemy musieli pracować coraz dłużej, bez względu na to, czy zmieni się wiek, którego osiągnięcie uprawnia do przejścia na emeryturę. Z prostego względu – w drugim filarze obecnego systemu emerytalnego wysokość świadczenia oblicza się, dzieląc skumulowaną kwotę składek przez przeciętną liczbę miesięcy dalszego życia. Jak łatwo się domyślić, w miarę wydłużania się okresu życia na emeryturze, by uzyskać emeryturę danej wysokości, trzeba będzie odkładać coraz więcej. Podejrzewam, że w rezultacie ludzie coraz częściej będą traktować możliwość zakończenia pracy zarobkowej w wieku np. 65 lat jako przywilej, na który ich nie stać. Nie mam poza tym żadnych wątpliwości, że prędzej czy później, niezależnie od tego, kto będzie u władzy, zaczniemy słyszeć

o potrzebie podwyższenia wieku emerytalnego. Oczywiście będzie ona ubierana w różne narracje, np. o konieczności zapewnienia seniorom wysokiego poziomu życia czy o umożliwieniu pracy tym, którzy tego chcą.

Do zmian demograficznych będą musieli się dostosować nie tylko pracownicy, ale i pracodawcy.

– Duże firmy z kapitałem zagranicznym już wdrażają tzw. zarządzanie wiekiem, czyli dostosowują się

również elastyczność wymiaru czasu pracy. Może się okazać, że ktoś nie chce pracować na pełny etat, bo już się umówił na pomoc w opiece nad wnukami, ale na pół etatu lub w niestandardowych godzinach – bardzo chętnie.

Niezależnie od wszelkich udogodnień dodatkowe lata aktywności zawodowej są dla pracowników fizycznych kiepską wiadomością.

– Osobom utrzymującym się z sezonowych prac w rolnictwie nie

Jedynie 400 lekarzy w skali Polski ma uprawnienia do wykonywania zawodu geriatry i tylko część z nich praktykuje.

do nowych realiów rynku pracy. Jestem przekonany, że kolejne przedsięwzięcia będą szły w ich ślady. Bardziej będzie im się opłacało zachęcać na różne sposoby 65-latką, żeby popracował jeszcze ze trzy lata, niż machnąć na niego ręką i szukać kogoś na jego miejsce.

Metody zarządzania wiekiem są różnorodne, ale ich podstawą jest zawsze dialog z pracownikiem. Duże znaczenie będzie miało zarówno uświadamianie seniorom różnic w wysokości emerytury w zależności od momentu zakończenia pracy, jak i dostosowywanie stanowisk pracy do ich potrzeb czy dbanie o ich zdrowie, np. zapewnianie dodatkowych badań profilaktycznych, ubezpieczeń zdrowotnych czy dostępu do rekreacji. Zarządzanie wiekiem to

pomoże żadne zarządzanie wiekiem, ale w bardzo wielu przypadkach możliwe jest przekwalifikowanie starszego pracownika i przesunięcie go na inne stanowisko, na którym lepiej da sobie radę. Na Zachodzie np. jest normą, że po zakończeniu pracy na pierwszej linii frontu strażacy nie przechodzą na emeryturę, tylko zajmują się odbiorem budynków itd. To *de facto* praca urzędnicza, którą spokojnie można wykonywać nawet do siedemdziesiątki. Podobnych stanowisk jest pełno.

Gdzie jest granica wydłużania się przeciętnego okresu aktywności zawodowej?

Dzisiejsi 80-latkowie nierzadko wyglądają i funkcjonują jak typowi 70-latkowie 40 lat temu.

– O ile mogę sobie wyobrazić, że większość 71-, 72-latków byłaby zdolna do pracy, jeśli będzie ona odpowiednio zorganizowana, o tyle na razie nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by w perspektywie najbliższych 20-30 lat powszechnie pracowali jeszcze starsi Polacy. Tym bardziej że nierzadko zakończenie aktywności zawodowej wymuszają obowiązki opiekuńcze wobec wnuków lub, coraz częściej, wobec rodziców. Wraz ze wzrostem przeciętnej długości życia coraz więcej osób będzie wymagać stałej opieki, a ci, których nie będzie stać na opłacenie rodzicom domu pomocy społecznej czy prywatnej opieki, będą w związku z tym rezygnować z pracy zawodowej.

70-latek opiekujący się 95-latką będzie zjawiskiem względnie powszechnym. Co więcej, można sobie też wyobrazić 85-latków opiekujących się schorowanymi 60-letnimi dziećmi.

– Będzie się z tym wiązało wiele wyzwań dla polityki społecznej, ale także dylematów etycznych. Na osoby niechące opiekować się schorowanymi rodzicami (poza szczególnymi przypadkami, takimi jak ojciec, który nie utrzymywał z dzieckiem kontaktu i uchylał się od płacenia alimentów) spada odium. Czy jednak można mieć pretensje

do 70-latka, że nie ma siły podnieść swojego rodzica?

Spółeczeństwo pełne osób 80+ będzie musiało zreformować wiele usług publicznych.

– Dużo wyzwań stoi zwłaszcza przed służbą zdrowia, nieprzystającą do tego, że najstarsi pacjenci, których przybywa, mają bardzo specyficzne problemy i potrzeby zdrowotne. Niedobór geriatrów – jedynie 400 lekarzy w skali Polski ma uprawnienia do wykonywania tego zawodu i tylko część z nich go praktykuje – jest sprawą powszechnie znaną, dlatego chciałbym skupić się na czymś znacznie mniej oczywistym. Nieprzystosowana do zmian demograficznych jest instytucja rodziny. Zadania dziadka i zobowiązania wobec niego wszyscy znamy, ale jaka ma być w rodzinie rola pradiadka?



► **To bardzo praktyczna kwestia, nad którą jeszcze niedawno mało kto musiał się zastanawiać.**

– Czy można oczekiwać, że 80-latek będzie pomagał w opiece nad rocznym albo dwuletnim prawnukiem? A jeśli 90-latek będzie wymagał stałej opieki, a jego dzieci nie będą dawały rady, to kto ma przejąć ich obowiązki – wnuki? Czy od osób mających małe dzieci będzie można tego wymagać?

Za trzy lata pierwsze roczniki powojennego wyżu demograficznego zaczną wchodzić w wiek szybko pogarszającego się stanu zdrowia.

Coraz więcej 50-latków będzie miało rodziców w wieku 75+ wymagających pomocy, powiedzmy, dwa razy w tygodniu, przeszło 90-letnich dziadków wymagających pomocy non stop, a wielu z nich – z uwagi na coraz powszechniejsze późne rodzicielstwo – również siedmio- czy dziewięcioletnie dzieci, wymagające wożenia na zajęcia dodatkowe i wspólnego odrabiania lekcji.

Przeciętna rodzina ma coraz więcej pokoleń, a jednocześnie coraz rzadziej kilka pokoleń mieszka pod jednym dachem czy choćby w jednym mieście. Obstawiam, że państwo i samorządy nie przygotują się odpowiednio na spodziewany wzrost zapotrzebowania na publiczne usługi opiekuńcze?

– Możemy mówić o tykającej bombie demograficznej, tym bar-

dzie że za trzy lata pierwsze roczniki powojennego wyżu demograficznego zaczną wchodzić w wiek szybko pogarszającego się stanu zdrowia. Mamy dosłownie kilka lat na to, by przygotować się na sytuację, w której z roku na rok liczba osób potrzebujących pomocy będzie rosła o kilkadziesiąt procent. Tymczasem wiele polityk publicznych mających stanowić odpowiedź na ten problem znajduje się na etapie przygotowań

i nie wiadomo nawet, czy uzyskają wystarczająco silne wsparcie polityczne, by doszło do ich realizacji. W efekcie drepczemy w miejscu, mimo że mamy pewność, że przed nami naprawdę trudne wyzwania.

A jak obecnie wygląda oferta w zakresie organizacji czasu wolnego, adresowana do osób w „czwartym wieku”? Czego w niej najbardziej brakuje?

– Brakuje usług, z których można korzystać, nie wychodząc z domu, takich jak wystuchiwanie przez głośnik książki czytanej przez kogoś młodszego dla czterech-sześciu seniorów, dzięki czemu każda osoba mogłaby np. poprosić o powtórzenie, wyjaśnienie. Potrzebujemy takich usług, które aktywizują w domu. Jednocześnie konieczna jest przebudowa systemu przemieszczania się. Chodzi nie tylko o równe chodniki czy o ławki, umożliwiające wychodzenie z domu osobom niemogącym przejść bez odpoczynku kilkuset metrów, ale i o gęstsze rozmieszczanie przystanków komunikacji publicznej.

Czy rosnący udział osób 80+ w elektoracie wymusi zmiany w priorytetach partii politycznych?

– Moim zdaniem to już się dzieje. Mniej więcej od 2011 r. ma miejsce wyraźny rozwój tego, co można nazwać polityką senioralną, której przejawem są choćby programy Dostępność+, Opieka 75+ czy Lek 75+. Świadczy to o tym, że powszechna jest świadomość nie tylko skali problemów najstarszych Polaków, ale i politycznych konsekwencji ich zaniedbania.

Jednocześnie nie jestem przekonany, że te problemy będą wprost artykułowane w debacie publicz-

nej. Stanie się tak tylko wówczas, gdy pojawi się ugrupowanie, które będzie bardzo silnie podkreślać, że jest polityczną reprezentacją osób starszych. Obecnie społeczną polaryzacja poglądów politycznych odbywa się według innych kryteriów niż stanowiska poszczególnych partii w kwestiach senioralnych. Można jedynie zauważyć, że osoby w starszym wieku częściej mają konserwatywne poglądy, a wówczas pewnie bliżej im do dzisiejszego rządu niż do opozycji.

A na ile prawdopodobny jest wybuch konfliktu społecznego między młodymi a najstarszymi, np. na tle rosnących kosztów polityki senioralnej?

– Wydaje mi się, że w tym przypadku mała refleksyjność naszego społeczeństwa może się okazać zbawienna. Proszę zwrócić uwagę, że w głównym nurcie polityki od lat nie ma ugrupowań, które mówiłyby o nierównym traktowaniu pokoleń, domagałyby się jakichś drastycznych zmian umowy społecznej w tej sferze itd. W drugiej połowie lat 90. względnie słyszalne były postulaty Unii Polityki Realnej, ale od tego czasu mamy spokój. I to mimo że pewna nierówność w traktowaniu poszczególnych pokoleń rzeczywiście ma miejsce. Sam należę do bardzo specyficznej generacji, którą nazywam pokoleniem JP2: „Ja płacę dwa razy”. Z jednej strony, muszę bowiem przez całe życie zawodowe składać się na emerytów uczestniczących w starym systemie repartycyjnym, z drugiej zaś – jestem pierwszym rocznikiem, który zmuszono, by w ramach nowego systemu sam oszczędzał na swoją emeryturę.

Rosnąca skala długowieczności to nie tylko nowe wyzwania, ale i nowe możliwości.

– Bez wątpienia czeka nas rozwój sektora usług opiekuńczo-pielęgnacyjnych, a także branży organizacji czasu wolnego seniorów, zwłaszcza najstarszych. Dzięki temu wzrośnie zapotrzebowanie na pracę człowieka, nawet jeśli maszyny wyrugują nas z całego mnóstwa zawodów. Oczywiście od razu pojawia się pytanie, kto zapłaci za wspomniane usługi, a więc jak opodatkować te maszyny oraz ich właścicieli. To już jednak temat na osobną rozmowę.

Michał Sobczyk



Zginęły cztery osoby, w tym dwoje dzieci, 157 poszkodowanych trafiło do szpitali – to fatalny bilans, ale gdyby akcja ratownicza nie przebiegała tak sprawnie, liczba ofiar byłaby większa. Z pewnością jednak byłaby mniejsza, gdyby turyści po usłyszeniu grzmotów zrezygnowali z wejścia na Giewont. Minęło ponad pół godziny, nim pioruny uderzyły w krzyż. Tyle że mało kto, widząc już wierzchołek, rezygnuje. Myśli się wtedy, że burza jest jeszcze daleko, nie wiadomo, czy do nas się zbliża, a jeśli nawet, to uważamy, że jeszcze mamy czas.

Jan Krzysztof, naczelnik TOPR, oświadczył: – Słyszymy, że turyści byli zaskoczeni, nie wiedzieli, że będzie burza. W dobie dostępu do informacji można to śledzić. Zachęcam ludzi, by korzystali z aplikacji pogodowych. To turyści muszą sięgać po te informacje. Nie sposób ostrzegać wszystkich pewnymi ogólnymi informacjami.

Trudno do końca zgodzić się ze słowami naczelnika TOPR. Ludzie zwykle postępują racjonalnie we własnych sprawach. Mogliby zrezygnować z wejścia, gdyby 22 sierpnia rano widzieli jednoznaczny zapowiedź burz, z wyjaśnieniem, że w Tatrach pogoda zmienia się błyskawicznie. Zwłaszcza gdyby ten komunikat znalazł się na stronie internetowej TOPR. Giewont jest masowo odwiedzany, także przez ludzi niewiedzących o gwałtowności tatrzańskich burz. Trzeba ciągle o tym mówić, szczególnie gdy chodzi o naszą najpopularniejszą górę, w dodatku zwieńczoną krzyżem, w który regularnie biją pioruny. Na stronie TOPR można znaleźć półgodzinny film „Burze” z pożytecznym instruktażem, co robić, gdy grożą pioruny. Ale ilu turystów, nawet doświadczonych, zechciało go obejrzeć?

– Ta prognoza pogody nie była w ogóle przewidywana, nikt się nie spodziewał takich gwałtownych wyładowań atmosferycznych – powiedział premier Mateusz Morawiecki. Premier chce w ten sposób usprawiedliwić brak ostrzeżenia ze strony podległego mu Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. RCB ma już na koncie alerty dla województw, w których nie doszło do zapowiadanego załamania pogody. Można to tłumaczyć chęcią dmuchania na zimne, ale trudniej



Grzmot to sygnał do ucieczki

Tragedia na Giewoncie obnażyła słabość działań mających zapobiegać takim nieszczęściom

usprawiedliwić brak ostrzeżenia, gdy jednak doszło do nieszczęścia. Jak zwykle w takich sytuacjach winy się szuka u innych, toteż RCB wyjaśnia, że Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej nie wydał na ten dzień ostrzeżenia burzowego dla Tatr, a więc i RCB nie ogłosiło alertu. IMGW wydał natomiast 22 sierpnia, po burzy, komunikat zaczynający się od słów: „Natura udowodniła po raz kolejny, że każda burza jest niebezpieczna”, w którym stwierdza: „Dzisiejsze burze nie spełniały obowiązujących w naszym kraju kryteriów przewidywanych dla ostrzeżenia o burzach”. Czyli winne kryteria, nie ludzie. IMGW przypomina w tym komunikacie także swoją poranną zapowiedź z 22 sierpnia: „W Tatrach po południu możliwa burza”. Tyle że w Tatrach niemal zawsze może być burza, a „możliwa” to nie to samo co „prawdopodobna” czy „spodziewana”.

Na stronie TOPR jest zakładka „Pogodynka” z oceną sytuacji meteorologicznej na dni 16-19 sierpnia, sporządzona przez IMGW. Ocena zawiera też prognozę od 19 do 23 sierpnia, ale nie ma tam słowa o groźbie burz. Zapewne ostrzeżenie o burzach znalazłoby się w ocenie sytuacji meteorologicznej IMGW na 20-23 sierpnia. Ocena jest bowiem bardziej precyzyjna niż prognoza średnioterminowa. Tej oceny brak jednak na stronie TOPR – tak jak wspomnianego komunikatu porannego z 22 sierpnia, gdzie

IMGW wspomniał o możliwości południowych burz.

TOPR otrzymuje prognozę pogody od MeteoGroup, prywatnej firmy holenderskiej z biurem w Polsce. Czy nie lepiej, gdyby prognozy dostarczał IMGW, będący też Państwowym Instytutem Badawczym? Warto dodać, że Portal Tatrzański w informacji na 19-22 sierpnia stwierdził jasno: „Czwartek będzie kolejnym burzowym dniem”.

Jak zwykle po tragedii rodzą się propozycje, co zrobić, by na Giewoncie ludzie nie ginęli od piorunów. Najbardziej radykalna to usunięcie krzyża, ale pamiętajmy, że 80 lat temu, 15 sierpnia 1939 r., burza na Świnicy zabiła aż sześć osób, a tam krzyża nie ma. Teoretycznie na krzyżu można by założyć piorunochron. Musiałby być znacznie wyższy niż krzyż, wchodzić w skałę głębiej i kierować wyładowania na północną ścianę góry, gdzie nie ma szlaków turystycznych. Byłoby to trudne do zrobienia, bo 15 lat temu kruszący się wierzchołek Giewontu wzmocniono kotwami ze stali, więc nie wiadomo, czy można go rozwiercić na wiele metrów w głąb. No i nie ma gwarancji, że pioruny waliby w piorunochron, a nie w krzyż. Pojawił się też pomysł, by turyści mieli rękawice izolacyjne i nie chwytały łańcuchów gołą ręką. Ale najskuteczniejsza jest rada Michała Jagiełły: „Grzmot to sygnał do odwrotu, ucieczki w dolinę”. ■

Rafał Piłkuła

W roku 1989 miałem ledwie roczek i nic z okresu wielkich przemian pamiętać nie mogę. Wspomnieniem sięgam może roku 1994 i finału piłkarskich mistrzostw świata w USA, może 1995 i kampanii prezydenckiej; w głowie mam piosenkę „Ole, Olek”, poza tym migawki z wojny w Jugosławii, oryginalny smak herbaty w granulkach jedzonej łyżkami i melodyjkę z furgonetek Family Frost. Tylko powidoki.

Zresztą sama transformacja wykracza poza rok 1989 – to data arbitralna, umowna, polityczna – przecież wiatr zmian zaczął wiać już wcześniej, nawet w 1987 r., i ucichł (choć nie na dobre) w 1993 czy 1994 r., gdy historia się skończyła, zatoczyła koło. Nie było rewolucji; bardziej zawiedzione nadzieje, kilka udanych biznesów, tysiące drobnych katastrof. „Nie skończyło się światowym imperium, wojną powszechną, codzienną apokalipsą, skończyło się w ogonku po ser”, jak pisał w tamtym czasie Jan Błóński.

Po 30 latach od arbitralnej daty sięgam do polskiej literatury pięknej z transformacją w tle. W niej znajdują trochę małych cudów, wielkie nadzieje jednych i spektakularne rozczarowania drugich, opisy wzięte z życia – jak u dojrzałych autorów, Andrzeja Stasiuka czy Marka Nowakowskiego – i dziecięce reminiscencje jak u debiutantów, Marcina Teodorczyka czy Macieja Marcisza.

Świat transformacji w prozie wymienionych autorów nie jest (i nie musi) być wierny rzeczywistości, w końcu literatura piękna nie musi być literalna. Nie jest kroniką dziejów,

„Jeszcze trochę zaciskania zębów i już skapnie, już będzie jak na Zachodzie”.

co najwyżej odbitką wspomnień, marzeń, wyobrażeń. Świat w „Dziwięc”, „Homo Polonicus”, „Niebie 1989” czy „Taśmach rodzinnych” (fragmenty o Janie Małysie) jest inny niż w reportażach Mariusza Szczygła z „Niedzieli, która zdarzyła się w środę” czy w nowszym zbiorze „Niepowtarzalny urok likwidacji. Reportaże z Polski lat 90.” Piotra Lipińskiego i Michała Matysa, w końcu też inny niż w esejistycznej „Duchologii polskiej” Olgi Drendy. Czy mniej rzeczywisty? Nie

Warszawa,
początek lat 90.



Dyskretny urok transformacji

W polskiej literaturze pięknej epoka przemian to czas małych cudów, wielkich nadziei i spektakularnych rozczarowań

wiem. Wszak przeszłość jest zawsze projekcją osobistych doświadczeń.

Ten człowiek miał splendor

Zacznijmy od najmłodszego, Marcisza. Jego „Taśmy rodzinne” to saga familijna, opowieść o rozpadzie więzi rodzinnych, próbie realizacji marzeń, rozczarowaniach i trudach wchodzenia w dorosłość. Sporą część książki zajmuje historia Jana, ojca, mężczyzny szorstkiego, o trudnej przeszłości, który w epoce transformacji próbuje

przed sezonem na truskawki i maliny przed sezonem na maliny. Dawanie spragnionemu ludowi dóbr, które jeszcze przed momentem były schowane za ciężką kotarą w Pewexie. To czas, gdy o biznesie mówi się otwarcie. „Ten człowiek miał splendor. I amerykańską otwartość. O biznesie mówił bez tajemnic” – tak kompana od robienia kasy charakteryzuje stary Małys.

Rodzina Małysów zaczyna się bogacić, są trendsetterami, jak byśmy powiedzieli dziś, w dobie Instagrama. Ten pęd do bogacenia się – dzieci Jana: główny bohater Marcin, jego brat Maks i siostra Magda, mają najlepsze

ciuchy, walkmany i lekcje angielskiego; żona kreacje jak z zachodnich katalogów mody – to początek końca rodzinnego ciepła. Miłość zostaje tylko we wspomnieniach nagranych na kasetach. *Money* zastępuje *honey*, ale to bohaterowie „Taśm rodzinnych” rozumieją dopiero po latach.

W debiutanckiej książce Marcisz pisze wprost: lubimy wczesne lata 90., bo kojarzą nam się z dzieciństwem, pierwszą wycieczką do McDonalda, pełnymi półkami w sklepach. Trzeba

swojej szansy. Dzieje nestora rodziny Małysów są o tyle kluczowe, że jego decyzje z przełomu lat 80. i 90. oraz niezachwiana wiara w rodzący się kapitalizm wpływają na pozostałych członków rodziny, a także lokalną, małomiasteczkową społeczność.

Według Jana przepis na sukces jest prosty: „Jeszcze trochę zaciskania zębów i już skapnie, już będzie jak na Zachodzie”. Czyli whisky zamiast wódki (tak pije kolega od biznesu Jana, Grzesiek), czekoladowe jajka, truskawki

jednak pamiętać, że obok ludzi, którzy wygrali na transformacji, byli ci, którym się nie poszczęściło.

„Te dwie grupy zaczęły się od siebie oddalać, podział społeczny zaczął narastać, a ci, którym się powiodło, zaczęli mieć nieuzasadnione poczucie wyższości nad tymi, którym się nie powiodło. Nad tymi »niefajnymi ludźmi«, którzy wyrzucają zboże na ulicę, nie chcą, żebyśmy weszli do Unii Europejskiej i mają wieśniackie ubrania”, mówił autor w rozmowie z Onetem.

Tytuł książki Marcisza nawiązuje do projektu artystycznego przedsięwziętego przez Marcina Małysa. Chodzi o instalację wideo, w której niespełniony artysta pokazuje intymne domowe nagrania. Można jednak odnieść ten tytuł do jednego z największych fenomenów doby transformacji – pirackich kaset VHS.

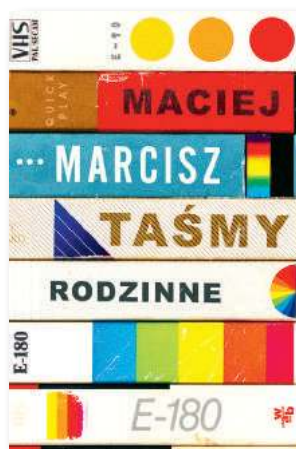
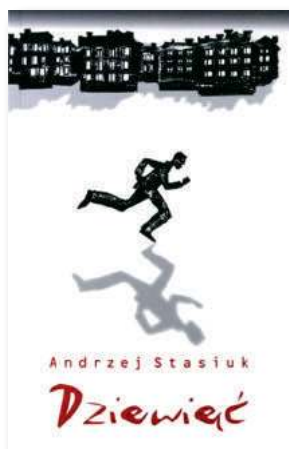
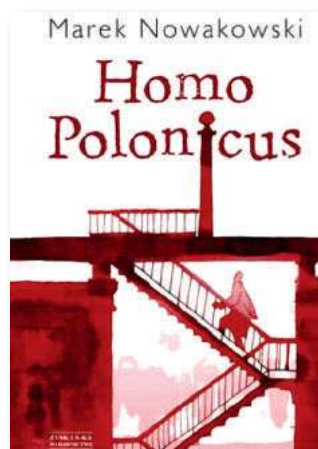
Wspomnienia o biznesie, jaki robiło się na handlu kasetami wideo czy

moralnego niepokoju. Kasety VHS to odpowiedź na oczekiwania mas. Ryśunkowy Tytus de Zoo w księdze XIX (z 1992 r.) mówi wprost: „Magnetowid, video *in excelsis Deo*”.

O kasetowym biznesie pisze Marcin Teodorczyk w „Niebie 1989”. Akcja dzieje się w prowincjonalnej miejscowości Niebo w Lubuskiem w ciągu jednego roku. Transformacja w powieści Teodorczyka to czas, kiedy dla jednych świat się kończy, a dla drugich zaczyna. W „Niebie” kasety wideo są zapowiedzią zmian. Strajki, Jaruzelski czy Wałęsa, orzeł w koronie albo bez niej – to wszystko jest daleko, znane z telewizora albo z gazet. Filmy z kaset przynoszą nowe: Ameryka wchodzi do telewizorów, łóżek i sklepów. Pojawiają się aspiracje – Kaśka krzyczy, że chce być „kapalistką”; niezadowolony Romek marzy o lizaniu Murzynki, którą zobaczył w filmie porno; pierwsze szanse – Andrzejek

„Ma być jak na Zachodzie”, mówi jeden z bohaterów „Nieba”. A Zachód to przede wszystkim Niemcy, tak blisko geograficznie i daleko mentalnie. W PRL dla wielu mieszkańców Ziemi Odzyskanych Niemcy były czyhającym za rogiem zagrożeniem – po 1989 r. to eldorado, z którego przywozi się dżinsy, chemię, no i kasety wideo. Do Niemiec się jeździ, z Niemcem się rozmawia, dzięki niemieckim rzeczom zostaje się lokalnym krezusem.

Marcin Teodorczyk, rocznik 1980, może sporo pamiętać z epoki przełomu. Jego wspomnienia są jednak filtrowane przez dziecięcą perspektywę. Dlatego „Niebo 1989” jest utrzymane w tonie pogodnej nadziei, w końcu to czas przejścia od brązów i szarości do krzykliwych kolorów, nowych zapachów i doznań. To wspomnienia 10-latka, który bardziej czuje nowe smaki niż Wielką Politykę. Książka napisana jest więc z lekkością i hu-



ich wypożyczaniu, znajdziemy we wszystkich opowieściach z ciekawej epoki przełomu. O piraceniu na potęgę zachodnich produkcji, o miłości do filmów takich jak „Rambo”, „Akademia policyjna”, „Terminator” i „Szklana pułapka”, wstydlwym pragnieniu niemieckich pornosów, mówią wszyscy wspomniani autorzy, a także mój stryj Ignacy, jeden z pierwszych gasterbeiterów z wolnym paszportem.

Ma być jak na Zachodzie

Już w 1988 r. w Polsce znajduje się około miliona odtwarzaczy wideo. Choć w telewizji pojawiają się „Wiadomości” w miejsce „Dziennika Telewizyjnego”, naród pragnie prawdziwej sensacji, filmów akcji, w nosie ma już kroniki filmowe i kino

chce wyjechać do Niemiec, gdzie będzie mógł być pełnoprawnym gejem; a także mgliste zagrożenia – dla dyrektora kopalni to kres kariery, dla księdza groźba utraty rządu dusz, dla młodego pijaka Zbyszka kres stabilnej roboty w państwowym zakładzie.

Rok 1989 jest dla mieszkańców Nieba czasem szczególnym, widmowym, niejasnym. Choć na horyzoncie majaczy drożyna w sklepach, inflacja i bezrobocie, większość wierzy, że kapitalizm jest szansą. Nie wiedzą jeszcze, że po kilkunastu miesiącach właśnie takie dziury jak Niebo będą największymi ofiarami transformacji. Ci, którym się uda – jak Kaśka z Romkiem – zbudują swoją ciepłą przystań i staną się nową grupą społeczną, przedsiębiorcami. Reszta dostanie nowe banknoty i stare rozczarowania.

morem, nawet rodzinne dramaty rozwiązują się jakby same. To inny obraz niż dokumentalne zapiski reporterów, pełne gorzkich refleksji o tym, że oczekiwane zmiany przyniosły upokorzenie, a wolność zabiła równość i braterstwo.

Piękno jest jedynie ich udziałem

W tym porównaniu „Dziewięć” Andrzeja Stasiuka jest opowieścią dużo bardziej cierpką. Starszy kolega po piórze sięga dalej niż debiutanci. „Dziewięć” to krajobraz po bitwie. Jeszcze nie opadł pył przemian, a już trzeba sobie radzić. U Marcisza mamy spryt drobnego przedsiębiorcy, u Teodorczyka mafia to niemal Święty Mikołaj! Dla Stasiuka gangsterzy nie są miłymi chłopakami, którzy pomo-

► gą ci zarobić albo spełnić erotyczne fantazje. To bezwzględni bandyci, dla których liczy się szmal. Transformacja oznacza narodziny nowej przemocy, dawni esbecy wkładają skórzane kurtki i nie wahają się ściągać haraczu z tych, którzy myślą o byciu „kapitalistami”.

Autorów różni także opisywane w powieściach miejsce. U Marcisza mamy miasteczko na Śląsku, u Teodorczyka – Lubuskie, Stasiuk zaś opisuje Warszawę. W stolicy nie ma taryfy ulgowej. Tu najłatwiej wdrapać się na szczyt, ale i zarobić kulkę.

„Świat dawał im znaki, ale oni, jak wszystkie zagubione dusze, widzieli tylko siebie, ponieważ w prostocie swoich serc sądzili, że piękno jest jedynie ich udziałem”, pisze Stasiuk w „Dziewięć”, charakteryzując naiwne

Nowakowskiego, zbiorze czterech opowiadań utrzymanych w stylu realizmu peryferyjnego, których akcja rozgrywa się przed upadkiem PRL i później. Oprócz opowiadania tytułowego znajdują się w tym tomie „Dwa dni z Aniołem”, „Stygmatycy” oraz „Strzały w motelu »George«, czyli skarb Krwawego Barona”. Nowakowski – ten jeden z wielkich, choć wciąż mało znanych pisarzy – nieraz dawał w twórczości przykład rozczarowania transformacją. Nie ma u niego radości ze wspólnego oglądania kaset wideo, nie ma wspomnień smaku chrupków Lilly Chips, nie ma wizyt w McDonaldzie. Jest za to smutna prawda o latach transformacji, którą jednomyślnie głoszą wszyscy bohaterowie.

„Każdy ma jednakową szansę. Tylko głowę trzeba mieć obrotową”.

przekonania Pawła, głównego bohatera, który wietrzy w upadku komunizmu szansę na lepsze życie. Niestety, po te pieniądze nie wystarczy się schylić. W świecie opisywanym przez Stasiuka kapitalizm nie ma jeszcze ustalonych zasad gry. Najważniejsze stają się pieniądze, a przyjaźń, lojalność czy miłość schodzą na dalszy plan. Można potraktować „Dziewięć” jako uniwersalną opowieść o pokoleniu młodych wschodnich Europejczyków, którzy uczą się kombinować, kręcić kasę, a zarazem stają się coraz bardziej samotni i wykorzenieni.

Co ciekawe, Stasiuk uważa „Dziewięć” za swoją najważniejszą książkę, choć daleka jest od typowych dlań narracji podróży. Być może ta książka, ten rozbrat ze światem, który goni za mamoną, pozwolił mu odnaleźć się na prowincji i nabrać dystansu.

Nie mniej brutalny i szary jest świat w „Homo Polonicus” Marka

Staś Bombiak z tytułowego opowiadania to typowy cwaniak, który za PRL kombinował w ukryciu, a w III RP robi to już jawnie. W tej postaci zawiera się wszystko, co najgorsze w transformacji: kult łatwej kasy, brak zasad, jałowość relacji z drugim człowiekiem. „Każdy ma jednakową szansę. Tylko głowę trzeba mieć obrotową”, mówi Bombiak, ale ta dewiza pasuje do wielu. Według Nowakowskiego na transformacji skorzystali ci, którzy ideały mieli w nosie, łapali okazję, wskakiwali na furmankę dziejów i jadąc, nie przejmowali się, że ochlapują błotem całą resztę.

„Kapitalizm. Stasiu Bombiak właściwie nigdy nie zastanawiał się nad sensem tego słowa. Słowa, słowa! Tyle tej gadaniny. Była komuna i też jakoś się żyło. Przedtem okupacja i ludzie dawali sobie radę. Niektórzy nawet chwalili. Słowa są po to, żeby człowiekowi w głowie mącić.

Wierzył w zdrowy rozsądek i arytmetykę. Podparte to musi być jeszcze uporem, energią i przebiegłością. Tak to z grubsza wyglądało według jego doświadczenia” – tak plan Balcerowicza w praktyce przedstawiał Nowakowski, do końca życia niepokodzony z tym, co zastał po zmianach ustrojowych.

Reszta nie jest milczeniem

Marcisz, Teodorczyk, Stasiuk, Nowakowski. To oczywiście niejedyni autorzy, którzy transformację umieścili w tle swoich dzieł prozatorskich. Dwóch młodych, debiutujących 30 lat od magicznej daty 1989, i dwóch wiarusów literatury, którzy swoje książki napisali jeszcze w latach 90. Marcisz i Teodorczyk piszą z perspektywy mglistych wspomnień czy wręcz wyobrażeń, Stasiuk i Nowakowski kreślą obraz tamtych czasów bardziej drzącą ręką, tkając opowieści z własnych doświadczeń.

Literatura piękna jest fikcją, więc nie odpowie nam na pytanie, na ile przychodzi nam dziś świętować 30-lecie matriksa, a na ile 30-lecie złotej wolności. Kazimierz Orłowski pisał: „Literatura nie powinna odpowiadać na żadne pytania. Odpowiedzi udzielają religie, ideologie, programy polityczne, ale nie literatura. (...) Jedyne, co możemy zrobić – my, ludzie piszący książki – to opisywać rzeczywistość, jeśli to, co dzieje się w naszym kraju, interesuje nas. Refleksja, zastanowienie należy do czytelników”. W tym pewnie miał Orłowski rację. Jednak ta nasza czytelnicza reszta – refleksja, analiza – nie powinna być milczeniem.

Rafał Pikuta

Inspirowałem się „Duchologią polską” Olgi Drendy. Dziękuję autorce.



Nowe teksty znanych autorów!

Państwo, którego nie da się wymazać z historii.

**PAKIET
70 ZŁ**



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Euforia

Niektórzy odbiorcy kultury w Polsce zachowują się czasem jak Kubuś Puchatek, który podczas zabawy w chowanego zasłania sobie oczy i myśli, że nikt go nie znajdzie. Takie infantylne podejście staje się przyczyną paradoksów i różnych mniej lub bardziej śmiesznych odjazdów – na naszych oczach rzeczywistość odkleja się od powszechnych wyobrażeń i przesądów. Spora część dorosłych Polaków po prostu zasłania oczy i powtarza: nie ma!

Wiadomo, świat nie znika wyłącznie dlatego, że odwracamy wzrok – za to zaczyna dryfować bez kontroli, a nasze dzieci, które z definicji są trochę bardziej żywe, mają trochę bardziej subtelne mechanizmy wyparcia – czują się w nim dojmująco samotne. Polska kultura, która nagradza (klikalnością, odśtonami itd.) polaryzację opinii, agresję, przemoc, udaje jednocześnie, że pornografii nie ma, że mąż i żona to są święte sprawy i wszystkie konflikty należy załatwiać w rodzinie, byle po cichu. Polskie nastolatki do czterdziestki nie wiedzą, co to seks, a marihuanę widziały tylko w telewizji. „Brzydkie” słowa natomiast podzuciły im jakieś patusy na pętli. Skale odklejenia polskich dorosłych od nastolatków pokazują lokalne reakcje na serial „Euforia”, który podbija właśnie świat, stając się najbardziej wpływowym serialem mijającego roku.

Kiedy schodzę po makaron do Żabki, za kasą stoi nieco mroczna nastolatka z długimi, zafarbowanymi na czarno włosami. Na powiekach ma neonowe cienie i charakterystyczne kropki. – Fajny makijaż – mówię. – Jak z „Euforii”. – Oglądała pani?! – dziewczyna rozpromienia się i dostaje w bonusie do kluszek Barilla autentyczny uśmiech. – Niesamowity serial, nie? – Obłądny – odpowiadam. Od tej pory jesteśmy koleżankami. Wcześniej, na stronie amerykańskiego magazynu „Nylon”, przeczytałam wywiad z charakteryzatorką, która pracowała na planie „Euforii”. Opowiadała o symbolicznym znaczeniu konkretnych stylizacji w różnych ujęciach. Makijaż bohaterów ulega dekonstrukcji, staje się coraz bardziej mroczny albo surrealistyczny. I nie jest to sztuczne mnożenie znaczeń – poziom formalnego wysmakowania serialu pozwala na skupienie się na takich szczegółach. Raptem osiem odcinków, a każdy nakręcony jak małe dzieło sztuki, czarujący klip.

Główną rolę cierpiącej na zaburzenia lękowe narkomanki Rue gra Zendaya, gwiazda dobrze znana widzom z cukierkowych produkcji Disneya. Samo to wzbudziło sensację. Słodka, prześliczna Mulatka z długimi, kręconymi włosami biega w „Euforii” do sąsiadki pożyć czysty, jeszcze ciepły mocz do badania na obecność substancji

psychoaktywnych. Kłamie, wciąga co popadnie, rani najbliższych i absolutnie nie panuje nad emocjami. A twórcy wykorzystują młodzieńczy wdzięk i niewinną naturalność jej urody na zasadzie kontrastu z całym rozpieprzonym w drobny mak życiem. Fundują nam sceny rodzinnego szczęścia tak rzadko i jednocześnie tak piękne (śpiewająca z siostrą i matką w samochodzie Zendaya), że po prostu nie da się, no nie da się nie wzruszyć.

„Euforia” jest wystetyzowana, a przez to odrobinę baśniowa i bardzo magnetyczna. Płacząca ze szczęścia brokatowymi łzami (*sic!*) Rue, Rue wypowiadająca z błogim uśmiechem po zażyciu opiatów powracające zdanie: *I'm so happy* jest bliższa bohaterom „Trainspotting” niż „Dzieciom z dworca Zoo”. A toksyczne i pełne przemocy relacje miłosne bohaterów mają coś z pierwszych filmów Xaviera Dolana z fruującymi po ekranie słodkimi piankami. Mimo to siłą tego filmu jest właśnie szczerość i konfrontacja z tematami petryfikowanymi poza granicą tabu.

Polska kultura, która nagradza agresję i przemoc, udaje, że pornografii nie ma, a konflikty należy załatwiać w rodzinie, po cichu.

Dorzućmy do tego obłądny, dosadny humor i naprawdę świetną muzykę (producentem filmu jest raper Drake), zapierające dech w piersiach zdjęcia i kapitalne aktorstwo.

Ale jest coś jeszcze – film ma mocny potencjał emancypacyjny. Kiedy widz (oczami Rue) pierwszy raz widzi Jules – eteryczną, elficką dziewczynę w ciuchach i makijażu rodem z *rave party* z lat 80. – nie wie, że patrzy na transseksualną aktorkę, olśniewającą Hunter Schafer. Chyba że widział ją wcześniej na pokazach Miu Miu albo na okładce „Teen Vogue”. Jej transpłciowość nie jest tematem, jest oswojona, pokazana mimochodem. Także wtedy, kiedy Rue zakochuje się w Jules. Zresztą w serialu jest więcej przekazów całkiem serio istotnych dla ruchów równościowych czy *body positive* (przemiana Kat w atrakcyjną, silną dziewczynę).

Ma się rozumieć, w Polsce – kraju, gdzie politycy każą nam żreć mięso i węgiel – „Euforia” nie wzbudza tak jednoznacznie ciepłych uczuć, a wpisy na niektórych forach każą nam myśleć o sobie dość brzydko. Ja natomiast ciepło myślę o dziewczynie, która sprzedaje mi makaron w Żabce i niedawno walnęła sobie ekscentryczny makijaż ku czci dobrego filmu. Chcę wierzyć, że to pokolenie ciągnie tzw. tolerancję z ekranu – jak prąd. I że za pokolenie nie trzeba będzie pewnych spraw omawiać. Na razie jednak trzeba je dopiero omówić. Twórcy „Euforii” zrobili to spektakularnie i z klasą.



25. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE COURTNEY PINE BAND: HOUSE OF LEGENDS

Jazzowe lato na warszawskiej Starówce już się żegna – muzyką sięgającą korzeni brytyjskiej społeczności afrokaraimskiej: funky, reggae, calypso czy zouka. Legenda saksofonu, multiinstrumentalista, jeden z najbardziej wpływowych muzyków europejskich Courtney Pine od ponad 20 lat nieustannie dokonuje przełomów kolejnymi, wysoko ocenianymi albumami i otrzymuje wiele prestiżowych nagród: Mercury Music Prize, BBC Jazz Award, MOBO. Dziś jego nazwisko stale gości na liście najbardziej wpływowych czarnoskórych Brytyczków. Jako dwudziestoparolatek wziął udział w słynnym koncercie na Wembley dedykowanym Nelsonowi Mandeli. Za zasługi dla muzyki jazzowej został najpierw oficerem, a potem komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. (ap)

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 31 SIERPNIĄ, GODZ. 19.00

PANNONICA FESTIVAL

Bałkany pod Starym Sączem – w Barcicach w województwie małopolskim odbędzie się jeden z największych i najważniejszych festiwali muzyki etnicznej i bałkańskiej w Polsce. Impreza co roku przyciąga liczną, międzynarodową publiczność szukającą



wyjątkowych wrażeń, a przede wszystkim – tradycyjnej muzyki. W „krzakach nad Popradem” gromadzi się wiele tysięcy osób, chcących spędzić ostatni weekend wakacji w gorących rytmach muzyki cygańskiej, bułgarskiej, węgierskiej czy serbskiej. Na festiwalowej

scenie będzie można usłyszeć takie legendy jak: Bora Dugić, Goran Bregović & Wedding and Funeral Band, Bulgarian Voices Angelite, Kočani Orkestar czy Adam Strug. Hasłem festiwalu jest: „Pannonica – ogień nie muzyka!”. Szczegóły: www.pannonica.pl.

BARCICE, 29-31 SIERPNIĄ

(bt)

XVI FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ WARSZAWA SINGERA

Trudno sobie wyobrazić końcówkę lata w Warszawie bez tego festiwalu, bo to już 16. edycja. Jak zwykle obfitująca w wydarzenia: koncerty, warsztaty, spektakle, projekcje, wystawy, spacer, atrakcje dla dzieci. Co nie bez znaczenia, wiele z tych imprez odbywa się bezpłatnie, tak jak plenerowe koncerty na placu Grzybowskim, gdzie bije serce Warszawy Singera. Po raz pierwszy na festiwalu zagości Noam Vazana z Izraela, a towarzyszyć jej będzie

Tomasz Kukurba, lider najbardziej znanej polskiej formacji klezmerskiej Kroke. Rodzime tradycje folkowe przybliży Kapela Brodów oraz Orkiestra Klezmerska Teatru Sejneńskiego. Grupa wystąpi podczas Nocy Klezmerów, a wraz z nią trębacz i kompozytor Frank London. Festiwal zamknie plenerowe widowisko z udziałem gwiazdy skrzypiec Nigela Kennedy'ego – będzie to koncert zainspirowany „Sztukmistrzem z Lublina” Singera oraz kompozycjami Gershwina. Program: shalom.org.pl/program-2019/.

DO 2 WRZEŚNIA



MIĘDZY OKŁADKAMI

WKREĆENI

Steve Cavanagh
tłum. Izabela Matuszewska
Albatros, Warszawa 2019

Głównym bohaterem „Wkręcanych” okazuje się zwrot akcji. Umiejętne zwodzenie, zaskakiwanie przy zachowaniu prawdopodobieństwa jest jednak sztuką. Najwyraźniej posiadał ją niejaki J.T. LeBeau, tajemniczy autor bestsellerowych kryminałów. Kto to? Prawie każdy o nim słyszał, jeśli go nie czytał, ale nikt nie widział – istny yeti. Czy ukrywa się, bo



taki skromny i nieśmiały? A ile musi mieć forsy! Maria Cooper, kisząca się w miasteczku Port Lonely, do którego przywiózł ją mąż, też chciałaby mieć duże pieniądze. Paul wydziela jej skromną kwotę i wiecznie wypomina wydatki – a tu wychodzi na jaw, że na tajnym koncie zadławił miliony.

Zwroty akcji będą teraz następowały jeden za drugim, aż do ostatniej strony, proszę więc nie psuć sobie przyjemności i nie podglądać. I nawet jeśli niespodzianka nie będzie aż taka, by „przekłeta książka wypadła czytelnikowi z rąk”, jak chciałby jeden z bohaterów, Cavanagh wiele zdziałał na tym polu.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

KRÓLOWE ZBRODNI

reż. Andrea Berloff, prod. USA,
już w kinach

Za kamerą tej wyso-
kobudżetowej produk-
cji stanęła Andrea Ber-
loff, ale i przed kamerą
prym wiodą kobiety.
Mało tego – Melissa
McCarthy, Elisabeth
Moss i Tiffany Haddish
pokazują się nam w zu-
pełnie nowym repertu-
arze. Grają żony mafij-
nych bossów, które
muszą wziąć sprawy w swoje ręce, gdy mężowie trafiają do ciu-
py. Oglądanie ich niezdarne przepoczwarczanie się z podległych
w silne i niezależne przynosi podwójną satysfakcję, gdy weźmie
się pod uwagę najstawniejsze role aktorek. Zwłaszcza w przypad-
ku Elisabeth Moss, którą patriarchat uciska w „Opowieści pod-
ręcznej”, a teraz ona może wziąć spluwę i zacząć sama o sobie
decydować. Ale „Królowe zbrodni” to nie tylko popis aktorski. Re-
żyserka postarała się, by kobiety na szczycie mafijnej organizacji
znacząco różniły się od mężczyzn. Z tego powodu nigdy nie jest
im do twarzy z bronią, a rozmowy z gangsterami zaczynają od py-
tania, czy w rodzinie wszystko w porządku. O takie filmy walczyły
ruchy #MeToo i Time’s Up! – chciałoby się zakrzyknąć. Na ile jed-
nak „Królowe zbrodni” są wynikiem ruchów emancypacyjnych,
a na ile poszukiwaniem czegoś nowego w obliczu gigantycznej
konkurencji ze strony telewizji i platform, przekonamy się pewnie
dopiero za rok, za dwa.

Artur Zaborski



SERIAL

PRZYBYSZE

Na całym świecie dochodzi do niewytłumaczal-
nych zdarzeń. Nad oceanem rozbłyskuje światło
i zaczynają wyłaniać się z niego ludzie z epoki ka-
mienienia, z ery wikingów i z końca XIX w. Nikt nie
rozumie, jak to możliwe, a ludzie z przeszłości, na-
zywani przybyszami, nie pamiętają, jak przenieśli
się w czasie. Jedno jest pewne – robi się ich coraz
więcej i nie ma dla nich powrotu. Kilka lat później
Alfhildr z ery wikingów zaczyna pracować z wypa-
lonym zawodowo detektywem Larsem w ramach
policyjnego programu integracji. Podczas śledztwa
w sprawie morderstwa natrafiają na trop spisku,
który może wyjaśnić przyczynę masowej migracji
ludzi z innych epok. Pierwszy norweski serial HBO
Europe autorstwa Anne Bjørnstad i Eilifa Skodvina
jest już dostępny na platformie HBO GO.

HBO GO, we wrześniu w HBO



ZAJRZYJ TU

NIGDY WIĘCEJ. SZTUKA PRZECIW WOJNIE
I FASZYZMOWI W XX I XXI WIEKU

Wystawa zorganizowana w 80. rocznicę wybu-
chu II wojny światowej przywołuje tradycję sztuki
antyfaszystowskiej, koncentrując się na trzech mo-
mentach historycznych.



Pierwszy to lata 30. XX w.
i najbardziej znany obraz
antywojenny – „Guerni-
ca” Picassa z 1937 r. Drugi
plan to lata 50. – ta część
wystawy dotyczy zwłasz-
cza Arsenatu, czyli Ogólno-
polskiej Wystawy Młodej
Plastyki „Przeciw wojnie
– przeciw faszyzmowi”
w ramach V Światowego
Festiwalu Młodzieży i Stu-
dentów w 1955 r. Z kolei
trzeci plan to dzisiejsze po-
dejścia do faszyzmu, przywoływanego w kontekście

współczesnego rasizmu, działań antykobiecnych czy
przemocowych, które stwarzają warunki do powtó-
rzenia się katastrofy z pierwszej połowy XX w.

**WARSZAWA, MUZEUM NAD WISŁĄ,
30 SIERPNIA-17 LISTOPADA**

MOZAIKA POLSKIEGO PLAKATU

Tytułowa mozaika to wybór prac z Dydo Poster Collection,
czyli ponad 70 plakatów z ostatnich kilkudziesięciu lat. Auto-
rami są działający w tym okresie artyści wszystkich pokoleń,
od twórców polskiej szkoły plakatu po najmłodszych adeptów
szkół artystycznych, a więc takie nazwiska jak: Eryk Lipiński,
Henryk Tomaszewski, Jan Lenica, Waldemar Świerzy, Jan Mło-
dożeniec, Franciszek Starowieyski, a z młodych Patrycja Lon-
gawa i Jakub Zasada. Twórcy plakatu artystycznego podejmują
przede wszystkim tematykę kulturalną. „Projekty, które dystry-
butorzy zamawiali w latach 70. czy 80., będą się przeplatać ze
współczesnymi plakatami autorskimi, które funkcjonują obec-
nie głównie w Internecie i w galeriach, a nie we wnętrzach kin
i na słupach ogłoszeniowych”.

**MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DAWNY HOTEL CRACOVIA,
DO 31 SIERPNIA**



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Szpiedzy w lesie

Mikrowyprawy, czyli jak przeżyć przygodę, mając normalne życie, rodzinę, kredyty do spłacenia i pracę od 9 do 17



ŁUKASZ DŁUGOWSKI

– dziennikarz i aktywista, autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”

Rozmawia Anna Brzeska

Kim ty w ogóle jesteś? Pisarzem, podróżnikiem, ekologiem?

– Z wykształcenia filozofem, z zawodu dziennikarzem, z zamiłowania podróżnikiem. Przyrodnikiem ani ekologiem nie jestem. Jestem natomiast ojcem zaniepokojonym przyszłością, jaka czeka moje dzieci. W swoich działaniach opieram się na badaniach i analizach dobrze wykształconych ekologów i świetnych naukowców.

Wydałeś też książkę.

– Teraz pracuję nad drugą. Będzie o moim spływie tratwą flisacką po Bugu, o ludziach, którzy żyją nad tą rzeką, oraz o ich tradycjach. Natomiast pierwsza, „Mikrowyprawy w wielkim mieście”, to teksty skupione wokół siedmiu największych miast w Polsce – od Warszawy po Kraków. Proponu-

ję 9 do 17. Piszę też o tym, gdzie znaleźć lukę, w którą można tę przygodę wetknąć. Jednocześnie książka ma uświadamiać, jak bardzo potrzebujemy w codziennym życiu przyrody. Jest tam kilka wywiadów, m.in. z kognitywistą, ekopsychologiem i innymi naukowcami, którzy pokazują, jak bardzo przyroda jest niezbędna do zdrowego funkcjonowania, zarówno jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, jak i fizyczne. Naukowcy używają nawet terminu biofilia, określającego naturalną potrzebę kontaktu człowieka z przyrodą. Zamiast więc brać kolejne valium, można pójść nad rzekę, do lasu, pobujać się w hamaku.

Co możemy zrobić, mieszkając w dużym mieście? Przeciętny człowiek zapyta: „Dokąd mam pójść, skoro z jednej strony mam hipermarket, z drugiej wieżowce, a rzeka płynie w kanałach?”.

– Jedną z wypraw zorganizowałem sobie właśnie niedaleko Bie-

Mikrowyprawy pozwalają wrócić do dzieciństwa, kiedy bawiliśmy się tylko po to, by się bawić.

dronki we Wrocławiu. Pojechałem autobusem z centrum w okolice Wyspy Opatowickiej, potem przeszedłem może kilkaset metrów i znalazłem się na wyspie. Tam rozpalilem ognisko, rozbiłem namiot, pogapiłem się na rzekę, posłuchałem ptaków i odgłosów lasu. Następnego ranka wstałem i wróciłem do centrum. Cała wyprawa trwała może z dziewięć godzin. Biedronkę miałem w linii prostej może 900 m dalej. Koszt – jakieś 7 zł.

Czyli to taki poradnik?

– Poradnik, jak przeżyć przygodę, mając normalne życie, czyli rodzinę, kredyty do spłacenia i pracę od

W mieście można legalnie palić ognisko i rozbijać namiot?

– Nie. Nigdzie w Polsce nie można legalnie nocować poza miejscami do tego wyznaczonymi. Rozumiem uzasadnienie stojące za tym prawem. Jesteśmy w dużej mierze narodem śmieciarzy. Nawet jeśli gdzieś są kosze na śmieci, te i tak się walają dookoła, z czym borykają się np. strażnicy w Bieszczadach. Rozsądnym ludzi zachęcam natomiast do czegoś, co nazywam obywatelskim nieposłuszeństwem, czyli do rozbijania się w miejscach do tego nieprzeznaczonych, ale z zachowaniem zasad zdrowego rozsądku. Gdy zabieram do lasu dzieci i tłumaczę im, jak mają się w nim zachować, zawsze mówię: „Słuchajcie, gdy jesteście w lesie, róbcie wszystko tak, jakbyście byli szpiegami, których ktoś może śledzić. Waszym najważniejszym zadaniem jest niepozostawienie ani jednego śladu”. To filozofia, która mi przyświeca. Uważam, że jeśli nie śmiećmy, nie przeszkadzamy zwierzętom, nie włączymy w rezerwat, nie ma co przesadzać z tym prawem.

Nie dostałeś nigdy mandatu?

– Śpię na dziko pod namiotem od dobrych 20 lat i nigdy nie dostałem mandatu. Nigdy też nikt mnie nie przegonił ani nie spotkało mnie nic przykrego. Zawsze staram się rozbijać daleko od jakichkolwiek siedzib ludzkich. Gdy kiedyś rozbiłem się na sopockiej plaży, w odległości ok. 500 m od pięciogwiazdkowego hotelu, doszedłem do wniosku, że lepiej jest rozbijać się dalej od barów czy hoteli. Pomy-

ślałem, że gdy ktoś tam wypije parę piw, może mu przyjść do głowy jakiś „śmieszny” pomysł, by np. skopać czy wrzucić do wody gościa z namiotu. Dla własnego bezpieczeństwa i komfortu innych ludzi staram się więc raczej ukrywać z tym noclegiem.

Co jeszcze proponujesz?

Nigdy nie było mnie stać na canyoning. Ten sport polega na tym,

go nie obchodzi to, czy przepłynąłem 10 km tej rzeki czy 15.

Moją ulubioną aktywnością, prócz chodzenia po górach i lasach, jest wiszenie w hamaku. Idę do lasu, rozwieszam sobie hamak i się bujam, gapiąc się na drzewa i niebo. Bardzo podoba mi się w mikrowyprawach właśnie to, że nie da się ich wcisnąć w ramy rywalizacji czy wyma-

który mi pokazał, że nie muszę lecieć na miesiąc do Patagonii, żeby odpocząć i zobaczyć kawałek dzikiej przyrody. Ta mikrowyprawa kosztowała nas 4,40 zł.

Jak wpadłeś na to, że można coś takiego robić?

– Chciałem być wielkim podróżnikiem, takim jak Marek Kamiński, Krzysztof Wielicki czy Fridtjof Nansen – norweski polarnik, laureat Pokojowej Nagrody Nobla. W 2012 r. próbowałem przejść Norwegię na nartach, samotnie, z Bergen do Oslo. Po kilku

dniach stwierdziłem, że to bez sensu. Wtedy miałem już pięcioletniego syna. Pomyślałem, że ryzykowanie zdrowia i życia, aby przejść z punktu A do punktu B, jest absurdalne. Uznałem więc, że to był głupi pomysł i wróciłem do Polski. Jednak tu znowu zaczęło mnie nosić i postanowiłem znaleźć kompromis między wielkimi podróżami a nierobieniem niczego. I wtedy

Większość wypraw kosztuje tyle co bilet na komunikację miejską. Niewiele mam propozycji droższych niż 100 zł.

że zakłada się kask, piankę neoprenową, wskakuje do górskiej rzeki i płynie z jej nurtem bez żadnych zabezpieczeń. Wymyśliłem więc, że będą uprawiać canyoning na rzece nizinnej, pomiędzy Warszawą a Łodzią, w Bolińskim Parku Krajobrazowym. Płynie tam Rawka, która ma szerokość od 2 do 4 m, a głębokość od kostek do 2 m. Razem z kumplem pojechaliśmy do parku pociągami. Wrzuciliśmy nasze rzeczy do worków na śmieci, a worki w plecaki. I wskoczyliśmy w gaciach do rzeki. Tam gdzie się dało, płynęliśmy, tam gdzie się nie dało, szliśmy. I tak przez 10 km. Cała mikrowyprawa kosztowała nas tyle,

gań w stosunku do siebie. Są takie antysystemowe.

Co jeszcze robicie?

– Pierwszą moją mikrowyprawą był nocleg na wyspie na Wiśle. To było tak, że nie mogłem się przez dłuższy czas spotkać się z moim kumplem. Wciąż byliśmy zbyt zabiegani. Powiedziałem mu więc: „Słuchaj, przecież mamy noc, co

Najlepsze mikrowyprawy to te w środku tygodnia.

ile zapłaciłem za worki na śmieci, plus kilka złotych za bilet na pociąg. To było fantastyczne przeżycie, bo zobaczyłem rzekę z innej perspektywy. Mogłem ją przeżyć wieloma zmysłami, nie byłem od niej oddzielony. Po drugie, bo zrobiliśmy coś totalnie bezużytecznego. Coś, co niczego nie zmienia w świecie. Nie rozwiązaliśmy problemu głodu, nie doprowadziliśmy do wzrostu PKB w Polsce...

I w tym tkwi sens mikrowypraw?

– Mikrowyprawy są tak absurdalne i egoistyczne, że pozwalają wrócić do tego cudownego, beztroskiego stanu z dzieciństwa, kiedy bawiliśmy się tylko po to, by się bawić. Nie biegaliśmy wtedy, by wykręcić lepszy czas czy być szybsi w maratonie. Wszystkie nasze aktywności były ważne z samej ich istoty.

Maraton też w zasadzie jest raczej bezużyteczny.

– Tak, ale gdy go biegniemy, czegoś od siebie wymagamy. A tu niko-

najmniej osiem godzin, skorzystajmy z tego”. Pojechaliśmy więc autobusem na obrzeża Warszawy, doszliśmy sobie do Wisły, przeszliśmy brodem na wyspę. Tam rozłożyliśmy śpiwory, pogadaliśmy, zasnęliśmy, a następnego dnia rano wróciliśmy prosto do pracy na 9 – co też jest ważne, bo najlepsze mikrowyprawy to właśnie te w środku tygodnia.

Dla mnie nocleg na wyspie był takim life-changerem (czyli czynnikiem, wydarzeniem, zmieniającym życie),

trafiłem na bloga brytyjskiego podróżnika Alastaira Humphreysa, twórcy idei mikrowypraw, który przez parę lat jeździł rowerem dookoła świata, a po powrocie do domu również potrzebował odpocząć od dużych podróży. To on mnie zainspirował do wymyślenia sposobów, jak przeżyć przygodę za niewielkie pieniądze i móc normalnie pracować, być z rodziną.

Prowadzisz ze swoją żoną Asią Fundację DZIKO. Jaka potrzeba stała za tym, by ją stworzyć?



Chciałem nawiązać do tradycji flisaków, którzy pływali po Bugu przez kilkaset lat, spławiając drewno.

► – Fundacja jest dla mnie naturalną konsekwencją mikrowypraw. Trakto- wałem je jako sposób na wciągnię- cie ludzi w przyrodę, by nie byli sfru- strowani, że życie ciągnie się im jak smętny glut. Poza tym nie wierzę, że ktoś będzie chciał chronić przyrodę, jeśli sam jej nie doświadczy. Stwier- dziliśmy jednak, że to wszystko za mało i stąd się wzięła nasza walka o obronę rzek w Polsce, szczególnie Bugu. To ostatnia dzika rzeka wśród tych w Polsce, które już są lub mają

taka rzeka może wydaje się bezuży- teczna, a tak naprawdę jest potrzebna jak powietrze do oddychania.

Jak wpływa stan rzeki na ceny żywności?

– To bardzo proste. Rzeka uregulowana, z wybetonowanymi brzegami, pozbawiona terenów zale- wowych i starorzeczy nie nawadnia terenów w swojej okolicy. Naukowcy z SGGW niedawno wyliczyli, że po wybudowaniu kanału żeglugowe- go wzdłuż Bugu częstotliwość susz

z zasobów naturalnych. Regulacja rzek to też podcinanie gałęzi, na której sie- dzimy. Tym razem już chyba ostatniej.

Co nam jeszcze grozi?

– Powodzie. Większość naszych rzek jest już zniszczona. Skutki tego widzieliśmy choćby ostatniej wiosny, szczególnie na południu Polski, gdzie te rzeki są w największym stopniu uregulowane. Na Bugu tego proble- mu nie było. Jest dzięki, ma gdzie wy- lewać, wsie są w większości odsunię- te od rzeki. Jeżeli są jakieś straty na polach – to bardzo niewielkie. Co wię- cej, wraz z regulacją Bugu, zniszczeniu ulegnie też kilka ob- szarów Natura 2000.

Ale o tej porze roku w dwóch trze- cich swojej szerokości Bug jest mie- lizną. Nasz spływ tratwą miał trwać około miesiąca. Chcieliśmy dotrzeć spod Terespoła do Serocka pod Warszawą.

Dlaczego nie wyszło?

– Po tygodniu spływ zamienił się w wypych. Kilka razy dziennie wp- adaliśmy na mielizny, z których wy- dostanie się trwało po kilka godzin. Pod Drohiczyńem w ciągu czterech godzin przepłynęliśmy półtora kilo- metra i wpadliśmy na sześć mielizn.

Jakie zanurzenie ma wasza tratwa?

– Budowę nawiązywała do trady- cyjnych flisackich tratw. Zanurzenie wynosi 35 cm. Moglibyśmy bez- piecznie przepłynąć Bug, gdyby miał głębokość choćby do kolan. W więk- szości miejsc rzeka sięgała nam jed- nak kostek, ewentualnie do połowy łydki. Nurt to wprowadzie głębszy kanalik o szerokości kilku- kilkunastu metrów, ale to tylko w zakolach, naj- głębszych częściach. Poza tym rzeka to jedna wielka mielizna.

I taką rzekę rząd chce uczynić żeglowną?

– Obecnie celem jest budowa kanału żeglugowego wzdłuż Bugu. Międzynarodowa Droga Wodna, czy- li Kanał E40 ma łączyć Morze Bałtyc- kie z Morzem Czarnym przez Warsza- wę i Brześć. Można byłoby to zrobić, tylko skąd wziąć wodę do takiego kanału? Jedynymi rzekami, które są w stanie dostarczyć taką ilość wody, są Bug i Wisła. Ale jeśli przepom- nujemy wodę z Bugu, nie będzie jej w Bugu. Jestem zaskoczony, że PiS, którego wyborcami w dużej mierze są przecież rolnicy, uderza w nich

Rozpałem ognisko, rozbiłem namiot, pogapiłem się na rzekę. Następnego ranka wróciłem do centrum. Wyprawa trwała z dziewięć godzin. Koszt – 7 zł.

być niszczone. Wolimy jednak prote- stować i walczyć o nią już teraz, za- nim zostanie wbita pierwsza łopata.

Pomysł, by nagłośnić naszą akcję poprzez spływ Bugiem, chodził mi po głowie od dwóch lat. Chciałem nawi- azać do tradycji flisaków, którzy pływali tą rzeką przez kilkadziesiąt lat, spławiając drewno ze wschodnich puszczy. Gdy usłyszałem o rządowych planach re- gulacji rzek i budowie kanału żeglu- gowego wzdłuż Bugu, stwierdziłem, że trzeba ludziom opowiedzieć o tym, jaką jest wartością. Chciałem też po- kazać, co w ogóle dają nam dzikie rzeki w kontekście bezpieczeństwa powodziowego, upraw, hodowli zwie- rzząt, wciąż rosnących cen żywności. Z punktu widzenia mieszkańca miasta

wzrośnie o 172%. Mowa tu o Podla- siu, Mazowszu i Lubelszczyźnie. To pociągnie wyższe ceny żywności, bo przecież te uprawy trzeba intensywnie nawozić i podlewać. Niedawno zapłaciłem za kilogram pietruszki 15 zł. To więcej niż za winogrona, które dziś kupiłem w markecie za 10 zł.

Dlaczego wybraliście tratwę?

– Ze względu na historię flisaków, która też jest ważna. Flisy na Bugu ustały z końcem I wojny światowej. Po pierwsze, dlatego, że na rzeki wypły- nęły barki, które zastąpiły drewniane tratwy. Po drugie, puszcze, z których wycinano drewno, były już tak prze- trzebione, że w końcu nie było czego spławiać. To dziś bardzo ważna lekcja dla nas, że należy rozsądnie korzystać

Wiesiek. Tak po wiejsku. W zasadzie kiedyś co drugi koń był Wieskiem albo Baską - zanim nastała era maszyn rolniczych. Ale my nie o Baskę tu będziemy mówić, a o zyciu - bo wiadomo, życie toczy się raz na gorze, raz na dole.

Wiesiek życie miał dobre. Niewiele robił. Trochę pracował w polu, trochę pomógł przy zrywce. I tu się kończyła jego przydatność. Był trzymanym, bo gospodarz go lubił. A gospodarz był ubogim, ale z całym człowiekiem i o swego konia dbał, bo choć ze wsi pochodzi tradycja oddawania koni na rzeź, to także na wsi o konia dba się tak po gospodarstwu, jeśli tylko trafi się dobry gospodarz.

Mijamy drewnianą szopę, przy starych wrotach stoi pień z wbitą siekierą, wkoło drzazgi, zapach drewna, choć już od kilku tygodni nikt tej siekiery nie używa. Wbita po raz ostatni zastęga, jak całe gospodarstwo. Został koni Wiesiek i trochę kur, ale kury ma zabrać sąsiad.

Gospodarz i gospodyni żyli na posesji wiele lat, już nikt nie pamięta, kiedy się tu osiedlili. Wszyscy mówią o nich, że to byli zwyczajni, d obrzy ludzie. Koń był u nich zawsze. Wiesio był ostatni, bo sił już im brakło.

Idziemy krętymi schodami na piętro, każdy stopień skrzypi inaczej, zakurzone poręcze wydają się należeć



Wyślij SMS o treści WIESIEK pod numer 7412 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

do innych czasów. Na ścianach przekrecona, stara fotografia, jeszcze ze slubu gospodarzy. Nikt już nie poprawi, bo po co. Jeszcze tylko Wiesiek wyjedzie i wszystko zostanie zamknięte na cztery spusty, aż rodzina wróci z zagranicy. Na pogrzeb gospodarza nikt nie zdążył dojechać, teraz już tylko chcą sprzedać konia na odległość. Na mięso ma iść Wiesiek, nikt tu nie ma czasu szukać klienta. Zresztą, kto kupi takiego olbrzyma.

Złitiwał się nad koniem sąsiad. Zadzwonił do nas kilka dni temu. „Jak Pani zmarła, to sąsiad mój tylko do tego konia wstawał, do ostatniego dnia. Jak tak można, że na mięso jak to pamiątka taki koń, to nie można tak” tłumaczył ów sąsiad, prosząc o pomoc.

Spod tkanego, kremowego obrusa pełnomocnik rodziny wyjął zadrukowaną kartkę. Umowa wstępna. Podpisaliśmy. Schodząc w dół mieliśmy wrażenie, że pachnie wspomnieniem polskiej wsi, takiej z filmów Kolskiego.

Posłaliśmy jeszcze zajrzeć do Wiesia, obiecać, że wrócimy po niego nim nadjedzie tir pełen tych, którym się nie powiodło.

Musimy do 30 sierpnia zebrać 8500 zł na wykup Wiesia, oraz 1600 zł na jego transport do nas. Tyle kosztuje bilet na nowe życie dla konia olbrzyma.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem WIESIO na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350

Fundacja Centaurus ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel: 518 569 487, tel: 518 569 488, www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona ramach Kampanii Kochaj Mądrze. Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

CENTAURUS

tym projektem. To oznacza bowiem utratę tysięcy miejsc pracy w rolnictwie. Spływy barkami i obsługa służ nie zapewnią ich tyłu.

Fundacja DZIKO to jednak tylko dwie osoby: ja i moja żona. Potrzebujemy więc wsparcia ze strony innych organizacji. Jedną z nich jest Koalicja Ratujmy Rzeki, która skupia różne organizacje ekologiczne. Jako jej część skupiamy się głównie na nagłaśnianiu tematu, wykorzystując nasze kontakty w mediach.

Jak mieszkańcy okolic Bugu reagują na rządowe plany?

– Rozmawiałem z kilkudziesięcioma osobami – rolnikami, lokalnymi politykami, rzemieślnikami, wędkarzami. Tylko jeden z nich wiedział o planowanej regulacji. Poza tym każdy, kto się od nas o tych planach dowiadywał i słyszał, co to będzie znaczyło dla regionu, był zszokowany, że w ogóle są takie plany. I każdy też był im przeciwny, bo ich realizacja uderzy bezpośrednio w nich wszystkich, łącznie z lokalnymi politykami. To przecież ich obarczy się winą za to, co się stanie z rzeką.

Do tego grona zapewne włączyć można też ludzi żyjących nad Bugiem z turystyki.

– Tak, zwłaszcza że ta ma coraz większe znaczenie na wschodzie Polski.

W tym momencie wszystkie trzy warianty budowy kanału żeglownego wzdłuż Bugu oprottestowały Koalicja Ratujmy Rzeki, WWF i naukowcy z SGGW.

Działacie też na rzecz utworzenia tzw. rezerwatu obywatelskiego. Cóż to takiego?

– W Polsce od 1997 r. nie powstał ani jeden park narodowy. Mamy ich 23 – i żadnych zapowiedzi, by powstał nowy – choć są już społeczne starania o to, by powiększyć Białowiecki Park Narodowy oraz stworzyć Turnicki Park Narodowy na terenie puszczy Karpackiej, w okolicach Przemyśla. My, choć sympatyzujemy z każdą z tych inicjatyw, spodziewamy się, że nic się w tej kwestii nie wydarzy w ciągu najbliższych kilkunastu, a może nawet kilkudziesięciu lat. Tymczasem analizy przeprowadzone przez amerykańskiego biologa Edwarda O. Wilsona pokazują, że abyśmy my, ludzie, mieli szansę na przeżycie w kontekście problemu ocieplenia klimatu, musimy pozostawić 30% Ziemi w postaci obszarów chronionych. W Polsce zaś

chronimy jedynie 1,5% powierzchni kraju. 1% to parki narodowe, niecałe pół procenta to rezerваты. Na świecie chronione jest na różne sposoby ok. 15% łądów i 10% obszarów wodnych, czyli też o wiele za mało. Uznaliśmy więc, że nie ma co czekać na łaskę tych czy innych rządzących – bo zarówno PiS jak i PO niewiele robią w kwestii ochrony przyrody – lecz powinniśmy przekazać sprawę w ręce zwykłych obywateli. Wymyśliliśmy więc coś, co nazwaliśmy rezerwatem obywatelskim, czyli obszarem prywatnym lub przekazanym fundacji przez prywatne osoby. Nawet jeśli zdecydowałyby się one zachować prawo własności, zobowiązywałyby się umową, by pozostawić obszar na 20 czy 30 lat pod ochroną. Nie prowadziłby więc żadnych inwestycji gospodarczych, wycinki drzew, polowań na zwierzęta.

Na to jednak potrzebne są chyba ogromne pieniądze.

– Różnie to bywa. Mamy w Polsce nieużytki rolne. To tereny zalewowe nad rzekami, bagna, torfowiska. Z perspektywy rolniczej są bezużyteczne. Z naszej, przyrodniczej, bardzo cenne. Niektórzy ich właściciele stwierdzili, że nam te tereny przekazać, chcąc chronić przyrodę. Dostaliśmy już półtora hektara obszaru pod Drohiczyńem, nad Bugiem. Rozmawiamy też z panem, który ma 190 ha na Mazurach koło Mikołajek. I też chce je przynajmniej częściowo przekazać na rezerwat. Część ziemi będziemy starali się wykupować.

Co my, zwykli Kowalscy, możemy zrobić?

– Po pierwsze, prowadzimy zbiorę pod adresem zrzutka.pl/rzeka. Po drugie, chcemy, by ludzie po prostu pojechali do lasu. Ale nie takiego nasadzonego przez ludzi, będącego monokulturą sosnową czy plantacją desek, jak Kampinos czy Las Kabacki. Niech jadą w Karpaty czy do Białowieży i zobaczą, jak wygląda prawdziwy las. Można też pojechać nad Bug, spłynąć kajakiem, zrobić piknik z rodziną, pobrodzić w wodzie, dostrzec, że Bug to nie zabójca, który masowo topi ludzi, tylko w większości leniwa, spokojna rzeczka. Po trzecie, rozmawiajcie z lokalnymi politykami i sami protestujcie. Potrzebujemy aktywistów, bo jest ich w Polsce za mało. Garstka ekologów i pasjonatów nas nie uratuje.

Anna Brzeska

KSIAŻKI

Krzysztof Potaczała
Zostały tylko kamienie
Akcja „Wista”: wygnanie i powroty
Prószyński i S-ka, Warszawa 2019

Akcja „Wista” to wciąż niezamknięty rozdział polskiej historii. Dlaczego zastoso- wano zbiorową odpowiedzialność wobec 140 tys. obywateli polskich narodowości ukraińskiej, nazwano ich bandytami i wygnano z rodzinnych stron? I dlaczego po latach część z nich wróciła w góry? Reportaż ukazuje różne odcienie konfliktu ukraińsko-polskiego na rubieżach kraju. Polacy i Ukraińcy – niegdyś sąsiedzi na tej samej ziemi – dawni milicjanci, funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa, żołnierze WP i bojownicy UPA, opowiadają, jak wyglądało ich życie. Relacje stanowią niezwykle świadectwo czasów bratobójczej wojny; pokazują, że żadna ze zwaśnionych stron nie miała czystych rąk.



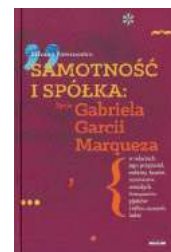
P.W. Singer i Emerson T. Brooking
Nowy rodzaj wojny
Media społecznościowe jako broń
Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2019

Bardzo aktualna książka o tym, jak wykorzystując media społecznościowe jako swego rodzaju broń, internet wpływa na wojnę i politykę, a one na internet. Terrorysty planują ataki, „wojny twitterowe” są źródłem ofiar w świecie rzeczywistym, a rozprzestrzeniające się błyskawicznie dezinformacje zmieniają nie tylko wyniki starć, ale nawet losy całych narodów. A ekrany naszych smartfonów i komputerów stały się nowym rodzajem pola bitwy.



Silvana Paternostro
Samotność i spółka
Życie Gabrieli Garcii Marqueza
Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2019

Biografia autora „Stu lat samotności”, która opiera się wyłącznie na wypowiedziach bliższych i dalszych członków rodziny, znajomych i przyjaciół, którzy go znali jeszcze z dzieciństwa. Świadectwo bliskich jest szczere, naturalne w wymowie i pozbawione patosu, do tego zaprawione szczyptą humoru i zawiera niezliczone anegdoty z życia pisarza.



✉ LOGIKA ALIANTÓW

W artykule „Roosevelt oszukiwał Sikorskiego i Mikołajczyka” (PRZEGLĄD nr 31) oceniono, że Amerykanie nie byli z nami szczerzy. I tak, i nie.



Formalne omawianie kwestii powstania warszawskiego przez najbardziej miarodajnych wojskowych odbyło się na spotkaniu w Waszyngtonie 12 czerwca 1944 r., czyli sześć dni po D-Day. Wzięli w nim udział członkowie Zjednoczonych Szefów Sztabów Sił Sprzymierzonych (CCS – Combined Chiefs of Staff) i polscy delegaci, gen. Stanisław Tatar i płk Leon Mitkiewicz. Gen. Tatar prosił o pomoc w uzbrojeniu przyszłych powstańców z AK, aby mogli związać siły niemieckie na wschodzie. Najwyższe dowództwo aliantów odmówiło tej pomocy, ponieważ Warszawa była za daleko, a owo „związanie” Niemców trzeba było realizować, jego zdaniem, wspierając podziemie we Francji, w Belgii i Holandii, gdzie już znajdowali się lub mieli znajdować się alianci. Ponadto szefowie uważali (choć głośno o tym nie mówili), że sojusznicza Armia Czerwona sama da sobie radę z Niemcami w Polsce. Czego polscy sztabowcy powinni się domyślać.

Nie można było zarzucić aliantom braku logiki w ocenie sytuacji. Roosevelt był prezydentem Stanów Zjednoczonych, a nie Polski, i odpowiadał za wygranie wojny z Niemcami na wszystkich frontach. W tym w Europie i Azji. Nie mógł tego zrealizować bez udziału Sowietów. Bał się, że gdy weźmie stronę Polski, Stalin może zawrzeć pokój z Niemcami. Faktem jest, że sprzedał Polskę, za to wygrał wojnę. Po niej nastąpiła zimna wojna, rozpoczęta wojskowo przez Związek Radziecki (brak zgody na lądowanie alianckich samolotów za Wisłą), ale politycznie zdecydowanie przez prezydenta Trumana z powodu niedotrzymania traktatów z Teheranu i Jałty w sprawie wolnych wyborów w Polsce.

*prof. Andrzej Targowski, Los Angeles,
honorowy prezes Stowarzyszenia
Dzieci Powstania Warszawskiego 1944*

✉ NIEKOMPETENTNI DOWÓDCY AK

PENETRACJE

WARSZAWA
GŁÓWNE Kwatera
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
To się nie spodało pewnie niektórym powstańcom, ale atak na Dworzec Gdański nie miał sensu. Nie było możliwości, żeby tymi siłami się przebić. Niemcy mieli przygotowane bunkry, stanowiska artylerii, mogli nas zniszczyć z powietrza i z ziemi. Pierwszego dnia próbowaliśmy, drugiego... Nie wolno nas było tam posyłać. Słyszeliśmy miśsiński trzask kulek. Nie mieliśmy szans. Pamiętajmy, jak pierwszego dnia powstania zginęło tylko chłopaków, bo szli z tymi pistoletkami, granatami. Z bronią, na warata.

W rubryce „Penetracje” (PRZEGLĄD nr 33) cytowany z „Tygodnika Powszechnego” Wacław Gluth-Nowowiejski stwierdza: „Atak na Dworzec Gdański nie miał sensu. Niemcy mieli przygotowane bunkry”.

Jest to jeszcze jeden dowód niekompetencji dowódców Armii Krajowej różnych szczebli. Z punktu widzenia założonego celu Komendy Głównej – przywitania Armii Czerwonej – wystarczyło, aby powstanie ograniczone zostało do Śródmieścia oraz zablokowało przeprawy przez Wisłę, czyli Aleje Jerozolimskie i tunel, np. przez wysadzenie wiaduktu kolejowego na Powiślu. Podobnie kolejową trasę obwodową można było zablokować, wysadzając budynki np. hal Lilpopa koło Dworca Zachodniego, a jeszcze lepiej wiadukty nad ulicami Wolską i Górczewską. Byłby to istotny wkład w skomplikowanie sytuacji, szczególnie dowozu amunicji i nowych oddziałów dla dywizji pancernych SS i Wehrmachtu w walkach na przedmościu War-

szawy (Brückenkopf Warschau). Trwonienie skromnych sił i środków na zdobywanie Mokotowa, Okęcia i Ochoty było z wojskowego punktu widzenia bez sensu.

Niekompetencji w planowaniu walk na niższych szczeblach dowodzenia, oprócz podanego przez Glutha-Nowowiejskiego ataku na Dworzec Gdański (tuż obok Cytadeli, mostu Gdańskiego i Umschlagplatzu), było dużo więcej. Mój stryj, plut. Stefan Szpalerski „Malina”, poległ w pierwszych minutach powstania, ponieważ jego drużyna dostała rozkaz zaatakowania „czerwonych koszar” na rogu Puławskiej i Rakowieckiej z pozycji znajdującej się tam, gdzie później stał Supersam, czyli z trzypiętrowym budynkiem straży pożarnej za plecami. Niemcy strzelali jak do kaczek. Podobnie było z atakiem na drukarnię „Kuriera” na Marszałkowskiej 3/5 od strony zamieszkałych przez Niemców ulic Polnej i Oleandrów.

Oparcie planu ataku na założeniu, że Niemcy są głupi i nie wiedzą, co się święci, spowodowało, że już w bramie atakujących przywitał ogień karabinu maszynowego, a rozproszeni w ogródkach działkowych po drugiej stronie Polnej zostali wystrzelani z górnych pięter budynku.

Problemy takich akcji opisał Stefan Rowecki „Grot” w wydanej w 1928 r. książce „Walki uliczne”. Była studiowana w Reichswehrze i Akademii Frunzego, ale – jak widać – wśród polskich wojskowych nie stała się zbyt popularna. Dowódca ma obowiązek przewidzieć wariant najgorszy i przedsięwziąć środki zaradcze lub ograniczające negatywne skutki. Przede wszystkim przecież odpowiada za swoich ludzi. A powyższe przykłady (niejedyne) dowodzą braku odpowiedzialności i wiedzy.

Stefan Szpalerski

✉ BERLING WYMAZYWANY Z HISTORII

Zasługi gen. Berlinga (PRZEGLĄD nr 19) są godne miejsca w historii, tak samo jak poświęcenie jego żołnierzy, którzy ginęli pod Lenino, na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu czy podczas forsowania Odry. Dzięki ich poświęceniu i krwi te miejsca dziś należą do Twojego kraju. Odwiedź cmentarz wojenny w Siekierkach, popatrz na te krzyże, na wiek tych młodych ludzi, liczbę poległych – 2 tys. ciał Polaków, wielu chłopców w wieku 19-25 lat... A potem pluń na to, bo to komuniści. Wtedy była sprawa polska, a nie jakaś komuna. Ci ludzie walczyli dla nas, a dziś się o nich nie pamięta. Berling zrobił kawał dobrej roboty dla kraju oraz dla polskich łagierników (...).

Adrian z Legnicy

✉ JAK ZATRUDNIĆ DOBREGO POSŁA

A może by tak przekonać choć część rozumnego elektoratu, żeby nie głosować na „jedynki”, ale na kandydatów na kolejnych miejscach listy? Miejsca czwarte, piąte i dalsze zajmują zwykle kandydaci zgłoszeni przez lokalne struktury partyjne. Totalnie odrzucić wszelkich „spadochroniarzy”, kandydatów 75+, odrzucić wymogi parytetu, wyjadaczy i „lisów farbowanych” i dojdzie do przewietrzenia gmachu przy Wiejskiej. Lewica w programie winna postawić postulat bezwzględnej dwukadencyjności posłów i senatorów.

je



Dobrać spośród wilków

Edward Mikołajczyk

Kiedy się zmierzcha i cały świat robi się szary, tylko diabeł może być czarniejszy od tła. Dlatego myśliwi zaczajony na zwierzynę, kiedy o tej porze zobaczy na celowniku czarną plamę mniej więcej swojego wzrostu, odkłada broń i pośpiesznie zaczyna się żegnać, bez sprawdzania, czy piekielnik ma rogi. Inaczej rzecz się przedstawia, kiedy plama jest nikczemnego wzrostu i pomyka pociamkać do owsa. Wtedy można wypalić z obu rur.

Rowerzyści w Polsce na ogół już wiedzą, że wieczorami należy siedzieć w domu, a jeżeli komuś zeszło na gościnnych występach, lepiej zostać na noc w cudzym łóżku, aby nie trafić na muszkę. Odróżnienie człowieka na rowerze od pieszego dzika nie jest wcale łatwe. Sylwetki obu istot w ruchu są łakomym kąskiem dla myśliwego. Adrenalina gwałtownie pomnaża ich trofealne podobieństwa, a różnice pochłania zmrok.

Marnym pocieszeniem dla cywilnych ofiar myśliwskiego pecha może być informacja, że per saldo podczas polowań mniej ginie rowerzystów niż samych myśliwych. Żeby nacisnąć spust, druhowi z dubeltówką wystarczy, że obiecująco poruszy się gałązka w młodniku.

Takie są koszty własne atawistycznej zabawy człowieka w zabijanie dzikich zwierząt. Upływający czas niewiele zmienia w tym rachunku, choć diametralnie zmienić się

Myśliwi mają własną buchalterię, sami dla siebie liczą, ile jeszcze dzikich zwierząt utrzymuje się przy życiu. Chętniej przy tym mnożą, niż dodają, bo dziwnym trafem nieustannie im przybywa, jak Lejzorkowi Rojtszwańcowi w sprawozdaniach z hodowli królików. Jest tak dobrze, to znaczy tyle nam ciągle zagraża zwierzyna, że właściwie Polski Związek Łowiecki powinien prowadzić ogień ciągły w lasach.

W roku 2015 odkryto w Polsce szakala złocistego. Jednego żywego zauważono nad Biebrzą. Drugi, prawdopodobnie rozjechany przez auto, został znaleziony za Ognicą w województwie zachodniopomorskim. Nie ma chyba dla myśliwego radośniejszej chwili niż ta, kiedy może wpisać nowego drapieżnika na listę do odstrzału. W roku 2017 stało się. Minister środowiska (do zapamiętania: Jan Szyszko, profesor) w swojej dobroci podarował szakalowi aż dwa lata na powiększenie stada. Karencja właśnie się skończyła w sierpniu i można zacząć strzelać. Sezonowy plan przewiduje uśmiercenie 1270 sztuk.

Wykonanie planu powinno się udać, choćby dlatego, że szakal nie jest nasz, wtargnął do naszego lasu jako obcy,

a naszych ludzi nie trzeba namawiać do obrony rdzennie polskiej zwierzyny. Drapieżnik ma biologiczny status emigranta naturalnego (węduje sam, nie został przywleczony przez człowieka, jak szop prac, z innego kontynentu), ale emigrant to emigrant. Także dyrektywa siedliskowa Unii Europejskiej ujmuje się za szakalem złocistym, ale jak na-

ucza premier Morawiecki podczas samolotowych pielgrzymek po kraju, nie dla nas te unijne fanaberie. Będziemy bronić nie-

podległości naszego zwierzyńca do ostatniego śrutu.

Łowiec polski nie będzie stał bezczynnie z bronią u nogi. Nie powstrzyma go przed wykonaniem planu żadna przeszkoda biurokratyczna, choćby ta, że w Polsce nie ma 1270 szakali – jak się zdaje, setki nawet nie ma.

Brakujące sztuki dobierze się spośród wilków. Już może nigdy się nie nadarzy lepsza okazja, aby wreszcie dopaść tego największego wroga i rywala myśliwych. Szakal i wilk bliźnięta, bracia. Nawet wytrawny tropiciel zwierzyny, który za dnia bez trudu odróżni rowerzystę od dzika, może przecieć się pomylić.



**Jak naucza premier Morawiecki, nie dla nas unijne fanaberie.
Będziemy bronić niepodległości naszego zwierzyńca do ostatniego śrutu.**

wszelkie proporcje. Ubywa ostoji, przybywa osiedli, polujących jest więcej niż zwierząt, z wyprodukowanej broni myśliwskiej można by uśmiercić wielokrotnie wszystkich mieszkańców lasu.

Myśliwi zastaniają swój krwawy instynkt ceremoniałem. Uśmiercanie zwierząt nazywają ochroną gatunku i troską o równowagę w przyrodzie. Wspięli się na wierzchołek obłudy niższy tylko od wyczynu pęta Kaczyńskiego, który zwolnił marszałka Sejmu za to, że „nie złamał prawa”, a zaraz potem za to samo umieścić go najwyżej na liście kandydatów do nowej izby.



Melilla – miasto klatka

Granica jest szczelnie zamknięta.
Ale nie dla marokańskich tragerek

Katarzyna Mołoniewicz
Korespondencja z Melilli

Musa ma 29 przeżytych w Melilli lat i nowego landcruisera. Ludzie tutaj lubią przemierzać 13 km kw. swojej bezcłowej enklawy wielkimi wozami. To powierzchnia zbyt mała, żeby Musa mógł wykorzystać wszystkie gadżety auta, ale jest urządzenie, bez którego nie mógłby się obejść. Klakson. Naciska go za każdym razem, gdy widzi kogoś znajomego. Czyli co chwila. Wychyła się przez okno, by wymienić pozdrowienia. W mowie chropawej, z dużą liczbą spółgłosek zwartych

i gardłowych. To *tamazight*, jeden z języków berberyjskich, którym mówi 3,6 mln osób w północnej Afryce. W Melilli jest językiem co najmniej połowy mieszkańców.

W *tamazight* rozmawia się przy obiedzie z rodziną, z przyjaciółmi w barze, ze sprzedawcą na targu. Ale nie w szkole. I nie w pracy. To język nieobecny w kioskach z prasą i niezliczonych melilskich księgarniach.

Musa wspomina szkolną traumę: – Niektóre dzieci nie znały hiszpańskiego, gdy poszły do szkoły. Bo matka, babcia, ojciec rozmawiali z nimi w *tamazight*. Mamy opowiadały nam bajki i śpiewały kotysanki w tym języku. A w szkole nauczycielki nie pozwalały nam w nim mówić.

María, filolożka z uniwersytetu w Melilli: – To nie jest język, tylko dialekt. Nie ma literatury, nie ma normy. Nie ma pojęć, które pozwalałyby na nauczanie w nim matematyki albo biologii. Im szybciej dziecko nauczy się hiszpańskiego, tym lepiej sobie poradzi w szkole i w życiu. To raczej wyrównanie szans niż dyskryminacja.

María i Musa są obywatelami kraju, w którym status urzędowych mają cztery języki: kastylijski, baskijski, kataloński i galisyjski. Kraju, który pielęgnuje też lokalne dialekty, daje im szansę na uniwersytetach i w rozgłośniach radiowych. Kraju, w którym wiadomo, choćby na przykładzie baskijskiego, że normę można stworzyć, a język reanimować, tak że będzie można w nim uczyć geografii, kręcić seriale i przemawiać w Kortezach. Dlaczego *tamazight* nie mógł wstąpić na tę samą drogę? Hassan Yahia, naukowiec i aktywista, określa sytuację jednym słowem: etnობიწხო.

Musa ma poczucie krzywdy. Pielęgnuje je w sobie i karmi, a przejawy dyskryminacji, które gorliwie tropi, napętniają go jakby satysfakcją. Największy policzek to zakaz przywozu baranów z Maroka na święto Id al-Adha i zarzynania ich w domowych warunkach. – Chodzi nie o pryszczycę, tylko o upokorzenie tutejszych muzułmanów. No i o kasę. Pomnoż 10 tys. rodzin przez 200 euro za barana. To 2 mln euro, które wypływają z Melilli ot tak – pstryka palcami.

Wjeżdżamy na plac Hiszpański, gdzie w secesyjnym pałacu mieści się siedziba władz Autonomicznego Miasta Melilli. – Jak przyjedziesz za cztery lata, to cię tu przyjmę jako prezydent.

Narzeczoną Musy, Ana, pochodzi z Malagi i studiuje potożnictwo na tutejszym uniwersytecie. Chce zostać na stałe – Melilla ma najwyższy przyrost naturalny w całym kraju. Na razie proporcje między nominalnymi chrześcijanami a muzułmanami wynoszą jeden do jednego. Z każdym porodem szala przechyla się jednak na stronę tych drugich, a szansa Musy na wypróbowanie prezydenckiego fotela rośnie.

Granica jak wachlarz

Izabela Kastylijska przyrzekła sobie, że nie zmieni koszuli, dopóki nie wyrzuci muzułmanów z Półwyspu Iberyjskiego. W 1492 r. mogła włożyć

czystą koszulę. A w roku 1497 gratulowała księciu Medina-Sidonia zdobycia przyczółku w Afryce ku chwale bożej. Melilla jest hiszpańska od 522 lat. Miasto forteca, bastion, przedmurze. Jej lądową granicę wyznaczył zasięg kuli wyrzuczonej z armaty. Miasto zyskało formę andaluzyjskiego wachlarza, jakby dodatkowo chciało potwierdzić swoją przynależność.

Landcruiser Musy jedzie wzdłuż krańca wachlarza. Wzdłuż najbardziej ufortyfikowanej granicy Unii Europejskiej. Zaznaczonej dwoma rzędami metalowego ogrodzenia o wysokości 6 m i siatce tak gęstej, że nie da się wsadzić palca. Wieńczą ją kłęby najezzonego żyłkami drutu, które socjalistyczny rząd Hiszpanii przyrzekł zdemontować i zastąpić rozwiązaniem bardziej humanitarnym. Wielki Płot zaczyna się i kończy nad brzegiem morza, zamykając Melillę w klatce. To w nawiązaniu do tej klatki papież Franciszek powiedział w wywiadzie dla hiszpańskiej telewizji: „Ci, którzy odgradzają się murem, sami stają się więźniami”.

Czarnoskórzy zwycięzcy

W dniu, w którym przyleciałam do Melilli, szturm na Wielki Płot przypuściło stu Subsaharyjczyków. Ich jedyną siłą była liczba. Z tym akurat nie ma kłopotu. W coraz bardziej wysychającej i wycieńczonej wojnami Afryce Subsaharyjskiej żyje 713 mln osób. O godz. 5.30 marokańscy strażnicy zjedli ostatni posiłek przed całonocnym w ramadanie postem i udali się na modlitwę. Zanim hiszpańscy gwardziści dostali sygnał o ataku na ogrodzenie, czarnoskórzy mężczyźni już się wspinali. Po kilku minutach 52 z nich pędziło ulicą przygranicznej dzielnicy El Real, krzycząc: *Bossa!* (Zwycięstwo!) do nielicznych o tej porze przechodniów. Najważniejsze to szybko dobiec do CETI, Ośrodka Tymczasowego Pobytu Emigrantów, i uruchomić PROCEDURĘ. Każda procedura trwa. Żeby jej dopełnić, zwykle trzeba petenta przewieźć na półwysep, a to otwiera dziesiątki możliwości.

Dzisiejszych szczęściarzy niezbadane wyroki prawa dopiero co pozwalały traktować jak zwierzynę łowną, którą można okładać pałkami i łąpać

w wymyślne wnyki zasieków granicznych, ale kilkaset metrów od granicy nakazują ich nakarmić, napoić, postać do lekarza i przyodziać w dresy i adidas. Bo do CETI dobiegli bosci.

Odpowiedź na zagadkę ich bosych stóp znajduje w kasynie wojskowym, gdzie funkcjonariusz Gwardii Cywilnej pokazuje mi zdarty but i hak w kształcie litery S. – Niech pani spojrzy: w podeszwę wbite są gwoździe. Te gwoździe wchodzą w otwory siatki i pozwalają wspiąć się na ogrodzenie. To jest specjalna siatka antywspinaczkowa, nie mieści się w niej nawet palec. Zamiast wsadzić palec, wsadza się hak, taki jak ten.

Zdarty but z trzema gwoździami został znaleziony niedaleko Wielkiego Płotu. W takich butach nie da się biec.

Następnego dnia po przylocie widzę grupę czarnoskórzych zwycięzców maszerującą do urzędu spraw



wewnętrznych. Wysocy, atletyczni, w czerwonych bluzach i granatowych spodniach, wyglądają jak drużyna piłkarska z Premier League. Zuniformizowani, choć nie całkiem, bo jeden ma na głowie indiański pióropuszc w kolorach hiszpańskiej flagi. Po upokorzeniach tułaczki, po miesiącach niedożywienia i ukrywania się założył oznakę triumfu.

Tragarka Umaima

Tragarka, forma żeńska od tragarza. Średni wiek tragarki – 45 lat. Średnia liczba dzieci – czworo. Średni poziom wykształcenia – analfabetka. Prawie wszystkie same muszą zarobić

na utrzymanie swoje i dzieci. Czasami dlatego, że są wdowami albo rozwódkami, a czasami dlatego, że tak się ułożyło.

Granica szczelnie zamknięta dla jednych, dla drugich mocą niezbadanego prawa okazuje się przepuszczalna. Do tych drugich należą marokańskie tragarki.

– Wstaję o godz. 3 rano. Mieszkam niedaleko Nadoru, do przejścia granicznego mam blisko, ze 3 km – opowiada Umaima. W ciemności ustawia się w kolejce, w gęstej, zbitej kolejce cisnących się ciał i parujących oddechów. Kiedyś kobiety i mężczyźni stali razem. Męskie ręce wędrowały bezkarnie po piersiach i pośladkach sąsiadek. Napierały męskie torsy i krocza. Na szczęście nie ma już koedukacyjnych kolejek. Na prośby tragarek policja rozdzieliła płcie, jak w meczecie.

– Granicę otwierają koło 6.30. Nie potrzebuję wizy. Najpierw paszport sprawdzają nasi policjanci. Czasem mnie nie wpuszczają. Nie wiem dlaczego. Wracam wtedy na koniec kolejki i próbuję jeszcze raz.

Umaima nie wie, że zawdzięcza swoją pracę umowie z Schengen. Przewiduje ona, że Marokańczycy ze strefy przygranicznej mogą przekroczyć granicę w Melilli i w Ceucie, która jest też granicą Unii Europejskiej, na podstawie samego paszportu. Przepis nie zabrania im robić tego

kilka razy w ciągu doby. Nie mogą jednak nocować po stronie hiszpańskiej ani przepawić się na Półwysep Iberyjski.

Barrio Chino, Chińska Dzielnica. Tak się nazywa przejście graniczne tragarek. To jedna z czterech bram w Wielkim Płocie. Jestem tam o godz. 9 rano. Widzę kobiety biegnące na plac zapelniony ciężarówkami. Chcą jak najszybciej odebrać towar i ustawić się w kolejce do przejścia. Na zakurczonym placu nie ma toalet, nie ma cienia, nie ma wody. Do szosy biegnącej wzdłuż granicy przylega porośnięte oliwkami, zaśmiecone pole. Mężczyźni zwróceniem twarzy do pni sikają. Kobiety nie widać.

► Z ciężarówek spadają kwadratowe paki. Zielone, żółte, niebieskie. Standardowa waga – 50 kg. Ich zawartość przypluwa statkami z całego świata do wolnocłowego portu w Melilli. Handlowcy i właściciele sklepów kupują hurtowo ubrania, buty i sprzęt elektroniczny. Oraz papierosy i alkohol, bardzo pożądane w królestwie Muhammada VI. Co jeszcze zawierają paki? Trudno stwierdzić, nikt ich na granicy nie otwiera.

Kilkutysięczny tłum wciska się w wąskie korytarze wyznaczone przez metalowe ogrodzenie. Każda oczekująca popycha pakę. Niektóre przetaczają swoją pakę po ziemi, inne umieszczają ją na domowego wyrobu deskorolce. Teraz trzeba uważać nie tylko na siebie, ale i na towar.

Po hiszpańskich stronie pilnują porządku funkcjonariusze Gwardii Cywilnej, zmilitaryzowanej policji. Liczę: na widocznej przestrzeni jest ich 10, z czego jeden zajęty spisaniem danych z mojego dowodu. Przez punkt graniczny w Chińskiej Dzielnicy przewała się nawet 8 tys. osób dziennie. Umaima: – Ile razy mogę obrócić?

Czasem mam szczęście, *guardias* są mili i zdążę zrobić trzy kursy.

Przed kontrolą graniczną paki ładują na plecach. Tragarki są zgięte wpół. Nie mogą się wyprostować – upadłyby do tyłu. Raz po raz wybucha gwałtowna kłótnia w *tamazight*. Ktoś próbuje wysforować się do przodu, zdobyć lepszą pozycję w kolejce i szansę na dodatkowy kurs. Wtedy oczekujący odwołują się do wzmocnionego pałką autorytetu policjantów. Tumult grozi śmiercią, można zostać zdeptanym lub się udusić, jak 40-lletnia Batul al-Hichu, jak Safi Azizi, jak Touria Baqali, jak Karima Rmili... – Najgorzej, jak mi zamkną granicę przed nosem. Wtedy muszę spędzić noc po hiszpańskiej stronie.

Schengen nocowania nie przewiduje. Kobiety, narażone na policyjną kontrolę, szukają schronienia w mieszkaniach w muzułmańskiej dzielnicy. Wynajem łóżka w wieloosobowej norze to osobne źródło dochodów i kolejna biznesowa specjalizacja w gospodarce Melilli.

Hiszpańscy funkcjonariusze nie interesują się pakunkami. Maroko

uznaje nawet stukilogramowe toboły za bagaż podręczny. Poza tym władze kraju oficjalnie głoszą, że Melilla i Ceuta są terytorium marokańskim. Teoretycznie zatem nie uznają granicy, której gorliwie strzegą za unijne pieniądze przed migrantami z Afryki Subsaharyjskiej. Marokańscy żandarmi dostają zwyczajowe pół euro od każdego sprawdzonego paszportu. To dodatkowo chroni towar przed kontrolą, przed przypadkowym rozdarciem kolorowej tkaniny przez policyjny nóż.

– Zarabiam zwykle 20 euro dziennie. Dostaję pieniądze do ręki, jak tylko odbiorą ode mnie towar po marokańskiej stronie. Po pracy zbieramy się w kilka i wracamy taksówką do domu. Mogę od razu popłacić rachunki i zrobić zakupy.

Umaima nie wie, że na swoich silnych, do czasu, plecach dźwiga nie tylko ciężar utrzymania trojga dzieci, ale też gospodarkę unijnego miasta. Dlatego w urzędowym języku o jej pracy mówi się nie przemysł, tylko handel nietypowy. Nietypowy handel jest na rękę melilskim handlow-



W bieżącym numerze także:

- Pierre Musso
Epoka państwa-przedsiębiorstwa
- Lukas Hermsmeier
Berlin: walka o wywłaszczenia
- Philippe Leymarie
Papierowa armia na straży Europy
- Rémy Carayol
Migranci w pułapce Agadez
- Christophe Trontin
Długa historia dacz

Do nabycia w salonach prasowych empiuku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

com, chińskim pośrednikiem, przemytnikiem z różnych nacji, hiszpańskim politykiem i marokańskim żandarmom. Od czasu do czasu tylko jakaś telewizja albo organizacja pozarządowa nazwie wysiłek Umaimy niewolnictwem XXI w.

Mairen z Kropli Mleka

Zabytkowe budynki La Gota de Leche są w kolorze fososio-wym, kolumnienki i stiuki białe. Gospodyniami były tu przez prawie sto lat zakonnice, Córki Miłosierdzia. Zajmowały się dziećmi z rodzin złamanych hiszpańską wojną domową: karmiły, wychowywały, uczyły gramatyki i katechizmu. Zamężni mieszkańcy Melilli kupowali tu fanty na dobroczynnych loteriach, a dzieci śpiewały hymny na cześć Najświętszej Panienki w wielkiej, ozdobionej malowidłami kaplicy. Siostrzyczki opuściły Kroplę Mleka niedawno, w 2012 r. Dzisiejsi lokatorzy nie modlą się już w kaplicy.

Andrés, wychowawca: – Mamy dzieci z Maroka, Syrii, Afganistanu, Kamerunu, Mali, Senegalu, Ghany, Gwinei... Od niemowląt po 18-latkę. Skąd się wzięły w Melilli? To zależy od kraju pochodzenia. Dzieci subsaharyjskie zwykle przyplłynęły nielegalnie na pontonie. Nieletni Marokańczycy to inna historia. Często udaje im się jakoś prześlizgnąć przez punkt graniczny – wbiec albo ukryć się w samochodzie. Niektórzy wchodzi legalnie z rodzicami jako mieszkańcy strefy przygranicznej. Potem rodzice wracają sami, a dziecko zgłasza się do nas bez dokumentów. My wiemy, że są rodziny, które przysyłają tu dzieci jak do darmowej szkoły z internatem, ale nigdy nie zostawiliśmy żadnego nieletniego na ulicy. Kiedyś trafiła do nas dziewczynka z aparatem korekcyjnym na zębach. Nie mogła pochodzić z biednej rodziny.

W ocienionym ogródku na dziedzińcu siedzi w foteliku czarnoskóra dziewczynka i wpycha do buzi kawałki banana. W każdym, kto akurat przechodzi obok, wywołuje nieodparty odruch pogłaskania po głowie lub zagadania w języku, którym dorośli lubią zwracać się do małych dzieci. Trafiła do Kropli Mleka z Ośrodka Tymczasowego Pobytu Emigrantów. Co o niej wiemy na



W urzędowym języku o pracy tragarek mówi się nie przemysł, tylko handel nietypowy.

pewno? Że ma niecały rok, tak wykazało badanie lekarskie. Że kobieta, która podawała się za jej matkę, nie jest jej matką, tak wykazał test DNA.

Jej niem matka twierdziła, że mała ma na imię Mairen. Mówiła też, że pochodzi z Gwinei. Tak została zapisana w komputerowym formularzu, w którym większość rubryk pozostała pusta. Jej historii nie da się odtworzyć, można tylko układać najbardziej prawdopodobne scenariusze.

Że matka zmarła podczas długiej podróży. Utonęła w Morzu Śródziemnym? Według ONZ w 2018 r. ofiar było 2275, średnio sześć dziennie. Nie wytrzymała wędrówki przez pustynię? Może była osłabiona chorobami, którymi zaraziła ją „opiekunowie”?

Że cięża przytrafiła się podczas podróży, to prawie pewne.

Że osieroconym niemowlęciem zaopiekowała się towarzysząca wędrówki. Krewna, kobieta z tej samej wioski, z tego samego plemienia?

Że niemowlę zostało odebrane matce i sprzedane innej rodzinie. Dziecko daje w Europie przywileje, to chodliwy towar.

Scenariusz na przyszłość natomiast nie składa się z samych znaków zapytania. Dziewczynka zostanie adoptowaną córką hiszpańskich rodziców. Procedura jest już w toku, kolejka kandydatów na matki i ojców długa. Mairen González, Mairen de la Torre, Mairen Puig? Stanie się członkiem nowego klanu, który będzie się o nią

troszczyć. Będzie miała babcię, dziadków, ciocię, kuzynów, przyjaciół rodziny. Może się zdarzyć, że hiszpański, który teraz dociera do jej uszu i mózgu, nie stanie się jej codziennym językiem. Że przy zabawie będzie mówiła po katalońsku albo po baskijsku. Nie można też wykluczyć, że będzie miała dwie matki albo dwóch ojców.

Jeszcze przed chwilą Mairen była dla Europy zagrożeniem. Europa odgradzała się od Mairen Wielkim Płotem, najnowocześniejszą technologią ochrony wybrzeży i pałkami marokańskich policjantów. Dziś – choć nie zmieniło się nic poza paroma słowami w bazie danych – dziesiątki białych rodzin wyczekują Mairen jak największego skarbu.

Jest arena, nie ma korridy

Jem śniadanie w barze Cervantes i przysłuchuję się rozmowie dwóch *señores*. Właściwie nie muszę się przysłuchiwać. Zdecydowane zdania wypowiedziane z andaluzyjskim akcentem docierają do uszu wszystkich, którzy o tej porze piją tu kawę z mlekiem i jedzą tosty z oliwą i pomidorami. – Melilla była bogata dzięki służbie wojskowej. Przyjeżdżali tu rekruci z całego półwyspu. Tysiące zdrowych byków, którzy musieli się najeść. A rodziny, a narzeczone? Na przysięgę tłumy się zjeżdżały. Był handel, ludzie dobrze żyli.

Panowie są zgodni, że do tych rajszych czasów nie ma już powrotu. Teraz część koszar stoi pusta. A widok żołnierza La Legión – hiszpańskiej wersji Legii Cudzoziemskiej – w zielonej furażerce ze spadającym na czoło czerwonym chwostem wywołuje przemożną chęć wyciągnięcia telefonu i podzielenia się na FB anachronicznym zjawiskiem. Można tylko żałować, że żołnierz nie prowadzi na sznurku kozy, maskotki legionistów i nieodzownego akcesorium wojskowych parad.

Legionista jest tak anachroniczny jak sama Melilla, jak Ceuta, Gibraltár, Monako. Jak monumentalna arena walk byków w środku miasta, na której odbywa się jedna korrida w roku. Żeby przeżyć, Melilla musi wymyślić się na nowo.

Katarzyna Mołaniewicz

Żeby zabolalo

Historia przemocy wobec dzieci

Anna Golus

Zwyczaj bicia dzieci wcale nie trwa „od zawsze”. (...) Wszystko wskazuje na to, że w najdawniejszych czasach nie stosowano kar cielesnych wobec dzieci, a relacje między pokoleniami oparte były na wzajemnym szacunku. Wniosek taki można wysunąć na podstawie obserwacji sposobów wychowywania dzieci w społecznościach pierwotnych, które w opinii antropologów reprezentują społeczeństwa chronologicznie najwcześniejsze, czyli pierwotny stan ludzkości.

Co ciekawe i znamienne, według wielu pierwszych europejskich obserwatorów, m.in. misjonarzy, ale też etnologów, u ludów tych wychowanie dzieci w ogóle nie istniało. Historyk wychowania Robert Alt w książce „Wychowanie u ludów pierwotnych” udowadnia, że opinie te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. I wyjaśnia: „Sprawozdawcy stwierdzili, że nie zdołali zauważyć u tych ludów żadnego wychowania wtedy, gdy nie mogli zaobserwować przyjętych w Europie sposobów wychowania, czyli właściwej wyższym szczeblom rozwoju tradycyjnej treści wychowania oraz znanych im urządzeń. Tak więc widzieli np., że u ludów pierwotnych rodzice nie bili swoich dzieci albo że jakiś pięciolatek nie był zmuszany do posłuszeństwa, do przestrzegania obowiązujących u nas zakazów; wyciągali stąd wniosek, jakoby u ludów tych w ogóle nie istniało żadne wychowanie moralne. Widzieli dalej, że sześciolatek nie chodził do szkoły i nie uczył się czytać ani pisać; wnioskowali stąd, że młodzi nie uczyli się w ogóle nie uczono”.

Niektórzy Europejczycy podważali istnienie wychowania dzieci w społecznościach przedpiśmiennej, ponieważ było ono tak różne, tak odmienne od znanego im i obowiązującego w ich kulturze. W rzeczywistości jednak wychowanie u ludów pierwotnych nie tylko istniało, ale

w zdecydowanej ich większości na pierwszym miejscu stawiało zaspokojenie potrzeb dziecka i sprawienie, by samo chciało przyjąć w przyszłości rolę, jakie były dostępne w jego społeczeństwie. Dzieci nie były więc bite ani w żaden inny sposób zmuszane do ciągłej uległości, nie musiały być zawsze posłuszne i „grzeczne”, okazywano im miłość i czułość, otaczano troską, zachęcano do brania udziału w życiu społeczności, wykorzystując głównie naturalną dziecięcą potrzebę naśladowania oraz pouczenia, rady i pochwały, a nie jakiejkolwiek środki przymusu.

Metody wychowawcze u ludów pierwotnych mają według Alta „charakter pewnego pozytywnego postulatu, mają zachęcać dzieci do należytego zachowania się, budzić i rozwijać w nich właściwe tendencje (...)”. Stosowano także różne środki dyscyplinujące, najczęściej po prostu wyrażając dezaprobatę dla jakiegoś zachowania i informując dziecko o dopuszczalnych i pożądanym w jego kulturze sposobach postępowania. W wyjątkowych sytuacjach łajano lub zawstydzano dzieci, co uchodziło za nadzwyczaj surowe środki, zwłaszcza u ludów, u których bardzo dużą wagę przywiązywano do poważania, uznania ze strony społeczności.

Niekiedy też izolowano dzieci (np. wyprasając z domu) lub je straszono. Straszakiem podobnym do naszej Baby Jagi był zając u Eskimosów, a u niektórych innych rdzennych Amerykanów – sowa albo duchy zmarłych. (...)

Dla Europejczyków, przywykłych do ignorowania woli dziecka i zmuszania go przemocą do podporządkowania się najpierw rodzicom, a następnie normom społecznym, tak łagodny stosunek do potomków musiał być wręcz szokujący. Uderzający był dla nich zwłaszcza brak kar cielesnych, które w kulturze europejskiej już od wieków stanowiły podstawową metodę wychowawczą. (...)

Wprawdzie teza o „niższości” ludów pierwotnych od dawna jest



podważana (uznaje się raczej odmienność równoprawnych kultur), jednak nadal uważa się, że ten typ społeczeństwa odpowiada pierwotnemu stanowi ludzkości. Można więc przypuszczać, (...) że u zarania ludzkich dziejów życie dzieci było może nie idylliczne, ale na pewno pozbawione przemocy charakterystycznej dla kilku ostatnich tysiącleci, i że dopiero w pewnym momencie w przeszłości ludzkość zaczęła śnić na jawie ten straszny sen. Robert Alt przytacza różne tezy mające wyjaśnić brak kar cielesnych i ogólnie łagodny stosunek do dzieci w społecznościach pierwotnych. Interesujące jest np. wyjaśnienie wskazujące na „wysoką ocenę wartości dziecka”, związaną paradoksalnie z dzieciobójstwem, które występowało u wszystkich tych ludów. Nie wynikało ono jednak z okrucieństwa ani nieczułości względem dzieci, ale w pewnym sensie i przynajmniej w niektórych społecznościach wręcz przeciwnie – z troski o żyjące potomstwo. Na przykład u Aborygenów, jak relacjonuje Bronisław Malinowski: „Jednym z głównych powodów podawanych dla usprawiedliwienia dzieciobójstwa jest to, że matka prawdopodobnie nie może karmić i opiekować się dwójką dzieci w jednym czasie, zwłaszcza jeśli dzieci nie są odstawione od piersi przed trzecim do piątym roku życia”. U ludów koczownic-



czych matki miałyby także problem z noszeniem jednocześnie dwojga małych dzieci, co również mogło stanowić przyczynę powszechności dzieciobójstwa. Innym powodem, dla którego w takich społecznościach zabijano dzieci tuż po urodzeniu, mogły być problemy ze zdobyciem pożywienia umożliwiającego przetrwanie większej liczby potomków.

Według pewnej teorii wyjaśniającej łagodny stosunek do dzieci w społecznościach pierwotnych

nielicznych i łatwych do opanowania norm i wartości.

Ciekawym wyjaśnieniem braku kar cielesnych u ludów pierwotnych jest też fakt, że niektóre z tych społeczności wierzyły, że bite dziecko umrze, lub że nie potrafiły wymierzać takich kar. Jezuici, którzy w XVII w. zakładali misje w Ameryce Południowej, relacjonowali: „Wszystkie dzikie szczepy z tych stron oraz z Brazylii nie potrafią, jak nas zapewniano, karać dzieci ani też nie mogą znosić przypatrywania się takiemu karaniu. Jaki to kłopot sprawi nam, gdy zrealizujemy nasze zamiary co do nauczania ich młodzieży”. Kłopot był zapewne bardzo duży, bo jezuickie kształcenie opierało się na chłóście.

Alt przytacza też wspomnienia starej Indianki z plemienia Arapaho, u którego (podobnie jak u wielu innych ludów pierwotnych) pod wpływem Europejczyków, wraz z innymi „zdobyczami cywilizacji”, pojawiły się kary cielesne. Porównała ona wychowywanie dzieci bez bicia i pełne przemocy w następujący sposób: „Nieczęsto mnie karano. Nigdy mnie nie bito. Rodzice nasi rozmawiali z nami, czasami dawali nam burę, gdy postępowaliśmy niewłaściwie. Mówili wtedy: »Nie róbcie tego więcej, lecz nigdy nie bili nas, jak to dziś rodzice biją swoje dzieci... (...) Bicie i połajanki robią dziecko złym, tak my sądzimy”.

Najciekawsza jest jednak propozycja samego Alta, według którego kary

Europejczyków zaszokował brak kar wśród rdzennych Amerykanów. W naszej kulturze od wieków stanowiły one podstawową metodę wychowawczą.

tam, gdzie z różnych przyczyn, np. z powodu kłopotów z wyżywieniem, ograniczano liczbę potomstwa, pozostawione przy życiu dzieci były uważane za ogromną wartość i obdarzane miłością i troską. W myśl innej teorii przyczyną łagodnego sposobu wychowywania dzieci u ludów przedpiśmiennych są względnie proste, nieskomplikowane i przejrzyste stosunki i normy społeczne, do których przestrzegania wdrażano dzieci w procesie wychowawczym. Rodzice nie musieli stawiać potomkom wysokich wymagań ani egzekwować posłuszeństwa żadnymi surowymi środkami, gdyż nawet bez takich metod można ich było przygotować do życia w społeczności i przestrzegania

cielesne są „atrybutem wychowania w społeczeństwie klasowym” i zostały uznane za metodę wychowawczą, kiedy stosunki społeczne zaczęły się opierać na nierówności i wyzysku. Dopóki społeczności ludzkie tworzone były dzięki współdziałaniu wszystkich równoprawnych członków, dzięki współpracy i solidarności, niezbędnej do zdobycia pożywienia, a tym samym przetrwania, dopóty celem wychowania było wdrożenie dzieci do opartego na takich właśnie zasadach współuczestnictwa w kulturze. (...)

Przez tysiące lat wychowywano więc ludzi, dla których naturalne są wszelkiego rodzaju nierówności społeczne, w tym nierówność statusów

poszczególnych członków rodziny – (wszech)władza rodziców i podległość dzieci. Od jakiegoś czasu ulega to jednak zmianom. Niemal sto lat temu Bronisław Malinowski w pracy *Rodzicielstwo jako podstawa struktury społecznej* (opublikowanej po raz pierwszy w 1930 r.) w bardzo obrazowy i osobisty sposób pisał o swego rodzaju powrocie rodziców w XX w. do łagodnych metod wychowawczych, typowych dla społeczeństw pierwotnych:

„»Tatusiu, ależ z ciebie osioł!« – takąż to właśnie sentencją moja najmłodsza, licząca pięć lat córeczka nieodwołalnie zamknęła toczoną przez nas dyskusję. Nie dość, że nie zdołałem jej przekonać, ale nawet nie potrafiłem wpłynąć na jej zdanie... Zaprzestałem tedy perswazji i zadumałem się. Próbowałem sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym w podobny sposób zwrócił się do mego ojca 40 lat temu. Na samą myśl przeszedł mnie dreszcz [...]. 400 lat temu dziecko zostałoby za taką odpowiedź oćwiczone albo zamknięte w ciemnicy, mogłoby być torturowane, a nawet groziła mu śmierć fizyczna lub moralne unicestwienie. Około 4 tys. lat temu, w epoce brązu, okrutny patriarcha natychmiast pozbawiłby je życia. Natomiast 40 tys. lat temu lub mniej więcej w tym czasie – w datach i hipotezach nie jestem szczególnie biegły – potulny matrylinearny ojciec uśmiechnąłby się zapewne do swej pociechy, i to nawet z większym pożądaniami, niż mnie się udało

uczynić, jak również bez owego grymasu urazy, który wynika, jak sądzę, z naruszenia patriarchalnych tradycji. [...] Koło przemian obraca się nieprzerwanie”.

Postawa Malinowskiego w jego czasach stanowiła wyjątek i choć nadal nie jest powszechna, staje się coraz bardziej popularna. Charakterystyczny dla ludów pierwotnych łagodny sposób wychowywania dzieci, niegdyś szokujący dla Europejczyków, obecnie określany jest mianem rodzicielstwa bliskości i znajduje w naszym kręgu kulturowym coraz więcej zwolenników.

Jedną z jego propagatorek jest Jean Liedloff, która w książce *„W głębi kontinuum”* entuzjastycznie opisuje

► wychowywanie dzieci południowo-amerykańskich Indian z plemienia Yequana, będące w jej opinii wzorem dobrego rodzicielstwa.

Należy jednak dodać, że pozbawione przemocy, niemal idylliczne dzieciństwo w społecznościach pierwotnych zazwyczaj kończyło się skumulowanym okrucieństwem podczas inicjacji. Wprawdzie przemoc doznawana przez młodzież w trakcie tego obrzędu nie miała nic wspólnego z karami cielesnymi, ale tym bardziej warto przyjrzeć się również jej. Praktyki inicjacyjne pokazują bowiem, że różne rodzaje fizycznego dręczenia (nie tylko zresztą dzieci) bywały stosowane – przy pełnej aprobach społeczności – nie wyłącznie w ramach kary, ale też w innych celach, oraz że pomysłowość ludzka w wymyślaniu metod maltretowania od zawsze była ogromna.

Inicjacje młodzieży, nazywane też obrzędami przejścia lub wtajemniczenia, były szeroko rozpowszechnione u ludów przedpiśmiennych na całym świecie. Miały na celu ostateczne przygotowanie chłopców do przekroczenia progu dorosłości i kończyły

się oficjalnym i uroczystym przyjęciem ich do społeczności dorosłych (inicjacje dziewcząt nie były aż tak powszechne i zwykłe – choć nie zawsze – miały łagodniejszy charakter) (...).

Podczas inicjacji poddawano chłopców najróżniejszym dolegliwościom cielesnym, co miało na celu wypróbowanie ich wrażliwości na ból, hartu, samokontroli, posłuszeństwa i wytrwałości. Alt zauważa, że można tu wymienić „niezliczone mnóstwo najrozmaitszych udręczeń i najdziwniejszych procedur, na

brutalnie) i w specjalnie przygotowanym w tym celu miejscu poddawano krótszemu lub dłuższemu okresowi odosobnienia i nauczania. W tej trwającej kilka tygodni, miesięcy lub lat szkole przekazywano i utrwalano wiedzę, egzaminowano z niezbędnych w dorosłym życiu umiejętności, testowano wymagane od mężczyzny cechy charakteru, a wszystko to czyniono w sposób, który miał wywrzeć na nowicjuszach jak największe wrażenie i odcisnąć się piętnem na ich ciałach, umysłach i duszach. (...)

Przez tysiące lat wychowywano ludzi, dla których naturalne są wszelkiego rodzaju nierówności społeczne.

jakie wystawieni są kandydaci. Muszą oni znosić trudy i mokoły wszelkiego rodzaju. Wysła się ich na dalekie marsze; przez dłuższy czas nie wolno im sypiać, ze stoickim spokojem muszą znosić mróz i upał (...)."

W tym katalogu mniej lub bardziej sadystycznych praktyk inicjacyjnych znajdowały się też m.in.: wyrwanie zębów, tatuowanie, obrzezanie i inne zabiegi na narządach płciowych, rozmaite okaleczenia innych części ciała (np. odcinanie kawałka palca, robienie blizn), sadzenie na mrowiskach jadowitych mrówek, zawieszanie na linach przeciągniętych przez skórę i mięśnie, przekłuwanie nosa lub innych części ciała czy głodzenie. (...)

Obrzędy wtajemniczenia chłopców miały niekiedy charakter znacznie łagodniejszy, a niektóre ceremonie inicjacyjne z naszej perspektywy wydają się wręcz zabawne. Na przykład w plemieniu Buka z Nowej Gwinei nowicjuszom zakładano na głowy wysokie kapelusze z liści palmowych, nazywane *upi*, które nosili oni przez kilka lat, nie zdejmując nigdy w obecności kobiet. Podczas obrzędów kończących inicjację zdejmowano *upi*, by kobiety mogły wyrazić zdziwienie długością męskich włosów, co stanowiło główny cel tej ceremonii i wieloletniego ukrywania naturalnego faktu, że chłopcom i mężczyznom również rosną włosy. (...)

Mimo różnic dotyczących poszczególnych rytuałów scenariusz inicjacji w niemal wszystkich społeczeństwach pierwotnych był bardzo podobny. Oddzielano nastoletnich chłopców od matek (niekiedy bardzo spektakularnie, a czasem wręcz

Tak kończyło się dzieciństwo w społecznościach pierwotnych. (...) Niekiedy podczas obrzędów inicjacyjnych inscenizowano nawet śmierć nowicjuszy i ich ponowne narodziny oraz nadawano im nowe imiona, co wyraźnie podkreślało, że pierwszy etap życia kończy się definitywnie i nieodwracalnie. Tylko dlaczego aż tak brutalnie? Wyjaśnienie poszczególnych rytuałów inicjacyjnych oraz samego obrzędu przejścia jest bardzo wiele. Niewątpliwie fakt, że inicjacje odbywały się w tak wyjątkowej, wzbudzającej strach atmosferze i w niecodziennym, wywołującym ogromne wrażenie otoczeniu, miał na celu zwiększenie siły przekazu wpajanych nowicjuszom treści i utrwalenie wiedzy w sposób nieodwracalny.

Takiego doświadczenia, do głębi wstrząsającego, nie da się przecież zapomnieć. Wszelkie fizyczne udręczenia miały natomiast zaprawić chłopców do życia w trudnych warunkach. (...) Niestety, z czasem formowanie przyszłych członków społeczności przy użyciu przemocy zaczęło praktykować wobec znacznie młodszych dzieci, niekiedy nawet niemowląt, a ludzkość zapadła w koszmarny sen, z którego dopiero zaczynamy się budzić.



Fragmenty książki Anny Golus *Dzieciństwo w cieniu różgi. Historia przemocy wobec dzieci*, Wydawnictwo Helion, Gliwice 2019



Promocja po polsku

Zupełnie niechcący wyszedł nam serial o (nie)budowanych ambasadach RP, o milionach, które w związku z tym Polska traci, i wystawia się na pośmiewisko. Bo w MSZ nie potrafią gospodarzyć. No to dorzucimy do tych odcinków publikowanych w poprzednich numerach jeszcze jeden rozdział.

Ale najpierw parę zdań wstępu. Otóż przez całe lata obok ambasad funkcjonowały za granicą biura radcy handlowego, czyli placówki Ministerstwa Handlu Zagranicznego. W III RP przechodziły one rozmaite ewolucje. Skończyło się tym, że przekształcono je w wydziały promocji, handlu i inwestycji funkcjonujące w ambasadach. Pracowali tam ludzie delegowani z reguły przez Ministerstwo Gospodarki, którzy jednak podlegali ambasadorowi.

Dobra zmiana postanowiła położyć temu kres. Wygaszono (ach, cóż za piękny zwrot) WPHI i uchwalono, że promocją polskiego przemysłu i Polski zajmować się będzie Polska Agencja Inwestycji i Handlu SA.

Była to nie tylko zmiana szyldu, ale zmiana prawdziwie rewolucyjna.

Promocję polskiej gospodarki wyprowadzono z ambasad, a zajęła się nią agencja. W realu polega to na tym, że ludzie (przeważnie doświadczonych) z immunitetami dyplomatycznymi zastąpiły korpuludki. I wiara, że dzięki temu polskie placówki będą bardziej elastyczne i mobilne. Czy tak się dzieje?

Wraz ze zmianą organizacyjną przyszedł zmiany lokalowe. Otóż wydziały promocji zajmowały konkretne budynki, ich pracownicy konkretne mieszkania, które były własnością Ministerstwa Gospodarki, a teraz przeszły pod kuratelę MSZ. I co dalej? Niestety, nic.

Na razie wygląda to tak, że w wielu miastach lokale po wydziałach promocji stoją puste. Nic się w nich nie dzieje, więc niszczeją. W jednym jest dziura w dachu i do środka się leje, w drugim wybite szyby. Paryż, Madryt, Kaliningrad, Casablanca, Buenos Aires... Takich porzuconych lokali podobno jest więcej. I nie ma pomysłu, co z tym zrobić. Wyremontować, sprzedać? Każda decyzja pociąga kłopotliwe obowiązki. Lepiej więc udawać, że lokalu nie ma.

Jednocześnie PAIH rozwija sieć swoich zagranicznych placówek. Jest ich 70. Czyli sporo, choć nowych biur nie ma m.in. w Berlinie i w Pekinie. Lokowane są one najczęściej w nowoczesnych biurowcach. Czyli tam, gdzie drogo. Dla ich pracowników zaś agencja wynajmuje mieszkania na mieście. Samo zbudowanie sieci placówek kosztowało 120 mln zł, a ich utrzymanie ma kosztować rocznie ok. 180 mln zł. To są informacje sprzed pół roku, bo już teraz słychać, że te sumy muszą być większe, skoro PAIH musi zatrudniać ludzi na warunkach rynkowych itd.

A czy nowa sieć jest lepsza od starej? Szefostwo PAIH na to pytanie odpowiada wymijająco, twierdząc, że na efekty trzeba poczekać. Innymi słowy – rozwalono stary system, nowy jest w budowie.

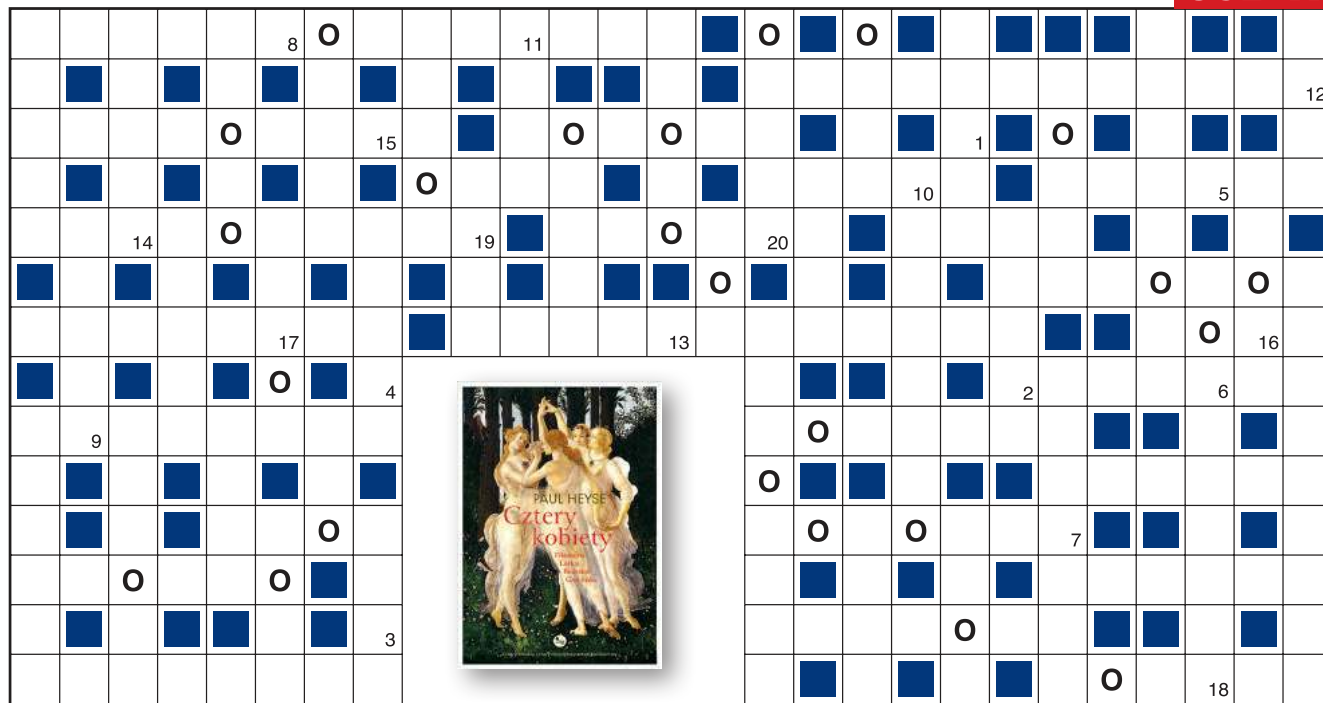
Dodajmy jeszcze jedno – dyplomata z immunitetem był partnerem dla ministra czy też szefa państwowego koncernu, młody korpuludek nie jest partnerem nawet dla jego asystenta.

Poza tym kilkanaście czy kilkadziesiąt budynków dawnych wydziałów można było wykorzystać, nie zawsze siedziba w nowoczesnym biurowcu to najlepsze rozwiązanie. Ale dobra zmiana woli na bogato. Więc ma.

Attaché

Według archeologów ropucha wyciągająca ramiona nad ludzką głową zapowiada koniec suszy. Płaskorzeźba sprzed 3,8 tys. lat na stanowisku Vichama w Peru.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ...ateński z Erechtemonem
- tkanina, symbol miękkości
- ...i omega
- imię konkwistadora de Hojedy
- German lub Jantar
- Ar wśród gazów szlachetnych
- ...na broń" Broniewskiego
- stolica Kolumbii
- można nim bić, chylić je, stać na nim
- zatyczka beczki
- lądują w puszkach kwestujących
- wymienia się w niej toner
- wykuta przez Hefajstosa
- toruński klub jak tkanina

- gra kobrze lub siedzi na gwoździach
- o pracowniku np. policii, więziennictwa
- wafel z ciasta naleśnikowego
- małżonka Zeusa
- ptak czczony w Egipcie
- zielony w temacie
- książ z opery Borodina
- prawdziwe imię Yves'a Montanda
- czeladna w dawnych dworach
- Platona lub Łokietka
- ...ze Spychowa
- umarłemu niepotrzebne
- deszcz i tytuł francuskiej komedii
- ręczna broń palna
- o długiej lufie
- układ z żyłami i tętnicami

- błyszczą na nogach eleganta
- ...Mitzner, pisała jako Barbara Gordon
- i szklaneczka, i pisarka
- stolica Kenii
- imperatyw
- inflacyjny to nadmierne zasoby pieniężne ludności
- przeciw niemu spisek Pizona
- częściowo zmienia obowiązującą ustawę
- otwory zewnętrzne nosa
- między drugim śniadaniem a podwieczorkiem
- niejeden w tuczarni
- kłująca roślina św. Benedykta
- tam w puszczy legowiska dzikich zwierząt
- interesują entomologa
- lokalny przywiązany do stron rodzinnych
- stolica z Zakazanym Miastem

- został na karczowisku
- ponoć mądry po szkodzie
- adresu, numeru konta lub kroków w tańcu
- lokator woliery
- mieszanka piwa z lemoniadą
- odpowiada na pytania ankietera
- pień rozdzielony widlasto
- pod inną nazwą równie by pachniała
- najmniejsza z czterech głównych wysp Japonii
- wykaz, lista
- dwie trzymane za ogon
- załoty batalionów
- spuszczać z niego to pokornieć
- materiał wybuchowy
- przedmiot sporu między rządem a władzami Gdańska
- cenne Au

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-923”. Do rozlosowania książki „Cztery kobiety” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 września 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-920” z 11 sierpnia: Uparci płaczą do skutku.
Nagrody otrzymują: Patrycja Heldt ze Świnoujścia, Krystyna Pleszczyńska z Wrocławia, Izabela Walaszek z Gliwic.

PENETRACJE

POLITYKA

DANIEL PASSENT,
KOMENTATOR

Obszerny esej o Oldze Tokarczuk (polecam wicepremierowi Glińskiemu, bo Sasin i Suski na pewno już przeczytali) to w moich – wyznawcy „New Yorkera” – oczach duże wyróżnienie. Jest to panorama polskiej polityki i kultury oraz miejsca, jakie zajmuje w nich pisarka. Ona sama nie ukrywa, co myśli. Niedawno w „New York Timesie” pisała: „Telewizja państwa, z której znaczna część Polaków czerpie wiadomości, nieustannie szkaluje, atakuje i zniesławia opozycję polityczną oraz każdego, kto myśli inaczej niż partia rządząca”.

PLAYBOY

PRZEMYSŁAW SALETA,
BOKSER, KICKBOKSER

Dlaczego jesteś za legalizacją dopingu w sporcie?

– Doping szybciej regeneruje ciało. Dzięki temu można więcej trenować. Więc to nie jest tak, że ktoś nic nie robi, tyknie tabletkę i zdobędzie mistrzostwo świata. Dla tych najlepszych doping nie jest szkodliwy. Tzn. generalnie sport wychynowy jest szkodliwy dla zdrowia, ale osobiście uważam, że bez wspomagania niszczyłby jeszcze bardziej organizm. Dziś doping to przemysł i państwa takie jak Chiny – dla których sportowcy są wizytówką – stać na to, żeby tworzyć preparaty, których nie ma na liście zakazanych.

A natura ludzka jest taka, że jeśli można zyskać nad kimś przewagę, no to próbujemy to zrobić. Dlatego doping zawsze będzie istniał, jak narkotyki.

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. WIESŁAW
ŁUKASZEWSKI,
PSYCHOLOG
OSOBOWOŚCI

Myślenie – wbrew powszechnemu przekonaniu – nie jest ani procesem świadomym, ani też kontrolowanym. Myślenie to dokonujące się dyskretnie kombinowanie ze sobą różnorodnych elementów, danych czy rzeczy i przyglądanie się efektom tego kombinowania. Gdybyśmy wiedzieli z góry, jaki będzie efekt tego kombinowania, okazałoby się ono całkowicie zbędne. Po co bowiem szukać czegoś, co już znaleźliśmy...

PISTYL

JAKUB MAŁECKI,
PISARZ

Cały czas czuję lęk, że ktoś w końcu się zorientuje, że ja jednak nie umiem pisać. Jestem chłopakiem spod bloku w Kole, nie mam odpowiedniego wykształcenia, pojęcia o historii literatury. Z drugiej strony z chłopakami w dresach spod bloku w Kole spędziłem pół swojego życia. I wątpię, żeby oni wiedzieli, kim jest krytyk literatury, nawet gazet nie czytają, o książkach nie wspomnę. A to jest moja baza, do której zawsze mogę wrócić.

Aby język giętki...

RAFAŁ TRZASKOWSKI O WYDMUSZCZE

Jak coś PiS nie pasuje, to zabierze sobie plac, kawałek miasta, ulice, zabierze pieniądze i zostawi samorząd jako wydmuszkę.

STANISŁAW TYM O OPOZYCJI

Na pytanie przyszłych pokoleń, czy w Polsce nie było żadnej opozycji, odpowiadam już dziś. Była.

JERZY IWASZKIEWICZ

O WYCINCIE DRZEW NA MAZURACH

Argumenty głupsze od całego lasu. Nie znamy pijanego drzewa, które wpadłoby na samochód lub człowieka, a *vice versa* jak najbardziej.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO

O MARIĄŻU KOŚCIOŁA Z WŁADZĄ

Na krótką metę już szkodzi. Ale jeszcze bardziej zaszkodzi także na długą.

KRYSTYNA JANDA

O GRANIU RÓL POLITYKÓW

Małe, żyjące współcześnie szuje nie zasługują na wysiłek twórczy.

PAWEŁ PISKORSKI

O GRZEGORZU SCHETYNIE

Jest bardzo inteligentnym człowiekiem i w związku z tym świadomym deficytów Platformy.

ANDRZEJ BARGIEL

O ZJEŹDZIE Z MONT EVERESTU

Stroma grań pod szczytem to ekstremalna skala wyzwania. Latem od wysokości 8 tys. m nie da się zjechać ze względu na małą ilość śniegu.

DANIEL OLBRYCHSKI O ŻONIE KRYSTYNIE

Jest człowiekiem trudnym, z cechami apodyktyczności, jaką mają kobiety Wschodu. Mimo że bywa nieznośna, ma do innych mądry i ciepły stosunek.

ANNA LEWANDOWSKA O DIECIE ROBERTA

Dbam o dietę męża, ale to nie jest dyktat. Czasem mówi: „dzisiaj białkowo-tłuszczowo”, a to oznacza... jajka na boczku.

MAJA POPIELARSKA O SYNACH

Jestem dość surowa, lecz niepozabawiona spontanicznością. Chcę, by w życiu się nie pogubili.

EDYTA BARTOSIEWICZ O ZAGUBIENIU

Kiedyś byłam dla siebie największym katem. Jak ja potrafiłam się biczować.



Ten miś pił dziś – uliczny żart z warszawskiej Pragi.

Nie próbujcie tego w domu

55-letnia właścicielka volkswagena passata i 20-letni pracownik stacji benzynowej w Eschborn koło Frankfurtu nad Menem są mocnymi kandydatami do antynagrody w dziedzinie BHP. Po tym, jak kobieta omyłkowo zatankowała benzynę zamiast oleju napędowego, usiłowali oni odessać paliwo z baku za pomocą odkurzacza. Po włączeniu urządzenia doszło do zapłonu oparów, co skończyło się doszczętnym spaleniem auta oraz uszkodzeniem stojących w pobliżu metalowych kontenerów. Policja wyceniła straty na 30 tys. euro.

Szczerść nie popłaca

Kiedy dyżurny policjant zwrócił petentowi uwagę, by nie palił papierosa na terenie komisariatu, ten wyjaśnił, że to nie tytoń, tylko marihuana. 24-latek poinformował ponadto, że w swoim krakowskim mieszkaniu ma więcej narkotyku i że uprawia tam konopie indyjskie. Gdy funkcjonariusze pojechali z mężczyzną pod wskazany adres, wręczył im plastikowe pudełko z dwoma gramami nielegalnego suszu. Grozi mu do trzech lat więzienia.

Sposób na mewy

Naukowcy z Uniwersytetu w Exeter przyjrzeni się problemowi podkradania urlopowiczom jedzenia przez mewy. Sprawdzali, ile czasu zajmuje ptakom zbliżenie się do frytek, gdy człowiek obserwuje przebieg zdarzeń oraz gdy odwróci wzrok. – Mewy są często postrzegane jako agresywne i cyhające na ludzkie jedzenie, dlatego ciekawie było stwierdzić, że większość z nich nie była zainteresowana naszym badaniem. Spośród tych, które się zbliżyły, większość zwlekała, gdy im się przyglądano – poinformo-



wała Madeleine Goumas. – Wydaje się, że wpatrywanie się w mewy zmniejsza ryzyko utraty przysmaków – podsumowała dr Neeltje Boogert.

Po przyjaciół do apteki

Równie doniosłe są wysiłki dr Stephanie Cacioppo z Uniwersytetu Chicagowskiego, która pracuje nad pigułką na... samotność. Badaczka ma nadzieję, że pregnenolon, związek neurosteroidowy wytwarzany z cholesterolu, pomoże zredukować strach przed odrzuceniem, powstrzymujący samotne osoby od interakcji z innymi. Cacioppo podkreśla jednocześnie, że sama farmakoterapia nie odmieni życia osób dotychczas osamotnionych, konieczne są także ćwiczenia z „wychodzenia do ludzi”.

WC, czyli Wyłaż, Człowieku

Walijskie miasto Porthcawl zastąpi publiczne toalety w miejscowym parku nowym modelem, przeciwdziałającym „niewłaściwemu zachowaniu seksualnemu i wandalizmowi”. Jeśli czujniki wykryją, że w kabinie przebywa więcej niż jedna osoba lub że użytkownik zachowuje się agresywnie, uruchomi się spryskiwanie wodą i głośny alarm, a ponadto dojdzie do automatycznego otwarcia drzwi. Toalety będą też odporne na śpiochów: długi czas korzystania najpierw wywoła komunikat z ostrzeżeniem, a następnie wyłączone zostanie światło i ogrzewanie.

Do lochu przez lochy

Dwaj Duńczycy stanęli przed australijskim sądem za... przemyt świńskiego nasienia. Dyrektor i pracownik firmy





Stara religijna oraz nowa świecka tradycja. Ucen-nice przebrane za Krysne i Sziw w szkole w Mum-baju i cosplayerka – osoba, której hobby to przebiera-nie się za postacie z komiksów czy gier komputero-wych – podczas targów Gamescom w Kolonii.

GD Pork przez osiem lat przewozili na antypody wysokiej jakości knurzą sperme w butelkach po szamponie oraz w pojemnikach na płyn do mycia rąk. Miał to być sposób na wyhodowanie macior bardziej płodnych niż miejscowe. Sędzia uznał, że nieprzestrzeganie przepisów dotyczących kwarantanny mogło się zakończyć epidemią, i wysłał rolników za kraty. A to świnia!

Właściwy człowiek na właściwym miejscu

Firma Heinz uczciła 150. rocznicę powstania limitowaną serią butelek keczupu ze wzorem inspirowanym tatuażami Eda Sheerana. Popularny brytyjski pio-senkarz był idealnym wyborem na ambasadora marki, gdyż jest fanatycznym konsumentem słynnego keczupu – dość powiedzieć, że na prawym ramieniu wytatuował sobie etykietę tego sosu. Wyprodukowano jedynie 150 butelek ulubionego keczupu Eda Sheerana, na każdej z nich, umieszczonej w pudełku o kształcie głośnika, znalazł się autograf artysty. 104 egzemplarze można wygrać w internetowym konkursie, trzy sztuki zostaną zlicytowane na cele charytatywne, a reszta trafi do muzeów na całym świecie lub zostanie rozdana najzagorzalszym fanom Sheerana.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew. 119**
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Natalia Czarnecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Ania Gubernat, Magda Kmieć, z cyklu Botanica



To wakacyjna wystawa organizowana co roku w Galerii Arttrakt. Współpracujący z galerią artyści i artystki prezentują malarstwo, rzeźbę oraz ceramikę. Oferta jest bogata i różnorodna. W wystawie biorą udział: Natalia Bażowska, Renata Bonczar, Monika Chlebek, Dawid Czyż, Mariusz Dydo, Ewa Goral, Ryszard Grzyb, Ania Gubernat i Magdalena Kmieć, Izabela Kita, Tomasz Kocłęga, Małgorzata Kosiec, Julita Malinowska, Eugeniusz Minciel, Joanna Młacka, Natalia Rybka, Jacek Sroka i Tomasz Wawryczuk

SALON LETNI

Galeria Arttrakt

Wrocław, ul. Ofiar Oświęcimskich 1/1

do 31 sierpnia



Jacek Sroka, Potwór z bagien

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jacek Sroka, Pot Polski

MFF TOKIO
GRAND PRIX



Nie chowa emocji

Bernadetta Trusewicz / FDB.pl

MFF WENECJA
NAGRODA LATERNA MAGICA



Uczciwy i z głębi serca

The Guardian

CEZARY 2019
VINCENT LACOSTE



Urzekający i delikatny

Variety



Vincent LACOSTE

Isaure MULTRIER

Stacy MARTIN

NA ZAWSZE RAZEM

W KINACH OD 30 SIERPNIA



Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”



STOPKLATKA

WYBITY

sens

wprost

Recepy

KropkaTV

LAMIE

P

AKTIVIST

dufusdosta

SIAR & KULTURY

KOBIETA.PL

Platform Channel

WYBITY

eprasa.pl 93e5ac7108

 **69** Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
w Berlinie
Konkurs Główny

 **MFF W STAMBULE**
najlepszy film turecki
najlepszy reżyser | najlepsze aktorki
najlepsza muzyka | Nagroda FIPRESCI



WYJĄTKOWE
DZIEŁO
Hollywood Reporter

NIEZWYKŁY BALANS
POMIĘDZY BAJKOWOŚCIĄ
I REALIZMEM
Screen International

PIĘKNE
I SATYSFAKCUJĄCE
DOŚWIADCZENIE
One Room with a View

KINO W TURCJI
MA SIĘ DOBRZE
Interna.pl

OPOWIEŚĆ O TRZECH SIOSTRACH

REŻYSERIA EMIN ALPER

W KINACH OD 30 SIERPNIA

 **AURORA**